

ROZMOWA „DO RZECZY”

Kazik Staszewski: Każda władza
ma rzesze nadgorliwych wyznawców



Nie jestem prorosyjski
– zapewnia Krzysztof Bosak

FRAGMENT
KSIĄŻKI

„OSTATNIE LATA
POLSKIEGO
WILNA”



Czy Antifa trafi w USA na listę
organizacji terrorystycznych?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 24/377 8-14 CZERWCA 2020
CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DOBRA NOWINA RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO

Czym grozi zwycięstwo
kandydata Platformy

– PRZESTRZEGAJĄ SEMKA
I ZIEMKIEWICZ

ISSN 2299-8500

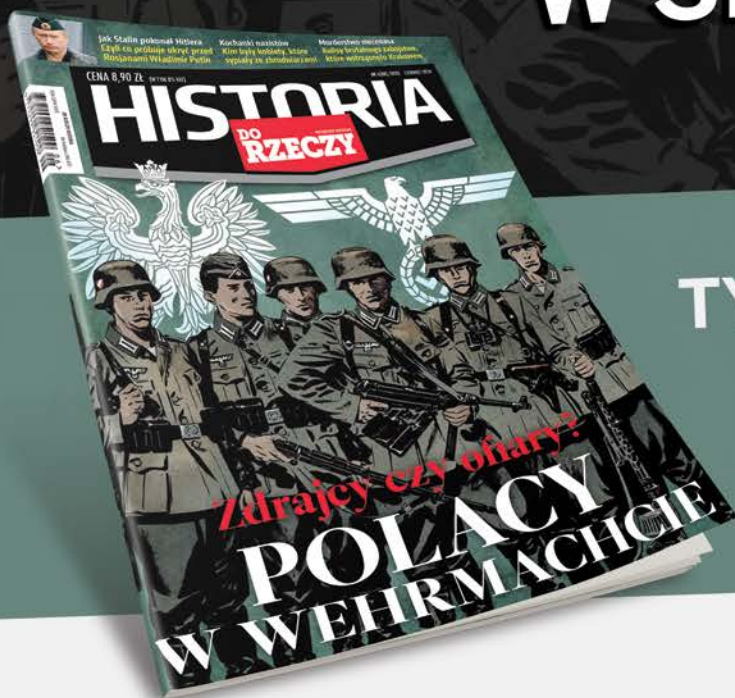
Nr indeksu 288829



Nakład: 59 000 egzemplarzy

eprasa.pl 90

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak
o geopolitycznej
ekspansji Moskwy!

Piotr Zychowicz – **Z Wehrmachtu do Andersa**

Ryszard Kaczmarek – **Polacy w armii Hitlera**

Tomasz Stańczyk – **Morderstwo krakowskiego mecenasa**

Sławomir Cenckiewicz – **Realiści kontra romantycy**

James Willey – **Lubieżne kochanki nazistów**

Tomasz Kornaś – **Nagonka na Józefa Mackiewicza**

Marian Zacharski – **Polacy w sieci Abwehry**

Nikołaj Iwanow – **Dlaczego Stalin pokonał Hitlera**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zamach na samorządy

Kiedy Polska wstępowała do Unii Europejskiej, ciągle słyszałem, że Bruksela nie zamierza (nigdy, przenigdy, w żadnym razie i na żaden sposób) ingerować w polską tożsamość kulturową, wartości, tradycje. Sam w to wtedy wierzyłem. O święta naiwności! Dziś nie mam żadnych złudzeń: Polska znalazła się w systemie, który na wszelkie sposoby będzie na niej próbował wymusić podporządkowanie się i uległość. A ponieważ sama Unia coraz bardziej ulega presji lewicowych ideologii, odczuwa to też Polska. Ostatnim przykładem takiej nadwrażliwości – można by to nazwać inaczej, bardziej dosadnie i wyraziście, ale chwilowo trzymam język za zębami – jest list wystosowany do marszałków kilku polskich samorządów przez Komisję Europejską w sprawie rzekomej dyskryminacji osób LGBT. Chodzi o województwa: lubelskie, łódzkie, małopolskie i podkarpackie.

Najpierw myślałem, że wystarczy sprawę obśmiać. W tym duchu napisałbym, że – o dziwo – światła Komisja zajęła się jedynie dyskryminacją osób LGBT, pomijając osoby LGBTQ i LGBTQI oraz wszystkie inne osoby, które mogą być przedmiotem dyskry-

minacji wyżej wymienionych samorządów. To poważne uchybienie – dodałbym. I zakończyłbym ironicznie, że brak kolejnych literek wskazuje, iż urzędnicy dali sobie narzucić dyskurs promowany przez środowiska polskiej prasy i wykazali się niedostatecznym zaangażowaniem, walcząc o ochronę mniejszości, wszelkich i niepowtarzalnych. Jednak jest coś, co sprawia, że nad listem Komisji tak łatwo do porządku dziennego przejść się nie da. To nie jest, niestety, tylko przykład głupiej nadgorliwości. Nie chodzi o to, że ktoś za wszelką cenę chce pokazać, iż jest na bazie i po linii.

Otóż w tekście tym nie tylko mówi się o rzekomych skargach i nie tylko wspomina się o trosce o mniejszości – ciekawe, że unijni obłudnicy nie są w stanie zauważyć, iż ich zadaniem powinna być troska również o tych, którzy postępowaniem ideologów LGBT mogą być urażeni i dotknięci – lecz także między wierszami można w nim dostrzec szantaż. Komisja przypomina mianowicie, że działania wspierane przez europejskie fundusze strukturalne i inwestycyjne muszą być zgodne z unijnym prawem, co – przekładając na polski – oznacza, iż samorządy, które nie wyrzekną się swoich

uchwał, mogą utracić unijne pieniądze. Mamy więc kij i marchewkę. Mamy czytelną groźbę: albo rezygnujecie z obrony przed ideologią, albo zabieramy wam pieniądze. Rozumieją państwo? To się nazywa hipokryzja. W tych ociekających troską o prawo zdaniach kryje się najzwyczajniej w świecie niezbyt zawołowana przestroga. Jeśli nie ustąpicie, to zrobimy z wami porządek. Jedyne, co może zaskakiwać, to bezczelność autorów takiego listu i przekonanie, że szantaż i wymuszenie to właściwa forma rozprawy z polskimi samorządowcami. Cóż, silniejszy może więcej.

Zdaniem KE „przyjęcie uchwał, które »nazywają społeczność LGBT ideologią«, podważa zdolność regionalnych instytucji do kierowania się zasadą niedyskryminacji podczas wdrażania programów wspieranych przez unijne pieniądze”. Cytuję za portalem gazeta.pl, zakładam, że tak sympatyzujący z tęczową rewolucją ośrodek podaje wiernie tę informację. Szczercze mówiąc, nie wiem, jak traktować ten bełkot. Czy chodzi o to, że nie istnieje ideologia LGBT? Czy o to, że każdy homoseksualista i lesbijka są z zasady zwolennikami takiej ideologii? A może o to, że według Komisji ideologia LGBT ma mieć w Polsce status ideologii państwowej? Trudno powiedzieć.

Pewne jest jedno – tej presji ulec nie wolno. Nie ma takiej ceny, której by nie warto zapłacić za zachowanie suwerenności i tożsamości. Nie wolno pozwolić na to, by Bruksela narzucała nam to, przed jakimi ideologiami mamy się bronić, a przed jakimi nie. To nie jej rola ani nie jej zadanie. Mam dlatego nadzieję, że marszałkowie polskich samorządów wystosują na monit Brukseli właściwą odpowiedź. Taką, jaka należy się każdemu szantażystce. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA

EUROŻOŁNIERZ W BELWEDERZE?

Jak ewentualne objęcie przez Rafała Trzaskowskiego roli prezydenta RP może zmienić polską politykę

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TOTALNA OPOZYCJA W PAŁACU?

KRAJ

24 MARCIN MAKOWSKI

NIE JESTEM REWOLUCJONISTĄ

Rozmowa z muzykiem Kazikiem Staszewskim

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI

WIELCY PRZEGRANI?

30 ŁUKASZ ZBORALSKI

KORONAWAKACJE

KULTURA

32 KRZYSZTOF MASŁOŃ

ZNAKI NASZEGO CZASU

O najnowszej książce Bronisława Wildsteina

34 PIOTR GOCIEK

PRZYPADK SZUMOWSKIEJ

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

41 PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA

CZY POLSKA OCHRONI RODZINY PRZED IDEOLOGIĄ GENDER

OPINIE

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

NIE JESTEM PROROSYJSKI

Rozmowa z Krzysztofem Bosakiem, kandydatem Konfederacji na prezydenta

61 ROMUALD KMIĘCIK

WYBORCZE PUŁAPKI

62 PRZEMYSŁAW ZAŁUSKA

WIRUS SUKCESU

HISTORIA



72 SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK

RADIO Z WILNA

Fragment książki „Ostatnie lata polskiego Wilna”

ŚWIAT

76 ŁUKASZ WARZECHA

LEWACKA PRZEMOC

Antifa jest groźna dla ładu i porządku

78 PIOTR WŁOCZYK

ŚWIATOWA ORGANIZACJA ABORCYJNA

80 TERESA STYLIŃSKA

CZAROWNIK Z DOWNING STREET

82 PAWEŁ CHMIELEWSKI

AUTENTYZM MIŁOSIERDZIA CZY FLIRT ZE ŚWIATEM?

EKONOMIA

84 ANTONI TRZMIEL

TO NIE MY JESTEŚMY DZIŚ W DEFENSYWIE

Rozmowa z Konradem Szymańskim, ministrem ds. europejskich

86 JACEK PRZYBYLSKI

KOSMICZNE PIENIĄDZE

88 JAKUB WOZINSKI

NIEOCZEKIWANY LIDER POLSKIEJ GIEŁDY

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ

NIE CZEKAMY Z ZAŁOŻONYMI RĘKAMI

Czym dziś leczymy COVID-19

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (74), PRZYBYLSKI (75), GABRYEL, WARZECHA (90), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (97), SIEDLECKA (98)

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Jaka Polska?

Od lat obserwuję polskie życie publiczne, starając się być nie tylko jego analitykiem i recenzentem, lecz także aktywnym uczestnikiem wydarzeń wpływających na teraźniejszość i przyszłość kraju.

Jednocześnie coraz częściej, oglądając wystąpienia różnej maści polityków, dziennikarzy, ekspertów i doradców oraz przyglądając się parlamentarnym debatom (według definicji „Słownika języka polskiego”: „debatą to poważna i długa dyskusja na ważny temat”), zastanawiam się, czy do naszego dyskursu ta definicja pasuje. Choć nie ulega wątpliwości, że tzw. wybrańcy narodu i wszelkiego rodzaju mędrcy rozmawiają długo, że poruszają tematy ważne, na pytanie,



czy robią to poważnie, czy sami wierzą w te dyrdymałki, które niejednokrotnie „sprzedają” skołowanemu społeczeństwu (co jest zasługą oraz sukcesem polskich komunistów i zagarniających władzę w wolnej Polsce, strojących się w szaty liberalno-lewicowe, ich spadkobierców), odpowiedzi pozytywnej udzielić nie sposób.

Spróbujmy więc, my, zwykli zjadacze chleba, tak zwani nieprofesjoniści, do sedna problemu dotrzeć. Otóż podstawowym błędem, jaki w tym dyskursie popełniamy, jest szukanie odpowiedzi na pytanie: „Jaka ma być Polska?”. Tymczasem znacznie ważniejsza jest odpowiedź na pytania: „Czy Polska w ogóle ma być?”, „Czy za 10, 20 lub 50 lat pomiędzy Bugiem i Odrą będzie istniało państwo o nazwie Rzeczpospolita Polska?”, „Czy są w kraju znaczące siły polityczne, którym zależy na tym, aby tej Polski nie było,

aby nasze dzieci i wnuki podzieliły los pokolenia porzobiorowego?”.

Osobiście nie mam wątpliwości, że takie siły, i to znacznie poważniejsze, niż nam się często wydaje, istnieją i prowadzą coraz bardziej skuteczne działania mające doprowadzić do wymarzonego celu – wymazania z mapy Europy i świata państwa o nazwie „Polska”. Jeśli komuś wydaje się, że to jest niemożliwe, ten niech, nie szukając daleko, przyjrzy się naszemu najbliższemu sąsiadowi. Prawie 30 lat temu powstała niepodległa Ukraina.

Dziś jedna trzecia terytorium tego kraju znajduje się pod okupacją sowiecką, jego bardzo ważny fragment, Krym, został na trwałe od swojej macierzy odłączony, a znany rosyjski dziennikarz telewizyjny, politolog i publicysta Michaił Leontiew mówi: „Nie ma takiego kraju Ukraina. To fikcyjna rzeczywistość, wymyślona przez ludzi, którzy nienawidzili Rosji”.

Dziś coraz częściej mówi się o możliwości zlikwidowania w ciągu paru dni takich krajów jak Łotwa, Estonia i Litwa. Na naszych oczach znikają z mapy świata kraje i narody o długiej tradycji państwowej i wielowiekowej kulturze. To wszystko może również spotkać nas, bo nikomu wolność nie jest dana na zawsze, a Polacy mają szczególne doświadczenie wskazujące, że o nią trzeba stale walczyć, poświęcając czasem nawet własne życie. Niestety większości polskiego społeczeństwa taki scenariusz wydaje się niemożliwy. Ale ta wiara zazwyczaj wynika z braku znajomości historii, z nierozumienia mechanizmów rządzących światem, z zaufania do tysięcy hochsztaplerów politycznych umiejętnie wykorzystujących swoje pozycje zawodowe i społeczne oraz pochodzące z zawłaszczenia narodowego majątku (czyli po prostu okradzenia polskiego społeczeństwa) środków finansowe. Nie jest celem tego felietonu wskazanie bezpośrednio wspomnianych „zbawców ojczyzny”. To zadanie dla każdego z nas, na postawione pytania muszą odpowiedzieć sobie miliony Polaków. Jeśli to się uda, jeśli z tych odpowiedzi wyciągniemy odpowiednie wnioski, to Polska za kilka dziesięcioleci będzie krajem naszych marzeń i oczekiwań. Jeśli to się nie uda, jeśli zagapimy się i prześpiemy chwilę, którą nam daje historia, to pozostaje tylko wierzyć w opatrność Boską, co w realnym świecie polityki nie jest dobrą receptą na sukces.

**Wojciech Starzyński,
prezes Zarządu Fundacji „Rodzice Szkole”**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojarczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Ćosić (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański,
Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka,
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwec Weiss,
Piotr Wólczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański,
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fototelegrafia: Edyta Bortnowska, Przemysław Trzaycz
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okładka: Jakub Kamiński/East News, Adobe Stock; montaż: JAN
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylkaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl
DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Naprawdę ostatni czas

Stolica Apostolska upoważniła abp. Stanisława Gądeckiego do „przeprowadzenia dochodzenia wstępnego w sprawie zasygnalizowanych zaniedbań biskupa kaliskiego [Tadeusza Janiaka – przyp. P.S.] w prowadzeniu spraw o nadużycia seksualne na szkodę osób małoletnich ze strony duchownych”.

To pierwszy publicznie ogłoszony w Polsce przypadek użycia przez Stolicę Apostolską procedury określonej w liście papieskim o charakterze dekretu tzw. motu proprio o nazwie „Vos estis lux mundi”, który wszedł w życie 1 czerwca 2019 r. Określa on, że w razie podejrzeń o popełnienie poważnych przewinień w wypadku wyższych przełożonych kościelnych i zwierzchników wspólnot religijnych Stolica Apostolska może zwrócić się do metropolity archidiecezji, na której terenie mogło dojść do nadużyć, o wszechstronne zbadanie sprawy.

Metropolita sam określa, jak przeprowadzi badania, ale musi je prowadzić w konsultacji z watykańską Kongregacją Nauki Wiary i jej przekazać ostateczne wnioski. „Motu proprio” Franciszka wy-

pełnia pewną lukę, która dotąd istniała w sprawach dotyczących biskupów. Wcześniej wszelkie skargi na biskupów musiały być kierowane bezpośrednio do Rzymu. Tyle że w tak delikatnych sprawach jak oskarżenia o tuszowanie przypadków – takich jak zarzuty wobec bp. Janiaka – śledztwo w odległym Rzymie utrudniało dobre zbadanie sprawy.

Ale w polskim Kościele problemem była też bariera psychiczna. O ile od ponad dekady kwestia czynów pedofilskich zaczęła być traktowana serio, o tyle w stosunku do biskupów, którzy bywali pobłażliwi wobec księży pedofilów, była pewna zmowa milczenia.

Teraz wraz ze sprawą bp. Janiaka ten nieformalny immunitet zaczyna zanikać. Arcybiskup Gądecki musi próbować zbadać, jaka jest prawda. Będzie pod ogromną presją. Z jednej strony część hierarchów wciąż nie może się przyzwyczaić do takich rozliczeń. Wszyscy pamiętamy, jak w przypadku zarzutów lustracyjnych episkopat nie zdał egzaminu z gotowości do wyjaśnienia najbardziej niepokojących spraw.

Z drugiej strony antyklerykałowie już wydali werdykty i każde rozstrzygnięcie, które nie pójdzie po linii najostrzejszych konsekwencji, uznają za realizację zasady „kruc krukowi oka nie wykole”.

To postępowanie to jednak naprawdę już ostatnia szansa dla Kościoła, aby pokazać, że potrafi wnikliwie wyjaśniać takie sprawy. Tym bardziej że pojawiają się już nowe ogniska zapalne. „Rzeczpospolita” w sposób nakazujący poważne traktowanie sprawy informuje o zarzutach tuszowania pedofilii w przypadku bp. Henryka Tomasika. Według dziennika mimo skargi jednej z ofiar biskup radomski nie podjął śledztwa w sprawie oskarżenia przez ofiarę molestowania utytułowanego kapłana. Prokuratury nie zawiadomiono, choć wtedy nie było to obligatoryjne – obowiązek taki istnieje od 2017 r. Ale – co bardziej obciążające – miano też zaniechać powiadomienia Kongregacji Nauki Wiary, choć od 2001 r. jest to obowiązkowe. Jak dotąd do sprawy nie odniósł się abp Wacław Depo, metropolita częstochowski, któremu podlega biskup radomski. ©©



FOT. LESZEK ZICH/REPORTER

ZMARŁ JERZY PILCH, SYNEK Z WISŁY

„Gdy ojciec i pan Trąba postanowili zabić I sekretarza Władysława Gomułkę, panowały niepodzielne upały, ziemia trzeszczała w szwach, rozpoczynała się udręka mojej młodości” – to pierwsze zdanie „Tysiąca spokojnych miast” wyrecytować mogę obudzony w środku nocy. Uwielbiam tę powieść, moim zdaniem jest najlepsza w niemałym dorobku zmarłego 29 maja Jerzego Pilcha.

Kiedy wprowadzał na karty swoich książek Wisłę, gdzie się urodził w 1952 r., te Granatowe Góry z niezwykłą galerią postaci, ale i z autentyczną, wspinałą babką Czyżową, z luteranizmem wreszcie (pisarz przynależący do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego uznał się 10 lat temu za niewierzącego, by zaraz jednak temu zaprzeczyć)

– tam osiągał literackie wyżyny. Utrzymywał też, że mimo zachodzących wokół niego zmian, mimo nagrody Nike za „Pod Mocnym Aniołem”, pozostaje „tym samym synkiem z Wisły, stremowanym, wystraszonego”, bo „synkiem z Wisły – nawet z całych sił zwalczając mit – nie da się przestać być”.

Do pewnego czasu zarówno w jego życiu, jak i w życiu powieściowego pana Trąby (powiadał on, że wszystko, co osiągnął, zawdzięcza nałogowi) bardzo ważną rolę odgrywał alkohol. Później wszystko zdominował postępujący parkinson. W swoim piarstwie, zwłaszcza w felietonistyce, bywał zabójczo złośliwy, ale nie krzywdził i – co najbardziej istotne – nie łgał. To bardzo dużo.

Krzysztof Masłoń ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



VEDYCJA
NAGRODY

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 9bef64592c



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bij „Chama”!

Cenzura przewencyjna nie jest niczym nowym, ale zazwyczaj było tak, że cenzor przynajmniej sam czytał tekst, którego zakazywał. Współcześni miłośnicy tolerancji ze stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita nie – o tym, że złożyli na mnie doniesienie do prokuratury z artykułów 256 i 257 Kodeksu karnego (propa-

działem się z „Gazety Wyborczej” już w dniu premiery. Działacze stowarzyszenia nie ukrywali, że książki nie znają, wystarczyły im dwa cytaty użyte w promocji, krytykujące politykę Izraela i liderów syjonistycznych.

Najwyraźniej zastosowali metodę działania cenzury PRL, która miała zapisy „na nazwisko” i „na słowo” – np. nie wolno było używać słowa „sowiecki” ani publikować żadnych tekstów objętego zapisem autora. Nie wiem, co bardziej pobudziło do działania Otwartą Rzeczpospolitą, moje nazwisko czy słowo „syjonizm”, którego ich zdaniem używać nie wolno, gdyż „kojarzy się z marcową propagandą 1968”. Pewnie i to, i to.

Nieznajomością mojej książki pochwalili się też dumnie luminaarze lewicowo-liberalnego salonu, którzy podchwycili nagonkę – Tomasz Piątek, znany głównie jako ekshibicjonistyczny heroinista,

który w „Wyborczej” jako „dziennikarz śledczy” łączy strzałeczkami zdjęcia kogo popadnie ze zdjęciem Putina, oraz eksjezuista, profesor UW Stanisław Obirek. Ten drugi, w manifestie opisującym mnie jako plugawego rasistę, nie tylko nie omieszkął zaznaczyć, że nie czytał ani „Chama...”, ani w ogóle niczego, gdyż Ziemkiewicza nie czyta i nie ogląda z zasady „ze względów estetycznych i etycznych”, lecz także opatrzył tę przechwałkę słowem „oczywiście”. Żeby to udowodnić, nazwał „Chama niezbytowanego” powieścią, przypisał wydawcy, który nie ma z nim nic wspólnego, i odkrył, że przestałem pisać SF po tym, jak zostałem „wyśmiany” przez znanego pisarza fantasy Wacława Sapkowskiego.

Strach pomyśleć, jak taki Piątek, Obirek czy Otwarta Rzeczpospolita będą szaleć, kiedy przeczytają... Ale właściwie, skoro zapis jest jak wyżej, po cóż by mieli? ©©

Miłośnicy tolerancji ze stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita donieśli na mnie do prokuratury, choć książki nie czytali

gowanie faszyzmu i wzniesienie nienawiści rasowej, zagrożenie do trzech lat więzienia), domagając się zarazem zakazu wstrzymania dystrybucji mojej rzekomo propagującej i wzniesającej książki „Cham niezbytowany”, dowie-



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Młot Czarzastego

Czasami nie wystarczy „sztandar wyprowadzić”, zmienić krawat i czerwoną szturmwórkę na błękitne, a banały o komunizmie na slogany o demokracji. Czasami ten bolszewicki sierp

się właśnie lider SLD Włodzimierz Czarzasty, który w rozmowie z Onetem wypalił: „Kler w Polsce to dobrze zorganizowana mafia, z którą trzeba zrobić porządek”. Gdy zamieszany w aferę Rywina działacz niesławnego stowarzyszenia Ordynacka mówi o mafii, można się tylko uśmiechnąć.

Sprawa ma jednak drugie dno. Oto facet, o którym pies z kulawą nogą by dziś nie słyszał, gdyby nie przynależność i bezwzględna lojalność wobec PZPR, używa w demokratycznej Polsce retoryki z czasów głębokiego komunizmu. „Zrobić porządek z klerem” było ideą, która przy-

świecała kacykom PZPR zlecającym funkcjonariuszom SB mord na ks. Jerzym Popiełuszcze, różnym Urbanom, Jaruzelskim, Kiszczakom potępiającym niepokornych księży katolickich i wzywającym do ich „rozliczenia”. Sam Czarzasty kilka miesięcy wcześniej w jednym z wywiadów mówił, że ks. Jerzego zabili bandyci. Łatwo więc wyprowadzić proste logiczne równanie jego obecnej narracji ze strasznymi wydarzeniami lat minionych. Cóż, można udawać demokratę, kornie chylić dziś czoła nie przed Moskwą, ale Brukselą, jednak ta zgięta w pokłonie gęba to wciąż straszna morda dawnego systemu. ©©

Włodzimierz Czarzasty w rozmowie z Onetem stwierdził, że kler w Polsce to mafia, z którą trzeba „zrobić porządek”

i młot tak bardzo tkwią w środku, że w kryzysowych momentach znajdują swoje odzwierciedlenie. Takim sowieckim młotkiem okazał



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Republika sędziowska

W poprzednim numerze pisałem, że włoscy prokuratorzy z powodów politycznych wytoczyli bezpodstawny proces wicepremierowi Matteo Salviniemu. Wiadomo o tym dzięki podsłuchowi założonemu podejrzanemu o korupcję byłemu już szefowi Narodowego Stowarzyszenia Sędziów Luce Palamarze.

W ubiegłym tygodniu opublikowano kolejne fragmenty konwersacji i chatów Palamary.

a prezydentem Berlusconi. Notabene, gdyby teraz we Włoszech były wybory, najpewniej tak właśnie by się stało. Podobnych kwiatków jest więcej. Podsłuch poświadcza o bliskich spotkaniach trzeciego stopnia sędziów z politykami, w tym ministrami, i to wcale nie sprawiedliwości.

Być może teraz, wreszcie, uda się zreformować włoski wymiar sprawiedliwości i przepędzić na cztery wiatry rozpolitykowanych sędziów i prokuratorów, choć nie ma żadnej pewności. A „partia w togach”, jak Włosi mówią złośliwie o Stowarzyszeniu Sędziów, potrafi być perfidna do bólu, i to nie od dzisiaj.

W 1994 r., gdy premier Berlusconi był gospodarzem szczytu G7 poświęconego walce ze zorganizowaną przestępczością, włoska prokuratura, powodując najpierw przeciek do mediów,

w świetle reflektorów wręczyła Berlusconiemu zawiadomienie, że rozpoczęła przeciw niemu postępowanie, bo jest podejrzany o związki z mafią. Italii i całemu światu wysłano wiadomość „Berlusconi to mafioso”. Naturalnie okazało się później, że zarzuty są dęte. Przy okazji młodszy brat premiera przesiedział kilka tygodni w areszcie. Oczywiście nikomu za to włos z głowy nie spadł. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pomnik a sprawa polska

W sposób dla wielu nieoczekiwany nawet zamieszki na tle rasowym w USA podzieliły politycznie polskiego Twittera, wydobywając z niego rzadko spotykane pokłady absurdu. A zaczęło się od tego wpisu: „Pomnik Tadeusza Kościuszki przed Białym Domem zdewastowany. Trudno nazwać ich ludźmi, którzy walczą o swoje prawa, kiedy nie szanują bohatera obojga narodów. Stałem, nic nie mogłem zrobić” – relacjonował korespondent RMF Paweł Żuchowski.

„Zdewastowano pomnik człowieka, który w testamencie przeznaczył swoje amerykańskie dobra na uwolnienie czarnoskórych niewolników Thomasa Jeffersona. Brak słów” – pozwoliłem sobie skomentować jego wpis. I wtedy pojawiła się rzeczniczka SLD, Anna Maria Żukowska. „Może dlatego, że Jefferson nic z tym nie zrobił?” – zapytała. „Pomnik Kościuszki zdewastowany dlatego, że pieniądze, które przeznaczył na uwolnienie niewolników Jeffersona, nie zostały przez niego wykorzystane i pośmiertna wola wyegzekwowana?” – dopytałem. „Po baaaaardzo długiej analizie, na którą nie ma na TT miejsca – tak. Wygrana wojna o niepodległość USA przypieczętowała kontynuację niewolnictwa i podziały rasowe w tym kraju. Podczas gdy w Europie zniesiono niewolnictwo, w Stanach segregacja rasowa trwała jeszcze do lat 60. XX w.” – odparła ze swadą. Gdyby tylko nasz rodak wiedział, co najlepszego narobił.

Oczywiście można też pójść w kierunku groteski po stronie prawicowej. „80 lat po tym, jak niemieccy narodowi socjaliści zniszczyli w warszawskich Łazienkach pomnik Fryderyka Chopina, ich lewacy następcy zdewastowali pomnik Tadeusza Kościuszki w Waszyngtonie” – stwierdził w patriotycznym uniesieniu poseł Tomasz Rzymkowski.

Jakie uniesienie tutaj zadziałało, nie wiem. „Apelujemy do polskiego MSZ, by podjął działania na rzecz symbolicznego wsparcia czarnej insurekcji kościuszkowskiej, jakim będzie zachowanie napisów na cokole waszyngtońskiego pomnika” – napisał działacz partii Razem, Michał Kowalówka. „Dość niesamowity pomysł, ale w sumie oddaje ducha Kościuszki” – poparł go prof. Michał Bilewicz. Faktycznie. Dość niesamowity. ©©



Wynika z nich niezbieżnie, że stowarzyszenie, podobnie jak Wyższa Rada Sądownictwa, to cuchnące bagno. Wiele rozmów dotyczyło nominacji i awansów. Okazuje się, że były emanacją handlu i uzgodnień między frakcjami. Tak, tak, w stowarzyszeniu oficjalnie działają frakcje polityczne. W jednej z rozmów panowie w togach zobowiązali się do działań prewencyjnych, by nie ziścił się najczarniejszy sen włoskiego lewicowca: premierem zostaje Salvini,

CO ZA WYCZYN!

Iza Janachowska, kiedyś tancerka, dziś celebrytka, która odnalazła się w branży organizacji wesel, zdradziła „Faktowi”, że to ona, nie kto inny, poleciła samej Małgorzacie Rozenek firmę z ubrankami dla dzieci! Jak bowiem wiadomo, cięża Małgorzaty Rozenek to dziś w mediach plotkarskich temat numer jeden, więc każdy, kto może, chce się podczepić. – Poleciłam Gosi polską firmę z ubrankami dla dzieci, których jakość bardzo sobie cenię, bo wspólnie sprawdziły się u mojego Chriska. Gosi przydała się moja rada, bo akurat szukała ubranek, które zabierze ze sobą do szpitala – opowiedziała Iza. – Prawdopodobnie to w śpioszki z mojego polecenia ubierze swojego dziadziusia, gdy się urodzi – dodała dumnie. Panie i panowie, czapki z głów!

DO GROBOWEJ DESKI

Lider zespołu Ich Troje Michał Wiśniewski w kwietniu znów się ożenił. Już po raz piąty. Jego wybranka stroni jednak od show-biznesu, nad czym ubolewają plotkarskie media. – Nie chowam żony – tłumaczył się Wiśniewski por-



FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

talowi Plejada. – Po pierwsze, ona nie ma takiej potrzeby, a po drugie, szczerze powiedziawszy, może należałoby zrobić coś inaczej, niż było do tej pory... To jest osoba, która stroni od social mediów. Czasami pokazuje swoje czarno-białe zdjęcia na Instagramie – stwierdził. Wyznał także, że liczy na to, iż jego nowe małżeństwo przetrwa dłużej niż poprzednie. – Myślę, że mój nowy związek ma wielkie szanse na to, żeby dotrwać do końca – zapowiedział. Faktycznie, bo jakkolwiek by patrzeć, z wiekiem rosną szanse na miłość aż po grób!

OBOWIĄZEK WZYWA

Marina Łuczenko-Szczęśna, żona bramkarza polskiej reprezentacji, niespełniona piosenkarka



FOT. PAWEŁ CROMADA

i spełniona celebrytkoinfluencerka, postanowiła raz na zawsze wyjaśnić swoim fanom i nie tylko, dlaczego w jej mediach społecznościowych pojawiają się reklamy. Otóż Marina twierdzi, że nie dlatego, że coś z tego ma, ale dlatego, że czuje, iż musi! – Sporadycznie, ale jednak czasami dostaję od Was wiadomości pod tytułem: „Marina, człowiek reklama”, „Czemu tak reklamujesz te produkty, przecież nie musisz”. Totalnie nie wiem, co to znaczy, że nie muszę – muszę, ponieważ czuję się zobowiązana polecić wam produkty, których naprawdę używam – wyznała. – Kiedy widzę, że produkt się sprawdza, to chcę pomagać przy promocji, dlatego że mam fajny, nośny kanał, mam bardzo dużo dziewczyn u mnie na Instagramie, więc czemu miałabym się nie podzielić swoimi patentami, tajnikami urodowymi?

– pyta. Zwłaszcza gdy firmy kosmetyczne tak dobrze za to płacą! Ale tego ostatniego jakoś zapomniała już dodać.

WIELKIE ODKRYCIA

Tymczasem piosenkarka Margaret potwierdziła, że nie wystąpi w następnej edycji programu „The Voice of Poland”. Co prawda producenci programu podkreślają, że od początku już nie było jej w planach, ale Margaret twierdzi, iż to ona sama zrezygnowała. I miała swoje powody! – „Szkoda, bo »The Voice of Poland« kocham, ale niestety to jest TVP, więc sobie odpuszczę” – napisała krótko. Wychodzi na to, że całą poprzednią edycję była przekonana, iż występuje w TVN czy innym Polsacie. A potem zdziwienie, że mało kto traktuje ją poważnie.

ŻARTY I ŻARCIKI

Nie wiemy, co się dzieje z tymi śniadaniówkami, ale po akcji w „Dzień dobry TVN”, gdzie Filip Chajzer nabijał się z osób chorych psychicznie, przyszła kolej na TVP. W „Pytaniu na śniadanie” dwójce prowadzących robiło sobie żarty z choroby, jaką jest depresja. Łukasz Nowicki na antenie odradzał zażywanie antydepresantów i stwierdził, że najlepszym lekiem na depresję jest oglądanie „Pytania na śniadanie”! – Starajmy się zażywać tych leków jak najmniej, oglądajcie nas, spotykajcie się z najbliższymi. Sport, sport, sport – poradził. Gdy posypały się na niego gromy ze strony widzów, Nowicki postanowił szybko przeprosić (co na plus odróżnia go od Chajzera). Zapewnił też, że wyciągnie wnioski z tej sytuacji. „To nie brak empatii, tylko bezmyślność, za którą przepraszam. Nie jestem zbyt mądry” – napisał w swoich mediach społecznościowych. Cóż, trudno się nie zgodzić. ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w niemieckiej prasie pojawiły się sformułowania, jakoby Polska była odporna na kryzysy – nie tylko ten spowodowany pandemią, lecz także wcześniejsze. Niemiecki dziennikarz napisał nawet, iż ten kraj wszedł na pozycję „unikacza kryzysów”.

teraz pomyślimy, iż ten kraj unika wyzwań, to już nie jest tak fajnie, prawda?

Od wejścia do UE Polska uniknęła bowiem wyzwań m.in. związanych ze strefą euro czy przyjęciem imigrantów. A przecież jest tak, iż im większe wyzwanie przed tobą, tym więcej możesz

Marszałkini Sejmu ogłosiła, iż wybory prezydenckie odbędą się 28 czerwca. To kpina z demokracji przedstawicielskiej, przecież nikt nie zapytał nas o zdanie. A co, jeśli mamy na ten dzień inne plany?

Żeby wszystko odbyło się, jak należy – z poszanowaniem naszego prawa do wolnych weekendów i planów na świecą niedzielę – najpierw powinno zostać zwołane referendum, oczywiście po uprzednich konsultacjach, w którym to my, wyborcy, wskazalibyśmy, kiedy ewentualnie moglibyśmy przyjść i zagłosować.

A nie, że przyjdzie marszałkini z pisu i nam po prostu wskaże, że wtedy i wtedy. To może być też granie terminem pod ustawienie poparcia dla Dudy. 28 czerwca miała być przecież pierwsza niedziela wakacji. Większość z nas może mieć jakieś plany i pomimo nowego reżimu sanitarnego chce wyruszyć nad morze, do Sopotu czy na Krupówki.

W domach zostałyby więcej januszy, którzy nie są na tyle świadomi świata, iżby opuścić obszar jurysdykcji swoich gminnych ośrodków pomocy społecznej, więc mogliby pójść na wybory i zagłosować na Dudę albo zwiedzeni narracją katofashystofską na, nie daj Unio, Bosaka. Dlatego mimo wszystko w duchu świeckiej odpowiedzialności za postępowe państwo będziemy musieli przełożyć sopocki clubbing np. na za dwa tygodnie. ☺☺



Of kors rządowi taka narracja jest bardzo na rękę, żenujące jest też, jak się cieszy Podkarpacie, iż dobrze o nas napisali w Niemczech, co za kompleksy xD Tymczasem, kochani, tu się cieszyć zupełnie nie ma z czego. Przecież wszyscy wiecie, iż pracujecie w korpo, iż nie powinno być w naszych słownikach pojęcia „kryzys”. Może być co najwyżej „wyzwanie”. I gdy sobie

osiągnąć, awansować w hierarchii korpo, zostać liderem. A ten kraj nie jest liderem nawet w swoim regionie przecież xD

A zatem: uspokajamy. Niemcy wcale nas nie chwala, ale wręcz krytykują. Podkarpacie z Podlasiem tańczą jakąś tradycyjną polkę (straszna siara, swoją drogą) z radości, a wcale nie rozumieją, iż zostali zaorani jak ich pola na zimę.

PODSŁUCHANE

Hatczylendź

Jarek, ty widziałeś tego idiotę Gowina?

No, widziałem go kilka dni temu. Ja rozumiem, Ryszard, że za nim nie przepadasz, ja też uważam zresztą, że wzięcie go na pokład było błędem...

A właśnie, pamiętasz, mam nadzieję, że nie moim i że nie ja do tego parłem?

Ależ oczywiście.

A kto?

A kogo sobie życzysz?

Jak trzeba będzie, to powiemy, że Mateusz. W zależności od sytuacji.

Jasne.

Wracając: ale idiotą to bym go jednak nie nazwał. Najmądrzejszy to on nie jest, ale nie aż tak. **Ale nie o Jarku mówię. O Ziemowicie, synu jego.**

Nie znam.

Piosenkę zaśpiewał w ramach tego tam hatczylendź czy coś...

Coś tam słyszałem...

I śpiewa o pajacach na górze i że „Zjednoczona Prawica”

i... no wiesz, rymuje się.

Lwica? Piwnica?

Kałamarnica?

Nie, ale też na „k”.

Nieładnie. Duży Jarek się odciął?

Niby tak, ale wiesz jak to on.

Trochę się odciął, a trochę nie i się nie cieszył.

Wydrukuj mi tę piosenkę.

W stosownym czasie się przypomni. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jak oglądacie zdjęcia z USA, to pamiętajcie, że delikwent w Białym Domu prowadził kampanię pod hasłem MAKE AMERICA GREAT AGAIN. Płakać się chce”

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



dwaj panowie g

To przekleństwo mieć długą pamięć. Dlatego pamiętamy, jak chór ludzi małej wiary krzyczał, że „właśnie PiS przegrał wybory!”. Kiedy tak krzyczał? Kiedy Kaczor Dyktator opisał w Sejmie Eine Totalopposition jako „zdradzieckie mordy”. Dlatego ze spokojem przyjęliśmy „chamską hołotę”. Widzicie, w czasach polaryzacji elektorat lubi czasem usłyszeć trochę prawdy, a dodatkowy efekt jest taki, że zdradzieckie mordy zamiast knuć, ślinią się i drą, że ich biją. Co, jak wiadomo, jest przeciwnie skuteczną strategią wyborczą.

Apropos strategii wyborczej opozycji. Im dłużej słuchamy, co wygaduje Rafcio Trzaskowski o tym, jak to będzie sam odwoływał i powoływał organy konstytucyjne po uważaniu, wypalał żelazem i osobiście przerzucał miliardy z inwestycji na zasiłki, tym bardziej widzimy, że coś się chłopu pokiełbasiło. Być może śni nocami nie o tym, że jest nowym Dudą, ale nowym Macronem. Efekty obcowania z Geremkiem i nadmiaru języków obcych.

Tymczasem guerilla partyjnych kolegów Rafcia Trzaskowskiego skłania nas do wyciągnięcia wniosku, żeby PeŁo wreszcie przestała się krygować i oficjalnie zmieniła nazwę na KOAL-a (Koalicja Obywatelska-Armia Liberalna), KOKODA (Koalicja Obywatelska-Komando Dywersja) albo przynajmniej Koalicja Obywatelska-Frakcja Obywatelska. O kurczę, właśnie nas oświeciło – przecież Rafcio to w skrócie RAF!

Po tym, jak ujawniliśmy, że za murami Nowogrodu odrodziła się koncepcja Kaczor Dyktator premierem, odezwała się pewna wpływowa wiewiórka i opowiedziała, że niektórzy chcieliby ulżyć Naczelnikowi w tej kwestii. „Na przykład Mariusz Błaszczak” – opowiadała wiewiórka – „mówi, że jest się gotów poświęcić dla dobra Polski”.

Tak czy inaczej idą wielkie zmiany. „Jeśli Andy przegra, to będzie tsunami” – opowiedział nam pewien minister. „A gdy wygra?” – zapytaliśmy skromnie. „Wtedy będzie tylko sztorm” – odpowiedział minister.

Tak, są tacy w murach Nowogrodu, którzy mówią o prezydencie Andrzej Sebastianie per „Andy”.

Skoro już mówimy o ksywkach, to na przykład są i tacy, którzy mówią o Stanisławie Karczewskim „Stanley”.

Ci sami ludzie, którzy zapowiadają tsunami i sztorm w Nowogrodzie po wyborach prezydenckich, twierdzą, że jedno ważne pożegnanie już się właściwie odbyło. Nikt bowiem sobie nie wyobraża, żeby po kryzysie „trzy razy K” (koalicyjno-korespondencyjno-kopertowym) jeszcze kiedyś jakiegokolwiek członek partii Gowina kandydował z list Zjednoczonej Prawicy.

Niektóre zmiany dokonują się płynnie i po cichu. Na przykład Marlena Małąg została wytypowana, by zostać nową Elżbietą Rafalską rządu. Nie chodzi o to, że piastuje to samo stanowisko ministerialne, ale o to, że ma być twarzą wszystkiego, co dobre, od „Maluch+” przez „500+” do tarcz dla przedsiębiorców. Marlena daje radę, co potwierdzają ciekawe słupki opisujące to, jak się przyjmuje w elektoracie to, co mówi, i jej zwiększoną aktywność.

Marlena Małąg ma jeszcze jedną zaletę – nie jest z Porozumienia. To tłumaczy, dlaczego to jej filipiki w obronie przedsiębiorców są eksponowane, a nie np. filipiki Jadwigi Emilewicz. Sic transit gloria Porozumienia.

Tymczasem osoba głowy państwa odwołała z placówki w Pradze ambasador Barbarę Ćwiro. Podobno za mobbing podwładnych. To kolejna osoba mianowana przez dobrą zmianę, która zjeżdża do kraju przed upływem kadencji. Poprzedni był niejaki Izydorczyk z Japonii.

To nie koniec. Oko Saurona z MSZ wypatrzyło w pewnym kraju, w którym kondor zdechł, kolejną osobę do zjaz-

du. Jest nawet zdumienie, że w ogóle owa pani ambasador wyjechała na placówkę. W jej CV przewija się bowiem gender studies. Na przemian z feminizmem. Pewnym wytłumaczeniem może być to, że owa ambasador wywodzi się z tej samej uczelni co poprzedni szef dyplomacji.

Wielu ludzi uważa, że kampanie to czas pustych obietnic. Jesteśmy innego zdania. To czas nieintencjonalnej szczerości. Na przykład Gośka Kidawa ogłosiła, że „musimy jako politycy czasami wbrew sobie mówić prawdę”. Cieszymy się, że ktoś wreszcie przyznał, iż tak naturalnie, w zgodzie ze sobą, politycy PeŁo mówić prawdy nie są w stanie.

To poprzednia kandydacja. A obecny kandydat? „Jestem wierny swoim poglądom, ale tutaj po prostu słucham ludzi” – ogłosił z kolei Rafcio Trzaskowski pytany o to, czy skasuje „500+”. No więc nie skasuje, gdyż nie jest wierny swoim poglądom. Czy można mu jednak wierzyć? Przecież mówienie prawdy to działanie „wbrew sobie” (M.K.B.).

Swoją drogą uważamy, że Rafcio Trzaskowski stworzył uniwersalne hasło dla całej politycznej rodziny od KLD do PeŁo. „Jesteśmy wierni swoim poglądom, ale”. To by tłumaczyło, dlaczego partia Rafcia, która kiedyś wygrywała wybory, obiecując, że będzie budować drogi, lotniska i co się da, teraz głosi, że nie można niczego budować, zwłaszcza lotnisk i kanałów.

Ujawniamy: jeden z byłych bardzo wysokich dowódców wojskowych, który trząsł armią za poprzedniego reżimu, już zaczyna się niepokoić. Otóż pewien jego podwładny podobno dokumentował spotkania. Mniejsza o przekręty w armii. Jeśli tabloidy się kiedyś dorwą do tych materiałów, to obawiamy się, że commingoutują pana generała.

Podobne obawy może żywić jeden z byłych szefów służb. Również z czasów minionego reżimu. Coraz głośniejsze jest o tym, że przyjaźnił się z bardzo młodymi oficerami. Jak tak dalej pójdzie, to wśród zwierzchników wojska i służb w stanie spoczynku (jakkolwiek by to brzmiało) będzie można zbierać niezły dark room. Bardzo jesteśmy ciekawi interpretacji, którą zaoferuje swym czytelnikom „GazWyb”. ©©



Archiwalny kurs na innowacje

Polska administracja oferuje już możliwość korzystania drogą elektroniczną z kilkuset różnych usług cyfrowych. Szybki rozwój e-usług publicznych sprawia, że Polacy chętnie posługują się dokumentami w postaci elektronicznej. Cyfrowe dokumenty stają się więc coraz powszechniejsze również w administracji publicznej. Część tej dokumentacji stanowią zaś materiały archiwalne.

Aby archiwa państwowe mogły sprawnie przejmować materiały archiwalne w postaci elektronicznej, Naczelną Dyrekcję Archiwów Państwowych podjęła się realizacji projektu stworzenia Archiwum Dokumentów Elektronicznych. Jego celem było powstanie systemu informatycznego (systemu ADE) umożliwiającego podmiotom przekazanie do archiwów państwowych dokumentacji w postaci elektronicznej stanowiącej materiały archiwalne, a archiwom państwowym jej

Cyfrizacja stała się nierozłączną częścią życia. Szybko postępujący proces digitalizacji wywiera duży wpływ także na funkcjonowanie jednostek publicznych. Archiwa państwowe są gotowe do zabezpieczania i długoterminowego przechowywania dokumentów elektronicznych

przejęcie, zabezpieczenie i długoterminowe przechowywanie oraz udostępnianie.

Podstawowym źródłem, z którego będą pochodzić materiały archiwalne w postaci elektronicznej przekazywane do systemu ADE, będą systemy elektronicznego zarządzania dokumentacją (EZD) funkcjonujące w podmiotach nadzorowanych przez archiwa państwowe. W najbliższych latach dla części z nich skończy się 10-letni okres, po którym zgromadzone materiały archiwalne należy przekazać do archiwum państwowego.

Pracownikom jednostek chcących przekazać materiały archiwalne do archiwów państwowych w systemie ADE

dedykowany jest Portal Jednostki, dostępny poprzez stronę WWW. Po założeniu kont użytkowników w systemie ADE ich weryfikacja i autoryzacja następują poprzez usługi Węzła Krajowego (np. Profil Zaufany). Warto podkreślić, że w przypadku jednostek korzystających z systemów EZD zakłada się integrację tych systemów z systemem ADE. Pracownik jednostki będzie wówczas realizował czynności w użytkowanym przez siebie systemie EZD, a nie w Portalu Jednostki.

Jednym z podstawowych procesów obsługiwanych w systemie ADE jest proces przekazywania materiałów archiwalnych do archiwum

państwowego. Obejmuje on wszystkie działania: od złożenia przez jednostkę wniosku o przekazanie materiałów archiwalnych przez jego weryfikację przez archiwum państwowe do przesłania materiałów archiwalnych, ich odebrania i weryfikacji w systemie oraz formalnego przejścia lub odrzucenia materiałów archiwalnych w postaci elektronicznej.

W systemie zaimplementowane zostały takie narzędzia jak wizualizator czy walidator paczki archiwalnej, które ułatwiają i automatyzują czynności związane z weryfikacją jej poprawności.

Więcej informacji można uzyskać na www.ade.gov.pl lub pod adresem e-mail: ade@archiwa.gov.pl

Projekt jest współfinansowany ze środków UE w ramach Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa, działanie 2.1 „Wysoka dostępność i jakość e-usług publicznych”





FOT. ELIJAH NOUVEAU/GETTY IMAGES

AMERYKA PŁONIE

„Nie mogę oddychać” i „Życie czarnych się liczy” – to główne hasła, pod którymi w amerykańskich miastach odbywały się protesty wywołane śmiercią George’a Floyda – czarnego 46-latką, który zginął podczas interwencji policji. Antyrasistowskie demonstracje i pikety odbyły się też przed ambasadami USA w wielu krajach świata, m.in. w Wielkiej Brytanii, Niemczech i w Polsce.

Niestety, pokojowe demonstracje w USA często zmieniały się w ostre starcia z policją. W największych metropoliach podpalano samochody, niszczone radiowozy, okradano sklepy i atakowano stróżów prawa. Wandale zdewastowali również m.in. pomnik Kościuszki przed Białym Domem. Monument polskiego i amerykańskiego bohatera pomazano sprayem

również w Warszawie. Tłumów w USA nie uspokoiło to, że Derek Chauvin, oficer policji, który mimo błagań czarnoskórego zatrzymanego nadal uciskał mu szyję kolanem, doprowadzając do jego śmierci, został oskarżony o morderstwo drugiego stopnia, a za kratki trafili też pozostali oficerowie z patrolu. Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” sytuacji nie uspokoiło również wprowadzenie godziny policyjnej w kilkudziesięciu miastach, a także użycie przez policję gazu łzawiącego i granatów hukowych. Do kontynuowania protestów wezwali demonstrantów politycy Partii Demokratycznej, m.in. były prezydent Barack Obama. (jap) © ©

**CZYTAJ TAKŻE „LEWACKA PRZEMOC”
NA STRONIE 76**

Eurożołnierz w Belwederze?

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



Piotr Semka

Sondaże wskazują na bardzo wyrównane szanse Rafała Trzaskowskiego w rywalizacji z Andrzejem Dudą. Czas więc spróbować wyobrazić sobie, jak ewentualne objęcie przez Rafała Trzaskowskiego roli prezydenta RP może zmienić polską politykę

Czy w wyborach 2020 r. stawką jest powrót do stylu władzy Platformy Obywatelskiej z lat 2007–2015? Są podstawy do takiego twierdzenia.

W partii tej nie doszło do żadnej krytycznej oceny tamtego okresu rządów nad Polską. Silna jest w PO wiara, że „powrót demokracji” nastąpi dopiero wtedy, gdy wszystko wróci do stanu sprzed 2015 r.

Wyobraźmy sobie pięć osobnych politycznych ról prezydenta Trzaskowskiego.

1. WIELKI BLOKUJĄCY

Żadna z poważnych zmian, które Prawo i Sprawiedliwość wcielało lub próbowało wcielić w ciągu dwóch dotychczasowych okresów rządów w Polsce, nie byłaby możliwa bez jedno-

czesnej politycznej kontroli nad rządem i ośrodkiem prezydenckim. Rządy lat 2005–2007 wyróciły się o brak większości w Sejmie, ale nie byłyby w ogóle możliwe, gdyby nie miały silnego sojusznika w postaci prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

W drugą stronę ten czynnik działał w mniejszym stopniu. Rząd Tuska realizował swoje główne zamierzenia, mimo że do 2010 r. Belweder był w rękach brata Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście na pewnych polach prezydenckie weta bywały dla Donalda Tuska problemem. Przyczyniły się np. do przedłużenia kontroli PiS nad mediami publicznymi, choć w kompromitujących łamańcach koalicyjnych z Samoobroną, Ligą Polskich Rodzin i Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Teraz ewentualne

przejęcie pałacu prezydenckiego przez Platformę może pole działania PiS zredukować do bardzo wąskiego wymiaru.

Trzaskowski na razie deklaruje raczej pokojowe zamiary. Na wiecu w Poznaniu 30 maja mówił: „Nie będę prezydentem, który będzie wadził się z rządzącymi. Nie będę prezydentem totalnej opozycji, bo prezydent musi współpracować z rządem”. To jednak raczej uspokajające sygnały dla wyborców środka. Jednocześnie podkreślał, że prezydent „nie może pozwolić na niszczenie wspólnoty”. Za takie niszczenie wspólnoty Trzaskowski po objęciu funkcji głowy państwa może uznać każdy element programu reform wdrażanych przez Jarosława Kaczyńskiego po 2015 r. Tym bardziej że na ewentualnego prezydenta Trzaskowskiego z pewnością naciskać będzie Platforma, która nie kryje, że chce jak najszybciej odsunąć PiS od władzy.

Spodziewać się raczej trzeba ostrego sporu. Bardzo prawdopodobne są weta prezydenckie wobec większości uchwał i ustaw rządu Mateusza Morawieckiego. A PiS będzie wobec tych blokad bezradny. Nie ma większości dwóch trzecich głosów potrzebnych do odrzucenia weta głowy państwa. Tym bardziej że prezydent Trzaskowski z pewnością działałby w koordynacji ze zdominowanym przez opozycję Senatem.

Politycy PO nie ukrywają też, że w razie zdobycia pałacu prezydenckiego natychmiast rozpoczną działania na rzecz nowych wyborów parlamentarnych. Dzisiaj jest to niemożliwe, gdyż Zjednoczona Prawica posiada większość. Jest ona jednak krucha. Wystarczy, że czterech posłów obozu rządzącego przejdzie na stronę opozycji, a nowe wybory zaczną być realne. A dalej pójdzie już łatwo. Wystarczy wniosek o konstruktywne wotum zaufania, w którym większość Sejmu odwoła Mateusza Morawieckiego, a następnie może przegłosować nowego premiera. Nikt nie ma cienia wątpliwości, że prezydent z PO będzie ten proces wspierał, jak tylko będzie mógł.

Odrzucimy jednak skrajny scenariusz i przyjmijmy, że Zjednoczona Prawica pozostanie monolitem. Wtedy prezydent Trzaskowski może przyjąć taktykę na trzyletnie przeczekanie, blokując działania PiS na podstawie posiadanych uprawnień.

Lista blokad jest dość spora. Głowa państwa może np. do woli zwlekać z mianowaniem ambasadorów. MSZ będzie przysyłało wnioski w sprawie nominacji, ale prezydent może je ignorować, proponując choćby kompromis w sprawie znalezienia kandydata, który będzie mu bardziej odpowiadał. Już od startu prezydentury Trzaskowskiego zablokuje to drogi na zagraniczne placów-

**28 czerwca Polacy
będą głosować nie tylko
na nowego prezydenta.
To najważniejszy wybór
dotyczący przyszłości Polski**

ki tym, którzy w czymkolwiek narazili się Platformie.

Osobny spór może dotyczyć wojska. Konstytucja w bardzo niejasny sposób dzieli kompetencje prezydenta i Ministerstwa Obrony Narodowej w kwestii kierowania obronnością kraju. Prezydent może odrzucać wnioski MON o nominacje generalskie i admirałskie. Gospodarz Belwederu ma jeszcze jedną władzę. To on mianuje członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Na razie kadencja obecnych członków rady kończy się dopiero jesienią 2022 r., ale po tym okresie nowe nominacje będą już w gestii prezydenta.

2. BLOKADA ZMIAN W SĄDACH

Tutaj prezydent z PO na pewno wykaże najwięcej inwencji. Spór o sądy to najważniejsza kwestia, jaka rozbudza emocje opozycji. Sędziowie, którzy weszli na drogę politycznej walki, tak jak Igor Tuleya czy prawnicy w rodzaju Marcina Matczaka, uznają z pewnością prezydenta za taran do rozbicia obecnego kształtu aparatu sprawiedliwości.

Tym bardziej że w środowisku sędziowskim, które kontestuje reformy, nie dokonała się żadna próba analizy własnych błędów. Nikt nie zastanawia się, dlaczego stan środowiska sędziowskiego wzbudzał i wzbudza tak wiele kontrowersji. W obozie Tulei i Matczaka dominuje raczej niecierpliwe czekanie na triumfalny powrót i wendetę na nominatach dobrej zmiany.

Jakie szanse na podjęcie takiej gry miałby Trzaskowski? Dwa kluczowe sta-

nowiska w Trybunale Konstytucyjnym i w Sądzie Najwyższym jeszcze długo będą poza jego wpływem. Mianowana w grudniu 2016 r. przez prezydenta Andrzeja Dudę prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska ma długą, sześcioletnią kadencję, która skończy się za dwa lata. Jeszcze dłużej potrwają rządy pierwszego prezesa Sądu Najwyższego Małgorzaty Manowskiej, która całkiem niedawno rozpoczęła swoją sześcioletnią kadencję.

Prezydent ma w swojej gestii mianowanie sędziów sądów okręgowych, rejonowych, apelacyjnych i wojewódzkich sądów administracyjnych. Tutaj spodziewać się można, że Trzaskowski mógłby odmawiać mianowania nowych sędziów, których prezydentowi będzie nominować obecna Krajowa Rada Sądownictwa. Trzaskowski, jak można się domyślać, może kwestionować legalność KRS. W ten sposób liczba wakatów na stanowiskach sędziowskich będzie rosła, a sprzyjające opozycji media będą głosić, że wywoływany w ten sposób chaos to kolejny dowód na niszczenie sądownictwa.

Bardzo możliwy jest powrót nowego prezydenta do tzw. falandyzacji prawa, czyli tworzenia naginających przepisy interpretacji wygodnych dla ośrodka prezydenckiego. Przykładem niedawnego powrotu do falandyzacji były przyjęte z zainteresowaniem przez marszałka Grodzkiego teorie prof. Ewy Łętowskiej, że to marszałek Senatu, a nie Sejmu, przejmuje kompetencje po głowie państwa, której kończy się kadencja.

Takich pomysłów na dworze Trzaskowskiego może pojawić się więcej. Chętnie dostarczą ich pałający niechęcią do obecnego rządu profesorzy o znanych nazwiskach.

3. ŻOŁNIERZ EUROPEJSKOŚCI

W Hollywood mawiają: „Jesteś tak dobry jak twój ostatni show”. Ostatni show Trzaskowskiego na polu polityki międzynarodowej odbył się 22 września 2015 r. Tego dnia ówczesny wiceminister MSZ Rafał Trzaskowski wrócił ze szczytu w Brukseli na temat obowiązkowego rozdzielania uchodźców między państwa unijne. „Polska zagłosowała za, absolutna większość polskich postulatów została spełniona” – wyznał wtedy polityk PO z dość nietęgą miną.

Jak wyjaśnił, Polska miałaby przyjąć ok. 6,5 tys. osób. A pierwsi uchodźcy

■ mieli trafić do naszego kraju w 2016 r. Wiceminister zaznaczał wtedy, że za rok podjęta ma być nowa decyzja o rozdzieleniu pozostałych 56 tys. uchodźców. „Nie było możliwości zablokowania tego projektu, bo nie było wystarczającej liczby państw na »nie«. [...] Czysty sprzeciw doprowadziłby do tego, że nie mielibyśmy wpływu na decyzje, a i tak musielibyśmy przyjąć uchodźców”.

Warto przypomnieć jego postawę sprzed pięciu lat, gdyż dobrze pokazuje ona fatalizm myślenia ówczesnego wiceszefa MSZ. Uznał, że przyjęcie uchodźców jest nie do uniknięcia. Jedynie próbowano bagatelizować to opowieścią, że liczbę uchodźców porównać można do liczby ludzi, którzy zapewnią średniej wielkości stadion piłkarski. Nie dopowiadano jednak, że powstałby wtedy europejski system rozdziału przybyszów z Azji i Afryki, który potem mógł nakreślić się sam.

Nic nie wskazuje na to, by Trzaskowski zmienił swoje przekonanie o wszechmocy najważniejszych unijnych graczy. A to on w razie wygranej zacznie współtworzyć politykę Polski wobec Unii. Konstytucja w niejasny sposób pisze o tym, kto powinien kształtować politykę zagraniczną Polski. Teoretycznie głowa państwa i rząd powinni pracować harmonijnie, ale wobec zupełnego innych filozofii podejścia do Brukseli prognozować można ciągły konflikt. Na szczytach unijnych powtórzyć mogłyby się „wojny o krzesło”, które pamiętamy z epoki koabitacji Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Trzaskowski z pewnością o wiele bardziej będzie wsłuchiwać się w opinie Berlina i Paryża niż PiS. Także stosunek do zaawansowanej współpracy militarnej z USA szybko mógłby się zmienić. Oczywiście nie byłoby to zrywanie dawnych więzów z dnia na dzień. Po prostu Trzaskowski pilnie uważałby, aby relacje z Waszyngtonem nie zaszkodziły relacjom z Unią Europejską. Z takim zastrzeżeniem żadna rozwojowa kooperacja polsko-amerykańska się nie uda.

4. TĘCZOWY BELWEDER

Półtoraroczne rządy Trzaskowskiego nad Warszawą pokazują wyraźnie, że jego krajowa prezydentura byłaby okresem otwarcia na postulaty feministek i lobby LGBT. Teraz, gdy trwa kampania, Trzaskowski na gwałt łagodzi ten wizerunek. Pytany parę dni temu w Radiu

Zet o małżeństwa osób tej samej płci, wykręcał się od odpowiedzi, powtarzając w kółko, że teraz najważniejszą sprawą są jedynie związki partnerskie. Dwa lata temu pytany jednak przez Monikę Olejnik o małżeństwa osób tej samej płci mówił: „Uważam, że kwestia dotycząca związków partnerskich dotyczy praw obywatelskich. Bardzo chciałbym być pierwszym prezydentem Warszawy, który mógłby takiego ślubu udzielić”.

W rozważaniach, jak zachowałby się prezydent Trzaskowski w sprawach cywilizacyjnych, pomocny może być casus niegdyśszych jego zwierzchników, takich jak premier Ewa Kopacz. W 2008 r. wybuchła tzw. sprawa Agaty. Piętnastolatka z Lublina została zgwałcona, w wyniku tego zaszła w ciążę. Dziewczynka długo nie chciała poddać się aborcji, ale pod naciskiem rodziny zgodziła się zabić własne dziecko. W znalezienie miejsca, gdzie mogłaby być przeprowadzona aborcja dziecka Agaty, zaangażowała się osobiście ówczesna minister zdrowia Ewa Kopacz. Pani minister deklarowała wówczas, że jest katoliczką, ale swoje przekonania zostawia w przedpokoju urzędu, który objęła.

Podobny styl podejścia do własnej wiary zaobserwować w niedawnych wypowiedziach Trzaskowskiego, gdy został zapytany przez dziennikarza, dlaczego jego syn nie poszedł do pierwszej komunii świętej. Trzaskowski wyjaśnił wówczas, że decyzję podjęła jego żona, a nie on. Byłaby to trochę inna wersja prezydentury Bronisława Komorowskiego, który także deklarował, że jest katolikiem, ale jako prezydent w większości wypadków unikał wchodzenia w spory cywilizacyjne. Co więcej, gdy potrzebne mu były jakieś gesty potwierdzające jego wiarę, zawsze mógł liczyć na paru życzliwych hierarchów, którzy nie wypominali mu milczenia wobec np. feministycznego charakteru obecności prof. Małgorzaty Fuszary w rządzie Ewy Kopacz.

Trzaskowski nie jest specjalnie rewolucjonistą obyczajowym, ale naciskany przez środowiska zwolenników zmian obyczajowych szybko akceptuje nadawany ton. Jesienią kończy się kadencja Adama Bodnara jako rzecznika praw obywatelskich. Nowy kandydat musi być uzgodniony przez Sejm i Senat, co nie wróży ani szybkiego, ani łatwego porozumienia. A Trzaskowskiemu przedłużający się stan pozostawiania

Bodnara na swoim stanowisku nie będzie przeszkadzać.

Jeszcze jeden rys, który może okazać się istotnym elementem jego potencjalnej prezydentury. W czasie obecnej faktycznej kampanii prezydenckiej Trzaskowski już w dwóch przypadkach wykazał skłonność do demagogii. Raz, gdy wezwał do porzucenia wielkich projektów Morawieckiego, przekopu wiślanego i Centralnego Portu Komunikacyjnego, na rzecz tzw. poduszki antykrzysowej i premii dla lekarzy i pielęgniarek. Demagogią zawiało też, gdy kandydat PO wezwał do przyjęcia ustawy „skromnościowej”, która miała zarządzić obniżenie pensji w spółkach Skarbu Państwa. Postulat chwytliwy, który jednak mógłby spowodować odpływ kadr ze spółek Skarbu Państwa na rzecz prywatnych firm. Ta skłonność do demagogii w razie wygranej Trzaskowskiego może jeszcze nieraz powrócić.

5. CZYNNIK RÓWNOWAGI?

Niedawno na marginesie sporu o piosenkę Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój” znany rockman zaznaczył, że nie zgłasza na Andrzeja Dudę, gdyż nie odpowiada mu monopol władzy. Ten argument sprawnie podejmuje Platforma w swej kampanii. Głosi ona, że prezydent z opozycji powinien być równowagą dla rządu PiS. Tyle że już obecnie trudno jest mówić o monopolu władzy PiS, gdy zderza się on z wyrażeniem opozycyjną postawą Senatu, silną presją rozmaitych organów Unii Europejskiej i gdy wkraczają do polityki samorządy największych miast. Jeśli dodać by do tego prezydenturę Trzaskowskiego, to wszystkie projekty zmian autorstwa PiS zostałyby ostatecznie zablokowane. Nieprzypadkowo Jolanta Kwaśniewska deklaruje, że poprze Rafała Trzaskowskiego. To głos za tym, „aby było, jak było”.

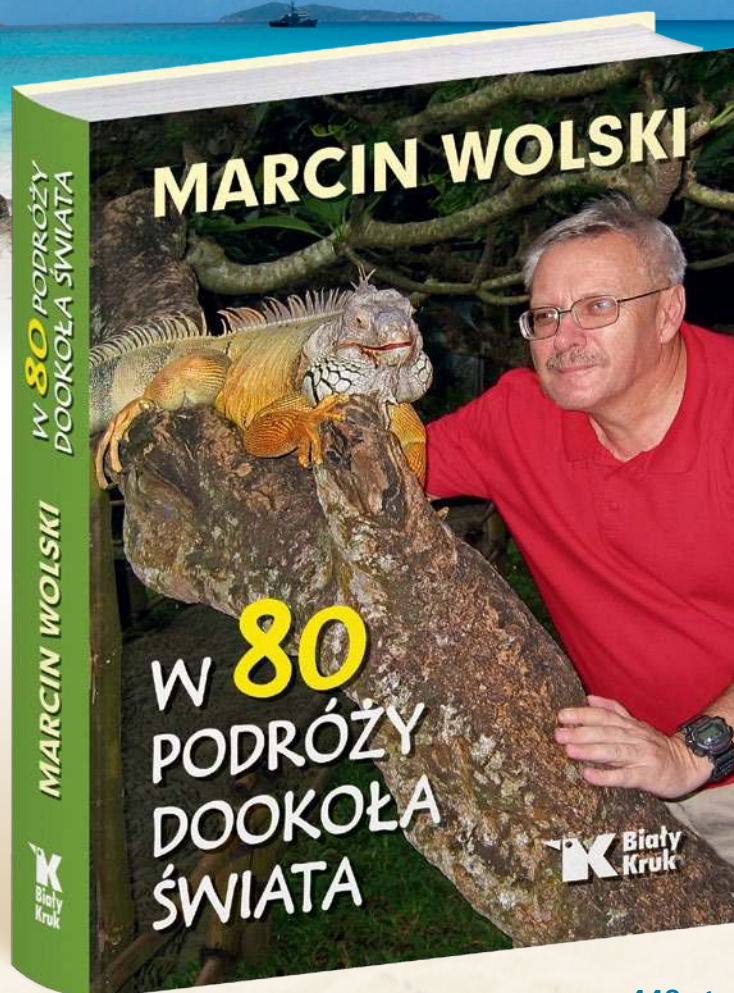
Premier Mateusz Morawiecki mógłby jeszcze tylko trzy lata administrować, wciąż zagrożony konstruktywnym wotum nieufności ze strony opozycji. W tym sensie wybory 28 czerwca i prawdopodobna druga tura 12 lipca będą opowiedzeniem się za zakończeniem dobrej zmiany lub za jej przedłużeniem. Będzie to najważniejszy wybór dotyczący przyszłości Polski. Po atmosferze wyborów niespecjalnie dotychczas to widać. A gra toczy się o bardzo wysoką stawkę.

Z TĄ KSIĄŻKĄ PODRÓŻUJESZ PO 100 KRAJACH, CZYTASZ JEDNYM TCHEM!

Czy 80 podróży wystarczy, by zwiedzić cały świat? Tego nie wiemy, ale z pewnością jest to wystarczająca ilość ekspedycji, by okrążyć naszą piękną Ziemię i bliżej jej się przyrzeć. Właśnie o takich niezwykłych podróżach opowiada ta porywająca książka. Przypomina ona ponadto, że świat czeka, byśmy go odkryli – dla siebie. Nawet, jeżeli nie możemy wyruszyć osobiście, to przynajmniej – i aż! – możemy to uczynić śledząc relacje wytrawnego wędrowca.

Słynny pisarz i satyryk Marcin Wolski prowadzi nas po najróżniejszych zakamarkach globu. W charakterystyczny dla siebie sposób, z polotem i humorem, opowiada chociażby o spotkaniu z ludożercami, nurkowaniu z rekinami, dziwnym pięknie i smutku kubańskiej niewoli czy wiecznej wiośnie na Hawajach. Pasjonują go na równi przyroda i historia. Dzięki niemu dalekie kraje zdają się na wyciągnięcie ręki. Autor zdradza też pewne tajemnice ze swego życia, np. to, jak odzyskał wiarę w czasie wędrówki po Ziemi Świętej.

Pośród licznych talentów Marcin Wolski ujawnia w tej publikacji jeszcze jeden – fotografowanie! Książka jest bardzo bogato ilustrowana; głównie jego zdjęciami (147), które ubarwiają przekaz i przybliżają nas do miejsc przygód i perypetii Marcina Wolskiego. „W 80 podróży dookoła świata” czyta się jednym tchem! Fantastyczna lektura na lato.



448 str.,
16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy, twarda oprawa

Dla czytelników „Do Rzeczy” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykrak.pl i wykorzystaj kod rabatowy WPIS35



ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków, tel.: 12/254 56 19, 260 32 90, 260 32 40, faks: 12/254 56 00, e-mail: dystrybucja@bialykrak.pl, www.bialykrak.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.



Totalna opozycja w pałacu?



Rafał A. Ziemkiewicz

Od kiedy Tusk przeniósł się do Brukseli, a Schetyna zawiódł oczekiwania lewicowo-liberalnych salonów, Trzaskowski uważany był za oczywistego kandydata do przyjęcia przywództwa w PO i ubiegania się z jej ramienia o prezydenturę w roku 2020

Takiego nastawienia nie zmieniło wystawienie go – z sukcesem – w wyborach prezydenta Warszawy, choć niektórzy mówili, że Schetyna chciał w ten sposób z premedytacją „spalić” konkurenta do przywództwa w partii. Faktem jest, że w stolicy PO mogła z dużą pewnością wygranej postawić na wielu innych kandydatów, a dla Trzaskowskiego, jak zresztą pokazały ostatnie lata, działalność samorządowa zdecydowanie nie jest właściwym żywiołem. Jednak Lech Kaczyński doszedł do prezydentury kraju właśnie przez stolicę. Co prawda, PO wielokrotnie i brutalnie krytykowała go za to „instrumentalne” wykorzystanie ratusza, ale nie takich już niekonse-

kwencji się ta partia dopuszczała i nie przeszkadzało to jej wyborcom.

Gdy jednak przyszło do wyborów, PO nie postawiła wcale na swego odwiecznego „infanta”, ale na schowaną dotąd w cieniu Małgorzatę Kidawę-Błońską. Wynikło to po części z rozgrywek frakcyjnych i z zaszłości (tatyka wyborów parlamentarnych zmusiła Schetynę do znalezienia kandydata na premiera – kobiety, potem trudno było tak po prostu Kidawę-Błońską zostawić), ale w dużym stopniu także z zupełnie racjonalnej, politycznej rachuby.

Warszawa jest szczególnym miejscem, w stosunku do reszty kraju silnie przechylonym w lewo i szczególnie nienawidzącym dobrej zmiany. Ubieganie się



Czy po wyborach Trzaskowski mógłby przestać być zakładnikiem antypisowskiej histerii?

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

To, co „punktuje” w Warszawie, nie podoba się jednak gdzie indziej. PO uznała, że popularność jej tradycyjnego „infanta” ogranicza się do „żelaznego elektoratu”, a ten, według przyjętych założeń, zagłosować miał na kandydata PO i tak, ktokolwiek by nim był. Natomiast w Kidawie-Błońskiej upatrywano osoby, która dzięki miękkiej, „kobiecej” retoryce i osobistemu urokowi pozyska i przyłączy do mniej więc stałego poparcia PO niezdecydowany, „apolityczny” elektorat środka.

ODZYSKAĆ „ŻELAZNY” ELEKTORAT

Powrót do Trzaskowskiego, po katastrofalnej kampanii kandydatki „przytulającej” i wzywającej, by zaprzestać kłótni, jest więc ze strony PO kapitulacją. Zadaniem Trzaskowskiego jest przede wszystkim odzyskać ów „żelazny” elektorat, wrócić do poziomu poparcia, jakim jego poprzedniczka cieszyła się w momencie inauguracji kampanii. I to określa styl jego wejścia do gry – od razu z maksymalną agresją i całym potencjałem „Soku z buraka”. Co zresztą poskutkowało, „żelazni” wyborcy, deklarujący w kwietniowych sondażach poparcie Hołowni, Kosiniaka-Kamysza lub absencję, wrócili.

PiS przyklasnął podmiennie kandydatów PO i przyzwolił na nią, choć odbyła się „w żadnym trybie” i gdyby traktować konstytucję oraz Kodeks wyborczy z taką pieczołowitością, jakiej „totalna opozycja”, gdy było jej to na rękę, domagała się od rządzących, Trzaskowskiego za kandydata zgłoszonego prawomocnie uznać nie sposób. Jednak polaryzacja na osi wojny politycznych plemion PO i PiS, którą przywrócił swym pojawieniem się, jest przez PiS postrzegana jako ze wszech miar korzystna. PiS przywykł wygrywać z PO i nie jest w jego długofalowym interesie emancypacja Lewicy ani przemalowanego na biało-czerwono PSL. Krótkofalowo rachuba jest równie prosta: w ewentualnej drugiej turze z każdym innym z głównych kandydatów będzie prezydentowi Dudzie wygrać trudniej niż z Trzaskowskim. Ale też właśnie Trzaskowski, dzięki radykalnie wojennej retoryce, ma największe szanse głosami histerycznie antypisowskich wyborców do drugiej tury wejść.

Oczywiście jeśli tak się stanie, to w drugiej turze Trzaskowski zapewne retorykę zmieni – ale w tak krótkim czasie niewiele to da. Sztab Andrzeja Dudy zakłada, że to samo, co wprowadza „plemiennego” kontrkandydata do drugiej tury, czyni go

niewybieralnym. Przeciętny Polak, jak zresztą każdy przeciętny człowiek, kieruje się na co dzień przede wszystkim potrzebą bezpieczeństwa. Szczególnie wzrosnąć ona powinna w czasie pandemii i burzliwych wydarzeń za granicą. Wystarczy więc pozwolić Trzaskowskiemu powtórzyć to, co od lat stanowi główny przekaz PO – cofniemy zmiany, zlikwidujemy, powyrzucamy, powsadzamy do więzień etc. – a sam skutecznie odstraszy milczącą większość, pragnącą spokoju i „cieplej wody w kranie”, dziś reprezentowanej na scenie politycznej przez PiS.

Z pozoru – wyborczy samograj. Ale w polityce rzadko kiedy coś wiadomo na pewno i na zawsze. Jeszcze pół roku temu badania nie pozostawiały wątpliwości – większość Polaków była zadowolona i chciała przede wszystkim spokojnie pożytkować „500+” i inne sztandarowe programy socjalne PiS. Jednak trzy miesiące lockdownu mogły to zmienić. Mogły – bo tak naprawdę nie ma żadnych narzędzi socjometrycznych, pozwalających określić, na ile wielki jest potencjał frustracji i złości wywołanych epidemią, na ile może on popchnąć Polaków do chęci „ukarania” władzy, mimo wszystkich jej tłumaczeń, że robi, co może, i poradziła sobie z kryzysem lepiej niż większość państw zachodnich.

Swoistym „rozpoznaniem walką” nastrojów społecznych była próba wywołania „koronazamieszek” pod hasłem „strajku przedsiębiorców” – skądinąd, ciekawy znak zmian społecznych, dotąd populiści stawiali raczej na gniew robotników lub rolników, przedsiębiorcy, za sprawą Pawła Tanajny, wystąpili w tej roli po raz pierwszy. Jego manifestacje, zapowiadane jako cykliczne, mimo życzliwej reklamy w liberalno-lewicowych mediach i wielkiego nagłośnienia rzekomej martyrologii uczestników nie wywołały zauważalnych emocji i błyskawicznie się wypaliły. To zapewne uspokaja rządzących, ale, po pierwsze, do protestów wezwał człowiek mało wiarygodny, ewidentnie szukający w nich politycznego paliwa, po drugie – bunt uliczny jest decyzją dużo trudniejszą niż bunt przy użyciu wyborczej kartki.

Oczywiście nawet jeśli do tego drugiego dojdzie, to nie jest przesądzone, że beneficjentem „elektoratu protestu” stanie się Trzaskowski, a nie dajmy na to Hołownia lub Bosak. Problemem dla reelekcji Andrzeja Dudy może być nie tylko postawa „nie, bo nie”, napędzana pogorszeniem sytuacji czy utratą

o władzę w stołecznym ratuszu wymusiło na Trzaskowskim porzucenie pozorów centrowego umiarkowania, narzuconych przez Tuska przed 2013 r. W konfrontacji z Jakim sięgnął po ostrą antypisowską retorykę „obrony demokracji”, ocierając się o hejt, i poszedł mocno w lewo, oddając stanowisko wiceprezenta Pawłowi Rabiejowi, a wiele kluczowych stanowisk w mieście przedstawicielom „ruchów miejskich” i różnych skrajnie lewicowych grup, które dzięki dobrej organizacji i wysokim budżetom okazały się bardzo pomocne w kampanii. Spektakularnym przejawem tej zmiany były wspieranie ruchów LGBT i deklaracja nieposyłania dzieci do pierwszej komunii świętej, bo „Kościół stał się pisowski”.

■ poczucia bezpieczeństwa. Także ubrany w zdroworozsądkowe szaty „symetryzm”. Niesiony ostatnio falą popularności Kazik Staszewski, pytany o wybory, zadeklarował, że ma wprawdzie najgorsze zdanie o wszystkich kandydatach opozycji, ale w drugiej turze zgłasza na dowolnego z nich, bo „nie powinny być wszystkie ośrodki władzy w jednym ręku”.

Nie ma sensu pastwić się nad piosenkarzem, który nie musi mieć pojęcia o polityce (a najwyraźniej nie ma, skoro nie zauważył, że Senat jest od wyborów „w innym ręku” niż Sejm), ale jego argument może się podobać, i nie każdy wyborca zdaje sobie sprawę, że pozornie rozsądna zasada nie ma zastosowania w sytuacji politycznej wojny domowej na śmierć i życie, wykluczającej kooperację między opanowanymi przez wrogie obozy organami państwa.

SAMODZIELNY CZY PARTYJNY

Zostawiając na boku dywagowanie, na ile scenariusz zwycięstwa Trzaskowskiego jest możliwy, skoro nie ma tu, i do wyborów nie będzie, rozstrzygających danych, zastanówmy się, co by on oznaczał. Czy po wyborach mógłby Trzaskowski przestać być zakładnikiem antypisowskiej histerii i nabrać cech odpowiedzialnego za kraj męża stanu?

Już pierwszy publiczny występ w roli kandydata PO wykorzystał on do zaatakowania dziennikarzy TVP i złożenia deklaracji, że jako prezydent zlikwiduje media publiczne, a co najmniej programy informacyjne i publicystyczne. Niemal tego samego dnia Borys Budka złożył deklarację, że pierwszą decyzją prezydenta Trzaskowskiego będzie mianowanie pierwszym prezesem Sądu Najwyższego sędziego Włodzimierza Wróbla.

Pomińmy to, że Budka po raz kolejny (wcześniej zrobił to, publicznie dyktując podczas konferencji, co ma mówić Kidawie-Błońskiej) poniżył własnego kandydata – bo to on powinien składać deklaracje co do swych pierwszych decyzji, nie szef partii, jednocześnie deklarującej, że Trzaskowski „będzie prezydentem samodzielnym, a nie partyjnym”. Zatrzymajmy się nad tym, jak horrendalne są te zapowiedzi.

Mianowanie konkurenta dla prezesa Sądu Najwyższego, Małgorzaty Manowskiej, byłoby oczywistym złamaniem konstytucji, ale jakaś część zbuntowanych sędziów, na razie uznających wybór tej ostatniej, mogłaby poprzeć tę decyzję.

Oznaczałoby to anarchię i paraliż Sądu Najwyższego, a z nimi rozkład całego systemu sądowego, w którym zapewne jedni sędziowie wzięliby stronę prezesa, a inni „dublera”. Dodajmy, że Trzaskowski, tak jak cała jego partia, konsekwentnie odmawia uznania Trybunału Konstytucyjnego. Prawdopodobnie przyznałby więc prawo do interpretowania konstytucji, na którą prezydent przysięga, samemu sobie bądź jakiemuś gronu pozakonstytucyjnemu (np. zebraniu wszystkich żyjących jeszcze byłych sędziów TK, postulowanemu kiedyś publicznie przez prof. Matczaka).

Innym wybijającym się wątkiem kampanii Trzaskowskiego jest populistyczna zapowiedź wstrzymania strategicznych inwestycji i rozdania przeznaczonych na nie funduszy w formie specjalnego zasiłku „poszkodowanym przez epidemię”. Tu również trudno ogarnąć cały absurd i szkodliwość jego słów, na wielu poziomach – począwszy od bezmiaru niekompetencji (nie ma przecież „pieniędzy na inwestycje”, które można by rozdać, są to kredyty, a nie zmagazynowana w jakiejś skrzyni gotówka), a skończywszy na skrajnym braku odpowiedzialności za państwo i jego przyszłość.

Co znaczące, zapowiedź ta dotyczy inwestycji, co do których nie jest tajemnicą, że stanowią sól w oku naszych sąsiadów. Przekop Mierzei Wiślanej za zagrożenie swoich interesów uważa Rosja, a Centralny Port Komunikacyjny, za, co najmniej, niepotrzebną konkurencję uważają Niemcy. W tym kontekście przypomina się zdanie, które swego czasu wyrwało się prezydentowi Warszawy: Po co mamy budować lotnisko, skoro już jest w Berlinie?

To nie jest propagandowe zmyślenie, ale jego wielokrotnie potwierdzone różnymi zachowaniami polityczne credo, wspólne całej formacji (trudno nie wspomnieć zarzutu Kidawy-Błońskiej, że Jarosław Kaczyński myśli tylko o Polsce, a nie o Europie): nie Polska, ale Unia Europejska jest dziś naszą ojczyzną. Myślenie o polskich interesach, polskich portach, polskich zyskach jest dla ucznia Bronisława Geremka przejawem niedopuszczalnej zaściankowości i anachronizmu.

Można lekceważyć te czy inne zapowiedzi Trzaskowskiego, widząc w nich tylko licytowanie się na antypisowski radykalizm z konkurentami i pamiętając, że jako prezydent Warszawy nie zadbał o spełnienie żadnej z obietnic, które złożył, nawet tych danych środowiskom

LGBT. Ale nie można zlekceważyć tego, że Trzaskowski czuje się po prostu „polskojęzycznym Europejczykiem”. W dobie, gdy globalizacja została odwołana, a rywalizacja państw narodowych się nasila, mieć prezydenta, który w sprawach takich jak „zielony ład energetyczny”, „europejska płaca minimalna” czy „neutralność klimatyczna” będzie się kierował swym wyobrażeniem o interesie Unii Europejskiej, a nie dobrem własnego kraju, to poważne zagrożenie dla państwa.

Można się oczywiście pocieszać, że Trzaskowski jest politykiem słabym i niesamodzielnym, raczej „chłopcem do bycia” niż liderem, za którego prawdziwą politykę – tak jak jest z zarządzaniem – robić będzie kto inny. Ale będzie to zapewne ktoś podobny, choć być może sprytniejszy: wady Trzaskowskiego są wadami jego formacji, a nie cechami osobowości. Nie wolno też usypiać się twierdzeniem, że prezydent nie ma możliwości prowadzenia polityki. Ma ogromne możliwości blokowania, wtykania kija w szprychy i blokowania prac rządu.

A Trzaskowski w pałacu z pewnością pozostałby przedstawicielem „totalnej opozycji” – potępiającym wszystko w czambuł, blokującym nominacje, względnie przyjmującym ślubowania nie od tych, których w sposób konstytucyjny wybrano. W kwestiach spornych, zgodnie z polityką swej partii, ignorowałby Trybunał Konstytucyjny, powołując się na orzeczenia TSUE, zrzekając się de facto polskiej suwerenności. Zarazem byłby typowym przywódcą kolonialnym – realizującym w swoim kraju interesy obce, zamiast reprezentować interesy swego kraju wobec obcych.

We współpracy z Senatem i rokoszem prawniczym taki prezydent zdolny byłby doprowadzić do całkowitej anarchii i rozkładu państwa, porównywalnych z czasami saskimi, by następnie zwracać się o „bratnią pomoc” do UE jako instancji wyższej ponad rządami krajowymi.

Nie stoimy przed wyborem: lepszy prezydent albo gorszy. Stoimy – a raczej staniemy, jeśli dojdzie do drugiej tury zgodnie z prognozami dzisiejszych sondaży – przed wyborem między kontynuacją rządów obecnych a katastrofą. Bez żadnej przesady prezydentem Rafała Trzaskowskiego to czarny scenariusz dla polskiej niepodległości i trzeba dokładać wszelkich starań, aby podejmując decyzję, Polacy mieli tego świadomość.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA



niedziela
11:00

MARCIN MAKOWSKI: No i co pan najlepszego narobił?

KAZIK STASZEWSKI: W jakim sensie?

Trójka prawie się rozpadła, kryzys polityczny w obozie Zjednoczonej Prawicy, głos zabrali prezydent i wicepremier – wszystko przez pańską piosenkę.

Odpowiem jak Pawlak w „Kochaj albo rzuć”, gdy wygrał najwyższą nagrodę w jednorękiego bandytę. Ktoś wtedy do niego podbiegł i powiedział: „Pan rozbił bank”. A on na to: „Ja żem tylko pociągnął”.

Chce pan powiedzieć, że wyszło przypadkiem?

Oczywiście spodziewałem się, że „Twój ból jest lepszy niż mój” wzbudzi szerokie kontrowersje i że będę przez jednych chwalony, a przez drugich ganiony. Jednak rozmiarów tego, co się wydarzyło, nie przewidziałem w najśmielszych snach. Nagrywaliśmy płytę „Zaraza” od dłuższego czasu, dlatego chciałem wysłać sygnał, że coś robimy. Zupełnym przypadkiem, gdy inne były w prozku, ta piosenka była ukończona. Nie trzeba było poprawiać tekstu, dogrywać wokalu ani dodatkowych instrumentów, aby nie zatraciła charakteru podwórkowej ballady. Puściłem ją w eter z pełną premedytacją również dlatego, że dotyczyła wydarzenia, które było świeżo w pamięci ludzi.

Mówi pan naturalnie o wizycie Jarosława Kaczyńskiego na cmentarzach 10 kwietnia.

Tak. Biliśmy się jeszcze wtedy z myślami, czy nie wydawać płyty jesienią. Bałem się, że czekając, emocje społeczne do tego czasu ulecą. Sam tekst napisałem, ponieważ byłem niezwykle zbulwersowany nie samą wizytą prezesa Kaczyńskiego na cmentarzu, tylko tym, że inni nie mogli takich wizyt złożyć.

Mówi pan o emocjach – ile od strony technicznej trwało pisanie tekstu i komponowanie piosenki?

Nie tylko „Twój ból”, lecz także cała płyta powstawała kompletnie nietypowo – nigdy nie nagrywałem w ten sposób. Przeważnie wychodzi się od muzyki, potem przychodzi tekst i cała reszta. Tymczasem gdy poodpadały nam wszystkie koncerty i zrobiła się masa wolnego czasu – a studio mamy własne – trzeba było coś z tym czasem zrobić. Skład Kultu nie mógł albo nie chciał nagrywać, trzeba było zacząć wszystko inaczej, często od warstwy tekstowej.



**Z Kazikiem Staszewskim,
muzykiem**
rozmawia Marcin Makowski



Nie jestem



FOT. DAREK GOLIŃSKI/FOCUS

Myśli pan, że muzycy Kultu teraz żałują?

Nie dostaję takich sygnałów. To by się wiązało z pobytem w Warszawie w czasach niepewnych. Niektórzy nie mogli przylecieć z zagranicy. Może trochę im jednak smutno, ale to oni wtedy nie chcieli nagrywać, a ja nie lubię za długo siedzieć bezczynnie.

Wróćmy do wizyty na grobach. Jak tekst „Twojego bólu” – przecież ostry i mocno osobisty – układał się panu w głowie?

Choć post factum dowiedziałem się z elaboratu znajomego prawnika, że cmentarze nie były 10 kwietnia odgórnie zamknięte, a decyzja spoczywała w kompetencjach ich administratorów, do takiego prostego odbiorcy jak ja dotarł skrócony komunikat: do lasów, parków i na cmentarze chodzić nie można. Tymczasem w telewizji wszyscy mogli zobaczyć, że jest szeregowy poseł, dla którego robi się wyjątek. Przy okazji usłyszałem w telewizji publicznej, że to nie był jeden cmentarz, ale cztery. Raz jeszcze powtarzam, nie chodziło jednak o samą wizytę. Słusznie Joachim Bruździński zauważył, że barbarzyństwem byłoby kpić i naigrywać się z żałoby Jarosława Kaczyńskiego. Problem polega na tym, że tej żałoby odmówiono wszystkim innym. Wiele osób i rodzin ofiar katastrofy właśnie w ten dzień chodzi na ich groby, a to zostało im praktycznie uniemożliwione. Może w słusznym celu, żebyśmy się wszyscy nie pozarządzali, ale jednego człowieka wraz z jego obstawą i osobami towarzyszącymi to zalecenie nie obejmowało.

To wydarzenie było jak emocjonalne i polityczne pole minowe, a jednak napisał pan na jego kanwie piosenkę ironiczną, żeby nie powiedzieć – biesiadną.

To miała być forma melodii kapeli podwórkowej, która chodzi od okna do okna i śpiewa o rzeczach, które wszyscy rozumieją, nawet jeśli jedni akceptują, a drudzy potępiają. Broń Boże pastisz disco polo czy piosenka biesiadna. Zanim powstała forma, było poczucie, że nie mogę pozostać obojętnym na to, co się stało. Co więcej, odniosłem wrażenie, że to wydarzenie na kilka godzin zasypało podziały pomiędzy Polakami. Nawet w programie „W tyle wizji”, który tego dnia prowadził pana redakcyjny kolega Rafał Ziemkiewicz wraz ze Stanisławem Janeckim, usłyszałem widza, który deklarując się jako zagorzały zwolennik PiS,

rewolucjonistą

podkreślił, że tę wizytę uważa za wielką niestosowność. Reakcja prowadzących była taka, że żaden nie zaprzeczył, a jeden z nich nawet delikatnie się uśmiechnął i jakby kiwnął głową, przechodząc do innych tematów. Czytałem też artykuł Piotra Zaremby, którego trudno posadzić o miłość do opozycji, w którym znalazłem jeszcze ostrzejsze słowa potępienia.

Nie broniąc tego zachowania, Jarosław Kaczyński nie był jedynym politykiem, który wybrał się tego dnia na cmentarz.

To prawda. Szymon Hołownia również 10 kwietnia odwiedził cmentarz. Nawet początkowo się tym chwalił, ale natychmiast uciął i schował, gdy się rozpętało zamieszanie z Kaczyńskim, a następnie piosenką.

Jak pan odebrał list artystów opublikowany po kryzysie w Trójce, że ból Jarosława Kaczyńskiego „był też ich bólem”, i uważają, że na groby należało pójść?

Bardzo ostrożnie podchodziłbym do tego listu, ponieważ bez mojej wiedzy znalazło się tam też moje nazwisko. Dziwię się jednej rzeczy: skoro ktoś chciał zaakcentować swoje poparcie dla takiej formy żałoby, dlaczego nie zrobił tego od razu, tylko dopiero po aferze z piosenką? Wcześniej oburzenie było równie powszechne.

Jacek Karnowski zarzucił panu przy okazji całego sporu, że podchodzi pan do tematu Smoleńska selektywnie. Samej katastrofy przecież pan „nie ośpiewał”. Dlaczego?

Nie śpiewałem o Smoleńsku... nie wiem dlaczego. Nie jestem socjologicznym odbiornikiem, że muszę śpiewać o wszystkim, co się w Polsce dzieje. Poza tym tragedia smoleńska była czymś tak strasznym w historii naszego kraju, że nie wiem, czy wypada do niej układać jakieś melodie.

A może po prostu jest pan rewolucjonistą, który zagrzewa do boju, ale gdy trzeba wziąć za słowa odpowiedzialność, po prostu od niej ucieka? Gdy protestujący zbierali się na Mysłiwieckiej, pan siedział na Mazurach.

Nie jestem rewolucjonistą, jestem artystą. Pracuję twórczo i uznałem, że gdy już cały ten szum mnie przerósł, najlepiej będzie na gorąco niczego nie komentować, bo można różne bzdury bezwiednie wyartykułować. Czyli lepiej milczeć. Na Mazury pojechałem, gdy sprawa już nieco gasła. Dwa miesiące siedziałem

w piwnicy, nagrywaliśmy, musiałem się po tym zresetować.

Sytuacja w Trójce pana nie poruszała?

Oczywiście śledziłem, co dzieje się w tym niegdyś popularnym, ale dzisiaj coraz mniej słuchanym radiu. Nie mogłem zrozumieć działania dyrekcji stacji. Zamiast przejść do porządku dziennego nad piosenką, która poleciałaby kilka razy i na tym by się skończyło, stworzono gigantyczną promocję mojej płyty.

To może powinien pan byćemu już dyrektorem Trójki podziękować?

Nie będę mu dziękować, bo przy okazji zdemolował program, do którego wiele osób było przyzwyczajonych i z którym było zżytych. Niestety, każda władza ma całe rzesze nadgorliwych wyznawców i usłużnych urzędników, którzy starają się być bardziej papiescy od papieża. Ja do takich sytuacji jestem przyzwyczajony.

W jakim sensie?

Niemal równo 30 lat temu miałem z Trójką analogiczny przypadek. Nagraliśmy z Kultem coś, co było pierwszym i ostatnim zbliżeniem się do muzyki techno. Piosenka miała tytuł „45–89” i ja jej nie śpiewałem, ale użyłem głosów Gierka, Gomułki, Jaruzelskiego i innych zasłużonych.

Techno i głosy komunistów to faktycznie konkretne zbliżenie.

W 1990 r. po jednej emisji na antenie radia również ktoś zbliżony do dyrektora ds. muzycznych zdecydował, że kawałka puszczać nie można. Dlaczego? Bo był na nim Wojciech Jaruzelski, ówczesny prezydent, i to się nie godzi. Sytuacja była o tyle gorsza, że nie było Internetu, tylko cztery ogólnopolskie programy polskiego radia. Na szczęście, pomijając już, jakimi sposobami, powstały wtedy dwie prywatne stacje – Zetka i RMF. I to właśnie Radio ZET puszczało ją wtedy po 20 razy dziennie. Dwa miesiące zajęło Programowi Trzeciemu, aby „45–89” wróciło na antenę.

Kazik – weteran cenzury.

W tamtych czasach byłem jeszcze ciągany po prokuraturze z Kodeksu karnego. Ktoś doniósł, że piosenka „Jeszcze Polska” wraz ze słowami: „Coście sk...ny uczynili z tą krainą” obraża naród polski. Śledztwo zostało umorzone, pani prokurator, która mnie przesłuchiwała – miałem

takie wrażenie – była zażenowana całą sytuacją. Jeśli chodzi o bycie cenzurowanym: każde medium ma prawo puszczać to, co chce, ale media publiczne mają takie prawo trochę mniejsze. Bo o ile każde radio prywatne ma jakiegoś właściciela, który może sobie życzyć, aby kogoś grać albo nie grać, o tyle medium publiczne utrzymywane jest z naszych podatków. Jeśli już bawimy się w nim w listę przebojów, a przecież to nic więcej niż zabawa, to ingerowanie w kolejność utworów jest nieco nieetyczne.

Jak pan postrzega falę kontrowersji, która urosła na marginesie całej sytuacji, a wypłynęła z części środowisk artystycznych? Niektórzy muzycy, np. Doda, stwierdzili, że obecność konkretnej muzyki w radiach od dekad jest rzeczą ustawioną i wymagającą od wydawców nakładów pieniędzy. Niektórzy dodawali, że miejsce na listach przebojów można kupić.

Aż tak blisko tego nie jestem, więc trudno mi się odnosić do takich opinii, ale Marka Niedźwieckiego znam od trzech dekad. Dla niego istnieje na świecie jedna świętość i jest nią muzyka. To jakaś groteska, żeby zarzucać mu branie pieniędzy za miejsce na liście przebojów. Poza tym od paru lat nakłady płyt spadły drastycznie i, jak to Zygmunt Staszczuk kiedyś powiedział, teraz wydaje się płyty tylko po to, żeby słuchacze wiedzieli, że artysta nie umarł. Zysk z tego jest do prawdy niezbyt wysoki. To jakie tam pieniądze trzeba by było zapłacić, żeby coś ustawić? Nie wiem, k...a, przepraszam, 50 zł? Bo takimi sumami w firmie płytowej, w której wydaje się operuje, tnąc koszty na wszystkim, co się da. Tak mogą mówić tylko ludzie, którzy nie znają się na rynku muzycznym. Ludzie praktycznie nie kupują już płyt. Znam przypadki, w których młodzi ludzie wyrzucają swoje płyty do śmieci, bo nie mają na nie miejsca. Ja się tutaj czuję jak dinozaur, który zbiera w domu skamieliny.

Prezydent Andrzej Duda pytany przez internautów o „Twój ból” stwierdził, że cenzura w radiu jest „żenująca” i ją potępia, ale z drugiej strony zarobił pan zapewne przy okazji miliony na promocji.

Nie ma ludzi, którzy znają się na wszystkim. Akurat z wypowiedzi prezydenta wnioskuję, że nie zna się na sytuacji rynku muzycznego. Radziłbym mu, jeżeli można, zamilczeć na ten temat. Tak jak ja milczę na tematy, na których się nie znam. Za ostatnią płytę z Kultem będzie dobrze, jeśli 10 tys. zł dostałem.

Muzycy żyją dzisiaj głównie z koncertów. Te wszystkie „spotify” płacą za odtworzenia marne grosze.

To kolejny cytat. Wicepremier i minister kultury Piotr Gliński powiedział, że ściąganie piosenki z listy przebojów to „absurdalna sytuacja” i choć jest „nietrafiona”, to istnieje prawo artysty „do tego, by błędził czy wypowiadał się tak, jak uważa”. W tej samej rozmowie w RMF dodał również, iż „trudno jest ukryć to, że media publiczne są w jakimś sensie związane z władzą polityczną i tak zawsze było”, apelując, aby „nie być hipokrytami”.

Jeśli chodzi o media publiczne, to raczej godzę się z jego diagnozą. Przecież one nie żyją z aktywności komercyjnej, tylko głównie z abonamentu. W każdym państwie jest tak, a w Polsce szczególnie, że o sile partii stanowi to, ile stanowisk jest w stanie obsadzić swoimi zwolennikami. Media publiczne nie stanowią w tej układance żadnego wyjątku, dlatego będą one zawsze sprzyjały ekipie rządzącej. Chodzi jednak o styl, w jakim to robią. Jedni potrafią sprzyjać mniej, drudzy bardziej nachalnie. I ta łopatologiczna propaganda z czasem obraca się przeciw nim samym.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, czy obawia się pan sytuacji, w której nikt już panu szczerze po premierze płyty nie powie, że jest dobra albo zła? Że muzyka przegra z polityką?

Przy „Zarazie” się tego nie boję, bo jak podkreślałem, płyta powstawała w wyjątkowych warunkach i wiem – choć nie jest to częste – że zrobiłem muzycznie i tekstowo coś wartościowego. Oczywiście pochwały są przyjemne, ale i krytyka specjalnie się nie przejmę. Bo się z nią, czego nie mogę powiedzieć o niektórych wcześniejszych płytach, nie zgadzam.

To w takim razie coś powiem, choć trochę głupio. „Twój ból jest lepszy niż mój” to moim zdaniem najlepsza muzycznie piosenka na całej płycie. Trochę ironia, że ona stała się jej wyznacznikiem.

Mówiłem panu, jak do tego doszło. To nie miał być utwór wybitny muzycznie. Dla Wojtki Jabłońskiego, z którym robiłem płytę, to nawet najgorsza na niej piosenka. Ale też od jednego znajomego dostałem taką recenzję: „To głośny krzyk w obronie łamanego prawa”.

Jeszcze kilka innych krzyków w samej „Zarazie” pan zawarł. Na przykład w kawałku „Noże i pistolety” śpiewa pan: „Władza prostytutka, dla ludu gaz i kule ma. / Tłum wyjdzie na ulice,

gdy przyjdzie czas / Wyczuwam w ludziach wielki gniew”. Czy to artystyczna hiperbola, czy uważa pan, że jest tak źle?

Nie, to była pierwsza piosenka, którą zaczęliśmy nagrywać, i ona będzie promowała płytę jako pełnoprawny singiel. Te słowa to szersza refleksja na temat wydarzeń wokół koronawirusa i tego, jak mogą eskalować. Obawialiśmy się z Wojtkiem, z którym wtedy nagrywaliśmy, że wszystko jest zamknięte, ulice wyludnione, wiele firm nie może działać. Ludzie w takich sytuacjach mogą wyjść na ulice i grabić sklepy. Ten tekst nie był skierowany przeciw konkretnej władzy, miał ukazywać przebieg rebelii o podstawach ekonomicznych. Czegoś takiego doświadczyłem w zeszłym roku podczas wycieczki do Ameryki Południowej. Permanentny stan wyjątkowy, wieczorne zamieszki, wraki spalonych samochodów, wszędzie policja i wojsko, sklepy pozabijane deskami. Coś takiego widzieliśmy w Santiago de Chile. Miałem te obrazy w głowie, pisząc „Noże i pistolety”. Oby nie powtórzyły się nigdy w Polsce.

Śluchając uważnie płyty, zacząłem się również zastanawiać, czy nie został pan czasem zielonym aktywistą walczącym ze zmianami klimatu. W „Kwarantannie” śpiewa pan: „Nad wszystkim panować chciał człek, a okazał się zerem / Jesteśmy wirusem tej Ziemi, nic prawdy tej nie zmienię”.

Miałem ostatnio sporo takich przemyśleń. Widziałem masę zdjęć, od Teneryfy do Wenecji, gdzie brudna woda stała się przez czas kwarantanny błękitna. Na plaże miejskie wpływają orki, delfiny. Do parków wróciły zwierzęta. Życie po naszym chwilowym wycofaniu się jakby się odrodziło. Oglądając to, naszała mnie taka melancholijna refleksja, że...

Jesteśmy wirusem planety. Prawdziwa melancholia.

(śmiech) To nawet nie jest moja myśl, to zrzynka z filmu „Matrix”, gdzie agent Smith mówi do Neo: „Wy jesteście wirusem tej Ziemi, jej największą katastrofą i czegokolwiek się dotkniecie, obracacie wniwecz”. Tak mi się jednego dnia smutno zrobiło i sobie wtedy pomyślałem: „A k...a, niech nas wszystkich szlag trafi, niech ta Ziemia wróci do stanu pierwotnego, bo my zamiast – jak pan Bóg nakazał – czynić ją sobie poddaną, zakuliśmy ją w kajdany”. My jeszcze nie znamy siły naszej planety. Dopiero jak stanę pod największym wulkanem Teneryfy, dociera do mnie, jak mały i niezna-

czący jestem. A potem wychodzę na ulice i znowu jestem kozakiem.

To brzmi, jakby stał się pan mizantropem. Kryzys wieku średniego?

To nie jest kryzys. Generalnie jestem pełen chęci do życia. Ta płyta zrobiła mi dużo dobrego, bo od jakiegoś czasu miałem przekonanie, że jako twórca zacząłem się kończyć. W młodości brałem kartkę, siadałem i za 10 minut miałem kompletną piosenkę.

To do pana teraz wróciło?

Nie do końca, bo z wiekiem pojawiają się coraz większy krytycyzm i autorefleksja. Teraz jestem coraz surowszym egzaminatorem samego siebie i ten egzaminator przez dłuższy czas stawiał mi dwóje. A tutaj dostałem czwórkę i pozwolenie na poprawkę. A na kryzys wieku średniego nie mam czasu.

Odniosłem wrażenie, że obok ekologii zaczął się pan żywo interesować również geopolityką. „Trzecią wojnę wygrali bez jednego wystrzału. Tak to się teraz będzie toczyć pomału” – śpiewa pan w kawałku „Gdy Chińczycy mówią gan pai”.

Zaraził mnie tym trochę pan Jacek Bartosiak. Śledzę, co się dzieje na świecie, i nie jest mi całkowicie obca refleksja, że oto Chińczycy wygrali trzecią wojnę światową bez jednego wystrzału. Dość metodycznie i sumiennie rozłożyli amerykańską gospodarkę na łopatki i teraz wznoszą toast z tej okazji. A toast po chińsku to właśnie „gan pai”.

Zaczęliśmy i zakończmy polską polityką. Na kogo pan będzie głosować w nadchodzących wyborach prezydenckich?

Uważam, że niedobrze jest, jeśli wszystkie ośrodki władzy skupione są w rękach jednej siły politycznej. Tu jestem trochę w kropce, bo żaden z kandydatów opozycji mi się nie podoba, ale równocześnie nie podoba mi się urzędujący prezydent. Wobec tego ważniejsze jest dla mnie nie to, na kogo się głosuje, ale po co. Pójdę zatem głosować po to, aby władza była pluralistyczna. W pierwszej turze pewnie wybiorę kandydata opozycji losowo, a w drugiej, jeśli do niej dojdzie, będzie plebiscyt. Uważam, że polityka musi polegać na ściąganiu się różnych wizji i szukaniu konsensusu, a nie na szukaniu mniejszego zła. Mam nadzieję, że opozycja też to zauważy i wyjdziemy z logiki wojny, w której strzela się do przeciwnika słowami.



Szymon Hołownia walczy o ten sam elektorat z Trzaskowskim i Biedroniem za pomocą antyklerykalnych haseł

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Wielcy przegrani?



Wojciech Wybranowski

Szymon Hołownia walczy jeszcze o awans do drugiej tury wyborów prezydenckich, ale wiele wskazuje na to, że będący na fali Rafał Trzaskowski nie da mu szans. Daleko z tyłu zostali: szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz i kandydat Lewicy – Robert Biedroń

Wymiana Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego okazuje się zręcznym posunięciem Platformy Obywatelskiej. Nie tylko wicemarszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska odzyskała dawną formę i nieźle radzi sobie w relacjach z mediami, lecz także – co ważniejsze – kampania największej partii

opozycyjnej nabrała wiatru w żagle. A to oznacza, że Trzaskowski, złośliwie nazywany przez pravicę „dublerem”, nie tylko ma największe szanse na wejście do drugiej tury wyborów prezydenckich, lecz także wygrywa walkę o opozycyjny elektorat z Szymonem Hołownią, Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i Robertem Biedroniem.

– Rafał Trzaskowski mimo zalet nie powinien zostać prezydentem Polski, ponieważ jest elementem układu PO-PiS – mówił w miniony czwartek Szymon Hołownia w rozmowie z portalem Onet.pl i przekonywał, że Trzaskowski mu nie zagraża. – My będziemy się pewnie ścigać z Rafałem Trzaskowskim do samego końca, może minie się przy wejściu do drugiej tury o procent lub dwa. Zamierzam walczyć do samego końca i zamierzam wygrać. A Rafała Trzaskowskiego zamierzam kiedyś – jako prezydent Rzeczypospolitej – mianować premierem tejże, mając nadzieję na dobrą współpracę – dodawał.

DOŁĘK HOŁOWNI

Ostatnie sondaże opinii publicznej wypadają jednak niekorzystnie dla Hołowni, którego kampania – choć miała być przygotowywana i spektakularna – przynajmniej na razie, poza aktywnością w mediach społecznościowych, które odpuścił sobie dziś PiS, nie budzi entuzjazmu potencjalnych wyborców. Według ostatniego badania IBRiS dla tygodnika „Polityka” Hołownia może liczyć jedynie na 12 proc. poparcia, tracąc do wyprzedzającego go Trzaskowskiego ponad 14 punktów procentowych. Na pierwszym miejscu w tym sondażu jest urzędujący prezydent Andrzej Duda z poparciem 41 proc. badanych. Prezentujący się jeszcze niedawno jako kandydat środowisk centrowych, podkreślający swoją przeszłość katolickiego publicysty Hołownia próbuje walczyć o elektorat lewicowo-liberalny z Trzaskowskim i Biedroniem, grając na mocno antyklerykalnych, populistycznych hasłach. W marcu zapowiadał „przyjazny rozdział Kościoła i państwa”, w kwietniu protestował przeciwko zwiększeniu liczby wiernych mogących uczestniczyć w mszach świętych. Teraz zapowiedział, że jeżeli wygra wybory, to nie wyobraża sobie, by jego kadencję inaugurowała msza święta.

– Musi być przeprowadzony rozdział Kościoła od państwa. Mówię to jako katolik. Sprawy zaszyły zdecydowanie za daleko. [...] Mamy poczucie, że rozlało się za dużo wpływów – mówił w programie „Onet Rano” Hołownia. – Nie wyobrażam sobie jako prezydent mszy inauguracyjnej z episkopatem. To nie jest monarchia – podkreślał.

Walkę o elektorat lewicowy będzie mu jednak bardzo trudno wygrać. To dzięki poparciu właśnie takich grup wyborców Trzaskowski wygrał dwa lata temu wybo-

ry prezydenckie w Warszawie i skutecznie realizuje postulaty lewicy, np. podpisując w stolicy deklarację „LGBT plus”. W dodatku Trzaskowski skutecznie uśmiecha się do elektoratu centroprawicowego, m.in. chwalać prezydenturę Lecha Kaczyńskiego. – Był taki moment, że Hołownia wydawał się przegranym, później znów się poderwał do walki, ale mam wrażenie, że to walka już przegrana. Trzaskowskiemu udało się zebrać rozproszone poparcie sympatyków PO, dla których jawi się jako ten, który już, w Warszawie, pokonał PiS, a to dla opozycyjnych wyborców jest bardzo ważne – komentuje dr Jacek Kłoczowski z Ośrodka Myśli Politycznej.

ZNIKAJĄCY BIEDROŃ

Walkę o lewicowy rząd dusz zdecydowanie natomiast przegrywa kandydat Lewicy – Robert Biedroń, którego kampania jest niemal niewidoczna. Działacz środowisk homoseksualnych nie potrafił odnaleźć się z kampanijnymi pomysłami w okresie pandemii koronawirusa, a dziś jego walka wyborcza stoi w miejscu. We wspomnianym sondażu IBRiS Biedroń notuje zaledwie 2,3 proc. poparcia, mniej niż popierany przez Konfederację Krzysztof

Kampania Szymona Hołowni, która miała być spektakularna, nie budzi entuzjazmu potencjalnych wyborców

Bosak cieszący się poparciem 6,5 proc. badanych. Sympatie wyborców dla Bosaka nie przekraczają jednak nominalnego poparcia dla Konfederacji, co oznacza, że liderowi Ruchu Narodowego nie udało się dotrzeć do wyborców spoza tzw. twardego elektoratu ugrupowań tworzących Konfederację.

ZATRZYMANE KOSINIAK-KAMYSZ

Głównym przegranym prezydenckiego wyścigu może jednak okazać się typowany do niedawna na przyszłego lidera opozycji szef PSL. Wystawienie przez PO Trzaskowskiego odebrało Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi poparcie części elektoratu opozycyjnego, który był gotów poprzeć go, zniechęcony fatalną kampanią i licznymi wpadkami Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. W ostatnim wyborczym noto-

waniu popularności szef PSL znajduje się dopiero na czwartym miejscu z wynikiem 7,1 proc. poparcia i od kilku tygodni nie jest w stanie zwiększyć go w zauważalny sposób. To oznacza też, że procentowe poparcie dla szefa PSL jest dziś niższe niż wynik wyborczy PSL-Koalicji Polskiej w minionych wyborach parlamentarnych (8,55 proc. głosów).

Można odnieść dziś wrażenie, że Kosiniak-Kamysz niezbyt trafnie zdągnął przeciwnikowi, z którym będzie walczył o drugą turę. Nadal większą część jego wyborczej retoryki skupiona jest na krytyce Andrzeja Dudy, z czym jednak zdecydowanie lepiej radzą sobie Trzaskowski i Hołownia. – Władysław Kosiniak-Kamysz popełnił dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze dał się ograbić Platformie Obywatelskiej w sprawie terminu wyborów, biorąc udział w grze zespołowej, a w tym zespole został przesunięty na dalekie miejsce, na ławkę rezerwowych – mówi dr Jacek Kłoczowski. Ekspert wskazuje też, że Kosiniak-Kamysz, nie będąc zdecydowanym „antypisem”, przestał się dla twardego opozycyjnego elektoratu wyróżniać i stracił wcześniejszą atrakcyjność.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POZNAJ HISTORIĘ WYWIADU WOP!

1945-1990

NOWA KSIĄŻKA LECHA KOWALSKIEGO

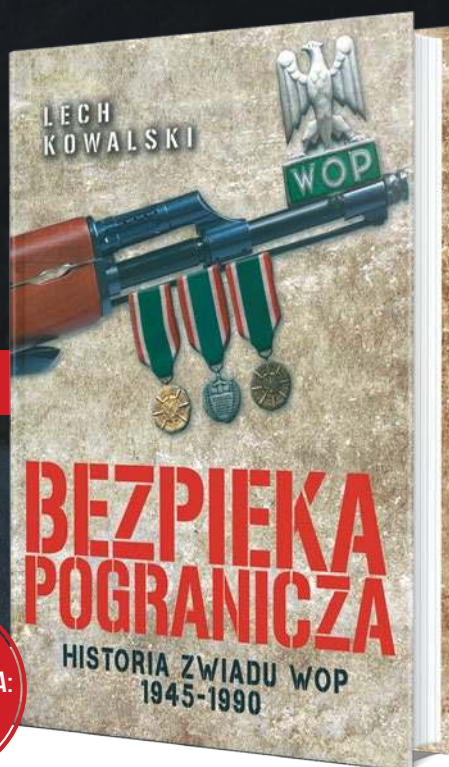
- * Pogranicze w ogniu
- * Formowanie WOP
- * Zwiad WOP – elita bezpieczniacka
- * Zasady funkcjonowania WOP

PATRONAT MEDIALNY:

HISTORIA
ORG.PL

HISTORYKON.PL

KSIAŻKA
DO KUPIENIA NA:
WWW.XLM.PL





Łukasz Zboralski

Turystyczny kryzys wydaje się kończyć. Branża raczej nie będzie narzekać na brak klientów w Polsce. Dzieci pojadą na kolonie i obozy



FOT. ADOBE STOCK

Koronawakacje

Zamknięte granice, zawieszone loty, zakaz przemieszczania się nawet wewnątrz kraju – to poważnie uderzyło w branżę turystyczną, która, tak jak fryzjerzy czy gabinety kosmetyczne, najdłużej pozostawała odcięta od możliwości świadczenia usług. I na początku rozwoju pandemii zapowiadało się, że może to być rok dla turystyki bardzo czarny.

Dzisiaj już wiemy, że raczej taki nie będzie. Koronawirus nie może zostać zlekceważony, ale przede wszystkim nie okazał się tak śmiertelny, jak mogliśmy sądzić po lawinie zgonów we Włoszech czy w Hiszpanii. Najnowsze opracowanie amerykańskiej agencji rządowej Centers for Disease Control and Prevention wskazuje, że wśród osób z objawami COVID-19 śmiertelność choroby wynosi ok. 0,4 proc., natomiast biorąc pod uwagę również grupę przechodzącą chorobę bezobjawowo, ogólna śmiertelność związana z koronawirusem sięga prawdopodobnie zaledwie 0,26 proc.

Strach u klientów zaczyna mijać i uważają to już biura podróży. – Najwięk-

szą falą rezygnacji dotyczyła wyjazdów marcowych i kwietniowych. Rządy wprowadzały wtedy kolejne ograniczenia, a niepewność związana z przyszłością była bardzo wysoka – mówi „Do Rzeczy” Maciej Szczechura, członek zarządu Rainbow Tours SA. – Trend ten uległ odwróceniu na początku maja. Zaczęły się wtedy pojawiać pierwsze pozytywne informacje o znoszeniu ograniczeń, za którymi poszły również deklaracje dat spodziewanego otwarcia granic i wznowienia ruchu turystycznego w basenie Morza Śródziemnego.

Biura wprowadziły wiele mechanizmów, by utrzymać klientów, m.in. vouchery do wykorzystania w ciągu dwóch lat. A tym, którzy zrezygnowali z wyjazdów, oferują już plany na wakacje w 2021 r. – Połączenie bardziej pozytywnych wiadomości w mediach oraz wprowadzenie voucherów i specjalnych warunków przepisania na inny termin wyjazdu sprawiły, że dziś zdecydowana większość klientów w najbliższym czasie wybiera pozostanie z nami. Klienci z wyjazdami w sierpniu czy we wrześniu

czekają natomiast jeszcze z podjęciem decyzji – wskazuje Szczechura.

Turystyczne odmrażanie Europy ma związek nie tylko z tym, że liczba zachorowań się stabilizuje lub zmniejsza. Dla wielu krajów uruchomienie turystyki było konieczne nawet w trudnych warunkach, bo to gospodarcze „być albo nie być”. Dzisiaj wiadomo, że będzie można pojechać m.in. do Chorwacji czy Włoch. Na turystów otwiera się również Grecja. Greckie otwarcie w Polsce wykorzystano przy okazji do prób pokazania, że Polska z COVID-19 radzi sobie fatalnie, bo na liście krajów, dla których granice są otwarte, najpierw nie umieszczono m.in. Polski. Dwa dni później Grecy listę uzupełnili. Nasi rodacy będą więc mogli wypocząć i tam, a Polska nie jest czarną owcą w UE, jeśli chodzi o walkę z pandemią – nieco ponad tysiąc zgonów od początku kryzysu stawia nas raczej w czołówce bezpieczeństwa i to mimo utrzymywania się stałej liczby zachorowań oscylującej dziennie w okolicach 300–400 przypadków (zwłaszcza z powodu wielkich ognisk choroby wykrytych w śląskich kopalniach).

Ten aspekt bezpieczeństwa polska branża turystyczna będzie chciała wykorzystać, pokazując Polakom, ale i obco-krajowcom, że letni sezon w tym roku warto spędzić u nas.

BEZPIECZNIE JAK W POLSCE

Polska Organizacja Turystyczna i Polski Holding Hotelowy opracowały wspólnie certyfikat, który będą mogli wykorzystać w branży wszyscy – od agroturystyki do dużych obiektów hotelowych. Dzięki temu będą mogli pokazać wybierającym miejsce wypoczynku, że spełniają wszystkie standardy zabezpieczające gości przed zarażeniem COVID-19. Taki certyfikat dostępny będzie dla osób z branży bezpłatnie.

– Cała lista warunków dotyczących certyfikatu „Odpoczywaj w Polsce – bezpiecznie” dostępna jest na stronie Polskiej Organizacji Turystycznej. Wytyczne te są zgodne z publikacjami Ministerstwa Rozwoju i Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Uwzględniliśmy w nich również kwestie branżowe dotyczące zarówno obiektów agroturystycznych, jak i większych obiektów hotelowych – mówi „Do Rzeczy” Barbara Podwysocka, dyrektor pionu bezpieczeństwa w PHH, która została przewodniczącą zespołu branżowego ds. certyfikacji hoteli i obiektów noclegowych. – Cieszymy się, że branży uda się z tego skorzystać jeszcze przed długim czerwcowym weekendem, który będzie dla nas swoistym egzaminem z odpowiedzialności i dojrzałości. Jestem przekonana, że oprócz uspokojenia Polaków i wskazania im, że mogą bezpiecznie wypoczywać, certyfikat będzie również brany pod uwagę przez gości z zagranicy. Jest to symbol tego, że potrafimy zadbać o bezpieczeństwo i zachowanie zasad higieny. Liczymy na to, że certyfikat sprawi, iż po otwarciu granic również zagraniczni goście będą chętnie pojawiać się w naszym kraju.

Ci, którzy będą chcieli wybrać obiekty najlepiej przygotowane do ruchu turystycznego w okresie pandemii, mogą sprawdzić ich listę na stronie www.bezpiecznyobiekt.pot.gov.pl. Będą też mogli szukać znaku graficznego w hotelach czy kwaterach: „Obiekt Bezpieczny Higienicznie”.

MINISTERSTWO: BON JUŻ W TE WAKACJE

Cała branża wyczekuje właśnie na ruch klientów. Ten jest jeszcze niewia-

domą. Można zakładać, że wiele osób, które odwołało zagraniczne wojaże, wyjątkowo w tym roku spędzi wakacje w kraju. W oczekiwaniach wszyscy są na razie powściągliwi. – To, czy wzrost zainteresowania wypoczynkiem nad Bałtykiem wystąpił, jesteśmy w stanie stwierdzić dopiero po sezonie – odpowiada na pytania o sygnały z branży Jakub Groenwald, inspektor ds. promocji i grafiki Urzędu Miejskiego we Władysławowie.

Jednak Polacy, którzy teraz próbują rezerwować swój pobyt nad morzem, twierdzą, że nie ma już wielu wolnych miejsc. Ceny w większości są też wyższe niż przed rokiem. – Zarezerwowaliśmy rodzinny pobyt w kwaterze na Półwyspie Helskim w lipcu, ale musieliśmy obdzwonić kilka miejsc, a tam, gdzie było wolne miejsce, właściciele nawet nie chcieli słyszeć o pobytach krótszych niż tydzień, więc chyba nie mają kłopotów z klientami – mówi pani Joanna z okolic Tucholi, która po zagranicznych wyprawach w tym roku wybiera się z czteroosobową rodziną nad polskie morze.

Według nieoficjalnych informacji „Do Rzeczy” właściciele dużych obiektów w turystycznych rejonach notują też bardzo wysokie obłożenie w sezonie, wyższe niż w roku poprzednim.

Rodaków do wakacji w kraju może skłonić też planowany przez Ministerstwo Rozwoju bon turystyczny. Na razie znamy tylko ogólną koncepcję – ludzie zatrudnieni na etacie mieliby otrzymać bon w kwocie 1000 zł do wykorzystania na turystyczną usługę noclegową. Chociaż to kwota relatywnie niewielka – pozwoliłaby nad Bałtykiem wynająć miejsce noclegowe dla czteroosobowej rodziny na blisko cztery dni – to z pewnością zostałaby wykorzystana przez beneficjentów programu.

W ubiegłym tygodniu media obieły jednak alarmistyczne informacje o tym, że rządowi nie uda się wprowadzić bonu turystycznego w tym sezonie, bo zdaniem ekspertów od prawa taka forma pomocy musiałaby najpierw zostać zatwierdzona przez Komisję Europejską. Resort te obawy dementuje. – Trwają właśnie intensywne prace nad tym programem, żebyśmy mogli zaprezentować jego szczegóły. Nie zamierzamy z tego zrezygnować i bon turystyczny na pewno będzie dotyczył tego sezonu wakacyjnego – usłyszeliśmy w Ministerstwie Rozwoju.

Oczywiście, jak szacują ekonomiści, wprowadzenie bonu może oznaczać, że koszt usług turystycznych w kraju jeszcze, niestety, wzrośnie.

WYJADĄ WSZYSCY NASI PODOPIECZNI

Najważniejszą informację dla rodziców w ubiegłym tygodniu opublikowało Ministerstwo Edukacji Narodowej, bo to ono zatwierdza wszelkie zorganizowane formy wypoczynku dla dzieci i młodzieży. MEN poinformowało, że „wypoczynek letni dla dzieci i młodzieży w 2020 r. będzie mógł się odbyć”. Większość planowanych latem turnusów, obozów, na które rodzice wpłacili już zaliczki, będzie więc mogła zostać zrealizowana.

Resort stawia jednak organizatorom warunki związane z pandemią. To m.in. kwaterowanie w pomieszczeniach, w których liczba dzieci nie może być wyższa niż cztery osoby na pokój (z zachowaniem minimalnej powierzchni 4 mkw. na osobę). W czasie wypoczynku będą ograniczone odwiedziny dzieci przez osoby z zewnątrz. Rodzice nie powinni więc wpadać, by zobaczyć, jak odpoczywa ich pociecha. To może nieco utrudnić wyjazdy najmłodszym, którzy nie będą sobie radzić psychicznie z dłuższą rozłąką. Stykać nie powinny się też różne grupy wypoczywających dzieci, a posiłki powinny im być wydawane zmianowo – z dokładnym dezynfekowaniem blatów i poręczy krzeseł pomiędzy grupami. Ośrodki przyjmujące grupy młodzieży i dzieci będą też musiały przeprowadzać dodatkowe sprzątanie i dezynfekcję pomiędzy turnusami.

Nowe higieniczne wytyczne będą zresztą dotyczyć także branży turystycznej zajmującej się dorosłymi. Podczas urlopów wszędzie natkniemy się na rękawiczki czy pojemniki z płynami do dezynfekcji. Do tego trzeba będzie na urlopie przywyknąć. – Kwaterodawcy z gminy Władysławowo zgodnie z zaleceniami GIS przygotowują swoje obiekty do nowych warunków prowadzenia działalności. Ruszamy niedługo z kampanią informacyjną dotyczącą zasad bezpiecznego wypoczynku w czasie epidemii – informuje Jakub Groenwald z władysławowskiego magistratu. – Planujemy również rozlokowanie dozowników z płynem do dezynfekcji rąk w miejscach, w których zazwyczaj gromadzi się najwięcej osób.



Krzysztof Mastoń

„Bunt i afirmacja” to książka mądra, ciekawa, odważna. Z gatunku tych, za którymi tęsknimy

Przez lata oswoiliśmy się z myślą, że „buntownicy” to ci lepsi; w ich poczynaniach doszukujemy się idealizmu, chęci poprawienia świata, uczynienia go bardziej sprawiedliwym. Komunizm wbił nam do głów legendy o szlachetnych rewolucjonistach i czarnych siłach reakcji. Dzisiaj cały ten balast nadaje się psu na budę.

Narodził się za to prawdziwie istotny, dla współczesnej cywilizacji, problem: Czy dostosować się do świata takiego, jaki został nam dany, w naturalny, ewolucyjny sposób modyfikując go, a więc też zmieniając, czy też odrzucić go i kształtować całkiem na nowo.

Na pytanie to odpowiada w swojej nowej książce „Bunt i afirmacja” Bronisław Wildstein. Ten – jak głosi podtytuł – „esej o naszych czasach” budzi podziw i wywołuje emocje. Postawiona kwestia rozgrywana jest tu bowiem na poziomie metafizycznym, i ten najbardziej interesuje Wildsteina jako filozofa, ale i w sferze kultury i literatury, bliskiej autorowi „Buntu i afirmacji” jako pisarzowi, wreszcie w wymiarze politycznym, świetnie przez tego wytrawnego publicystę politycznego rozpoznany.

NIE UFAĆ TŁUMOWI

W tej książce, wraz z autorem, analizujemy myśl kartezjańską, sięgamy do Kanta, rozpatrujemy to, co powiedział Hobbes, a co Husserl, co napisał Habermas, a co Leo Strauss, na nowo odczytujemy Burnhama i Johna Stuarta Milla. W świat literatury podążamy z Camusem i Kafką, Herbertem i Andrzejewskim, Rimbaudem i Cortazarem. A zwłaszcza z Gombrowiczem, pisarzem dla Wildsteina bardzo ważnym; nie ma jednak wobec niego złudzeń, tak często pojawiających się w uczonych rozprawach poświęconych twórcy „Ślubu”.

Bunt metafizyczny – przynajmniej teoretycznie – bierze się z niezgody na zło. Ludzie jednak, napotykać je, często nie chcą go interpretować. „To z takiego podejścia – zauważa autor »Buntu i afirmacji« – wyrasta stwierdzenie Theodora Adorno,

że poezja po Auschwitz jest niemożliwa i stanowi barbarzyństwo. Tyle że potrakowane konsekwentnie prowadziłyby do samobójstwa ludzkości i paradoksalnego triumfu organizatorów Holocaustu. Deklaracja Marksa oznacza odrzucenie świata w imię kreacji czegoś zupełnie nowego”.

To nowe dziś jest stare i aż za dobrze znane, czego jednak nie chcą przyjąć do wiadomości wieczni poprawiacze czy naprawiacze świata. Otóż, Karol Marks największe, czy wręcz jedyne, zło widział w alienacji pracy, za co winę ponosić miał kapitalizm. Dla współczesnego lewactwa światowe fiasko wprowadzania socjalizmu się nie liczy, kapitalizm pozostaje wrogiem, nie jedynym już wprawdzie, jednak stanowiącym istotną przeszkodę na drodze do powszechnej szczęśliwości ludzi wyzwolonych z pęt m.in. religii, tradycji czy kultury w ich wypracowanym przez stulecia kształcie. I, byłbym zapomniał, odrzucającym ze wzgardą wyjątkowo szkodliwe prawo własności.

Jakie owoce wydał marksizm? „Komunizmu zrealizować – na szczęście – nie sposób, ale totalitaryzm jego wyznawcy byli w stanie, choć także w niedoskonałej mierze, urzeczywistnić”. I tu ciekawe jest skonfrontowanie przez Wildsteina Marksa z Nietzschem. Ten drugi nie jest wprawdzie odpowiedzialny za swoich brunatnych następców w tym samym stopniu co

współautor „Manifestu komunistycznego” za wyczyny czerwonej hołoty, jednak jego idee „w społecznym wymiarze przybrały ponury kształt, którego doświadczyliśmy w XX wieku”. Po szczegóły odsyłam do „Buntu i afirmacji”.

LEKCJA Z MIŁOSZA

Bronisław Wildstein pisze również w swojej książce o naszych polskich sprawach, i to tych wczorajskich i dzisiejszych. O Solidarności, której zwycięstwo zostało nam skradzione; o okrągłostołowych dealach i Michnikowych aberracjach; o kazusie Zygmunta Baumana, równającego powojenne „polowanie na polskich patriotów, w którym osobiście uczestniczył, z walką z muzułmańskimi zbrodniarzami”. O Polsce usiłującej być „nowoczesną” i „europejską”, co udaje się tak sobie, z całą pewnością zaś staje się Polską bezbożną, a to jeszcze niedawno wydawało się nie do pomyślenia. Choć w rzeczy samej nic w światopoglądzie (?) osobistych nieprzypaściół Pana Boga nie jest ani nowe, ani wyjątkowe. A hucpa pomieszana z głupotą i niewiedzą zawsze przynosi nieoczekiwane rezultaty. I tak Wildstein przypomina na przykład opowiedzianą przez Czesława Miłosza w „Widzeniach nad zatoką San Francisco” rozmowę ze studentem, dla którego nie było różnicy między sytuacją w Auschwitz i Berkeley. Działo się to



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

w Ameryce szalejącej kontrkultury, dziś w Polsce szaleją aktywiści LGBT, nawiedzone feministki, ekolodzy do wynajęcia, antyfaszyci (czytaj: nieprzyjaciele Jarosława Kaczyńskiego), intelektualiści w rodzaju Wojciecha Sadurskiego, że o prostych politykach trzymających palce pod budką nie wspomnę. Całe to towarzystwo uczestniczy w zawodach toczących się pod zmodyfikowanym olimpijskim hasłem: „Kto głupiej, kto brutalniej, kto wstrętniej”.

„Rodzimy się jako mężczyzna albo kobieta w określonej potencji fizycznej i intelektualnej” – powiada Bronisław Wildstein i rozwija tę konstatację: „Dużo potrafimy zmienić wysiłkiem, pracą i dyscypliną, ale granic, które wyznacza nasza biologia, przekroczyć nie jesteśmy w stanie. I z tym także winniśmy się pogodzić, choćby po to, aby zrozumieć swój status i wykorzystać te dane, którymi dysponujemy, a więc osiągnąć to, co możemy”. No jakże to, a właśnie, że będziemy przekraczać kolejne granice i żaden Bóg ani żadna biologia nam w tym nie przeszkodzi – zakrzykną zwolennicy Nowego Ładu, dla dodania otuchy podśpiewując sobie przy tym: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew”. Chwilowo, z braku nowych hymnów postępowej ludzkości, posilukują się również na zmianę „Oda do radości” i „Międzynarodówką”.

Przedstawiając kolejne odsony zidiocenia i zbydlęcenia rzeczywistości, w której żyjemy, autor „Buntu i afirmacji” zachowuje jednak optymizm, którym – na szczęście – dzieli się z czytelnikami, w przeciwnym bowiem razie powinniśmy popaść w totalną depresję. Tymczasem wygląda na to, że niewątpliwie jest źle, ale chyba nie beznadziejnie.

Ma się rozumieć, że „obecna epoka cywilizacji zachodniej – czytamy – prezentuje agresywną antyreligijność, przede wszystkim wymierzoną w chrześcijaństwo, które stanowi o kulturowej jedności Zachodu. Tyle że to antyreligijne zaangażowanie ma wyraźnie wyznaniowy charakter i gorącą prozelityzm. Dominacja owego trendu (ledwie pół wieku) jest w perspektywie historycznej krótka, ma wyraźnie destrukcyjny charakter, niesie ze sobą nieliczne, nieprzewidywane efekty i możemy żywić uzasadnione przeświadczenie, że naznaczona nim kultura długo nie przetrwa”.

Skąd wzięły się te dzisiejsze lewackie idee, jakie są ich źródła? Z całą pewnością nie do przecenienia jest pod tym względem oświecenie, bo to wtedy triumfalnie oznajmiono na cztery strony świata, że

człowiek posiada po temu odpowiednie możliwości i narzędzia, by samemu stworzyć rzeczywistość doskonałą. Wówczas też wypisano na sztandarach rewolucji hasło „postępu”, w imię którego dokonywano następnie najpotworniejszych zbrodni. Ideologów w oświeceniu było aż nadto, na czele z Diderotem i Wolterem, który wprost wskazywał największego wroga postępowej ludzkości, czyli chrześcijaństwo – „religię haniebną, podłą hydrę, która musi być zniszczona przez setki niewidzialnych rąk”. Najzabawniejsze, że on sam nie był wcale aż tak zawziętym radykałem i przyznawał, że gdyby Boga nie było, to należałoby go stworzyć, gdyż dzięki wierzącym w niego nie będzie okradany, oszukiwany i zdradzany.

Jak najślusniej sięga w tym miejscu Wildstein po inny cytat, z Diderota: „Nie wolno polegać na zdaniu tłumu, w kwestiach rozumowania i filozofii; głos tłumu jest występny, głupi, nieludzki i pełen uprzedzeń. Tłum jest ciemny i otepiały. Nie ufajcie mu w kwestiach moralności”. Tłum w ogóle jest okropny. Z najnowszych odkryć – już polskich – wiemy, że nie potrafi kulturalnie spożywać bez, słucha disco polo, modli się i głosuje na PiS. A to z kolei oznacza, że krajowi grozi faszyzacja, przed którą uchronią naród jedynie światli przywódcy, po studiach w Paryżu i stażach w Brukseli. Zatem palce pod budkę.

Jeszcze raz odwołajmy się do poezji. Jakże mądrze i pięknie pisze Wildstein o Czesławie Miłoszu i jednym z jego najważniejszych, a niekoniecznie docenionych i zrozumianych wierszy – „Rue Descartes”. Noblista wspomina w nim swój pierwszy wyjazd do Paryża na początku lat 30. i zachłystnięcie się atmosferą, aurą tej „stolicy świata”. A jednocześnie zażenowanie, zawstydenie własnym prowincjonalizmem, wyniesionymi z domu zwyczajami, archaicznymi, nieprzystającymi do tego, co zobaczył i usłyszał nad Sekwaną.

Następnie – pisze dalej Miłosz – wielu takich jak on „było zabijanych ponieważ chcieli obalić domowe zwyczaje. / Następnie ich koledzy zdobywali władzę / Żeby zabijać w imię pięknych idei uniwersalnych”. Po latach w tym samym Paryżu stwierdza: „Tam gdzie upadły imperia, a ci co żyli, umarli. / I nie ma i tu i nigdzie stolicy świata. / I wszystkim obalonym zwy-



BRONISŁAW WILDSTEIN
„BUNT I AFIRMACJA.”
ESEJ O NASZYCH CZASACH”
PIW,
WARSZAWA 2020

czajom wrócono ich dobre imię. / I już wiem, że czas ludzkich pokoleń niepodobny do czasu Ziemi / A z ciężkich moich grzechów jeden najlepiej pamiętam / Jak przechodząc raz leśną ścieżką nad potokiem. / Zrzuciłem duży kamień na wodnego węża zwiniętego w trawie. / I co mnie w życiu spotkało było słuszną karą, / Która prędzej czy później łamiącego zakaz dosięgnie”.

„Wiersz ten – komentuje Wildstein – napisany przez starego, blisko siedemdziesięciopięcioletniego poetę uznać można za swoistą sumę jego

doświadczeń. [...] Z głębin Żmudzi, gdzie przenikające wszystko chrześcijaństwo zaabsorbowało nawet pogańskie tradycje, trafił w świat, który uwierzył w ostateczną racjonalność. Ulega temu złudzeniu, lewituje, nawet komunizuje. Doświadczając katastrofy, która wyrosła z nowej wiary i próby stworzenia doskonałej rzeczywistości ludzkiej”. I oto po latach „jego losy dopełniają się i pozwalają zobaczyć własne dzieje jako element obrotów rzeczy tego świata, próżnych pragnień i ambicji, które nie przekształcają istoty i nie przemieniają ziemi. To, co podstawowe, to ten, bliski nam świat, w którym przegląda się to, co najważniejsze. To domowe zwyczaje, tworzące wspólnotę i przekraczająca klasowe podziały obecność religii. Tę realność, której nie sposób przeświecić Kartezjańskim, zimnym rozumem, należy afirmować”.

METAFORYCZNA ŚLEPOTA

„W wielkich miastach, w sztucznym świetle właściwie nie widać nieba – czytamy w »Buncie i afirmacji« – To, co nad nami, staje się nieważnym dodatkiem, ornamentem siedziby, w której się ukrywamy, i w odczuciu jej mieszkańców traci autonomiczność. Może się im wydawać, że ich siedliska są samowystarczalne, tak jak oni sami. Metaforyczna ślepotą, którą wywołują sztuczne światła, staje się znakiem naszych czasów. Świat sprowadza się do tego, co znajduje się w zasięgu naszej ręki. Zapominamy o nieskończonym wymiarze, w którym jesteśmy zanurzeni”.

Za przypomnienie o istnieniu tej nieskończoności winniśmy Bronisławowi Wildsteinowi podziękowanie. Jak zresztą za całą jego książkę: mądrą, ciekawą, odważną. Z gatunku tych, za którymi tęsknimy i których szukamy. Ze świecą.

Przypadek Szumowskiej



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



Piotr Gociek

„Córka Boga” to film niedobry, choć pięknie nakręcony. Może jednak przyspieszyć międzynarodową karierę autorki „Sponsoringu”. To w końcu opowieść o złych samcach i uciskanych kobietach

Samiec, twój wróg!” – mogłyby wzorem pań z „Seksmisji” Machulskiego zakrzyknąć bohaterki filmu „Córka Boga” („The Other Lamb”). Machulski kpił, Małgorzata Szumowska jedzie jednak na poważnie. Tak poważnie, że momentami aż śmiesznie.

W niezwyklej, niemal baśniowej krainie (niezwykle krajobrazy Irlandii) widzimy gromadę dziewcząt i kobiet

w różnym wieku. Jedne odziane są w błękit, inne w czerwień. Jedne są „córkami”, inne „żonami” (bywają więc i matkami), wszystkie zaś wpatrzone są jak w tęczę w jednego mężczyznę. Zwany jest Pasterzem, zatem panie to jego owieczki, zresztą nawet bez tego natrętna symbolika filmu tak by nam podpowiedziała, bo bohaterki hodują, strzygą i jedzą owieczki właśnie, tworząc jedno wielkie stado nieszczęsnych istot prowadzonych na rzeź przez podstępного samca.

Samiec (znaczy Pasterz) jest charyzmatyczny, a gra go Michiel Huisman (holenderski aktor znany głównie z seriali, m.in. „Gra o tron” i „Nawiedzony dom na wzgórzach”). Aluzja jest jasna i oczywista, znajdujemy się w sekcie religijnej, której przywódca ma nad swymi poddanymi pełną kontrolę. Jest dla owieczek alfą i omegą, jest jedynym, który może opowiadać historie (czyli i jedynym prawodawcą), jest jedynym oskarżycielem i sędzią, jest wreszcie pomostem do lepszego świata. Jak to bowiem w przypadku sekt bywa, to,

co poza granicami obozowiska, to miejsce zepsucia i grzechu, przed którym Pasterz swoje owieczki ratuje. On sam jest bez skazy i wszystko, co robi, też jest bez skazy, kwestionowanie jego woli to zaś rzecz niewyobrażalna. Nietrudno więc domyślić się, że jego podopieczne to jednocześnie bezpłatna siła robocza, obiekt daleko posuniętej manipulacji i prania mózgu oraz prywatny seksualny harem.

To terytorium bywało już eksplorowane na rozmaite sposoby w fabule i dokumencie, przy czym nie wszystkie opowieści inspirowane były tak oczywistym (i medialnym) wzorem, jakim była tzw. rodzina Charlesa Mansona. Wzór działania takich psychopatycznych manipulatorów doskonale znamy, podobnie jak wiemy o tym, jak wielką rolę odgrywają tu elementy religijne oraz seksualne.

Dziewczęta Pasterza ciężko harują, wieczorami słuchają opowieści swego pana i władcy, konkurują między sobą o jego względy. Jest tu temat na wielki film – dynamika wewnątrz tej dziwnej

grupy, rozmaite psychologiczne zależności i współzależności. Szumowska nie tym jest jednak zainteresowana, a właściwie nie tym zainteresowana jest autorka scenariusza C.S. McMullen (to jej pierwszy kinowy tekst, wcześniej były nieistotne drobiazgi dla telewizyjnych seriali). Dla polskiej reżyserki to krok o tyle przełomowy, że po raz pierwszy nakręciła film, którego sama nie napisała – dotychczas łączyła role reżysera i scenarzysty.

CENA WOLNOŚCI

Co w takim razie znajduje się w centrum opowieści? Przesłanie proste jak budowa cepa i płaskie jak kartka wyrwana z dowolnego numeru „Krytyki Politycznej”. Kobiety są ofiarami męskiej opresji, trzymanymi w niewoli i wykorzystywanymi przez złych do szpiku kości mężczyzn. Jest jednak nadzieja, bo nawet w stadzie potulnych i manipulowanych owieczek Pasterza zrodzić się może tytułowa „inna owieczka” (nawiązując do oryginalnego angielskiego tytułu, „The Other Lamb”), która kwestionując autorytet i mądrość oprawcy, może stać się zbawcą niosącym rewolucję. Solidarność menstruacyjna (nie zmyślam, nawiązując do bardzo nachalnej warstwy symboliki filmu) poprowadzi was, siostry, na barykady. Ale uwaga, cena wolności będzie ogromna, bo samce są w stanie posunąć się do najokropniejszych rzeczy, by swą władzę utrzymać. „Horror o kobietach należących do sekty, którą żelazną ręką rządzi jedyny w ich gronie mężczyzna, stał się pretekstem do obserwacji władzy autorytarnej” – twierdzi Barbara Hollender w „Rzeczpospolitej”. Bzdura, żadna tam obserwacja, żadna władza autorytarna, to chamska i prostacka propaganda, tandetna podróbka „Opowieści podręcznej” napisana z wrażliwością panienki palącej biustonosze na demonstracjach z lat 70. I z wyraźnym podkreśleniem, że to religia jest najważniejszym narzędziem patriarchy.

„Córka Boga” trafiła niedawno wprost do Netflixa, rzeczywiście reklamowana jako horror, ale to tylko chwyt reklamowy. Żaden horror, żaden thriller, straszliwa nuda, wschodnioeuropejski snuj poprawny politycznie zrobiony za zachodnioeuropejskie pieniądze. Pierwszy anglojęzyczny film Szumowskiej, finansowany trochę przez Irlandię, trochę przez Belgię, trochę przez europejski fundusz wspierania filmowych produkcji. Film kiepski, ale myślę, że swą rolę odegra – zwróci uwagę na Szumowską tych w fil-

mowym biznesie, którzy jej wcześniej dokonaniami pokazywanymi w Polsce czy na festiwalu w Berlinie niespecjalnie się przejmowali. A skoro ona „nasza” (w sensie odpowiednio postępową, antyreligijną, genderową itp.), to jestem spokojny o to, że znajdą się kolejne międzynarodowe projekty, może i hollywoodzkie. Taki zresztą był cel. W grudniu 2019 r., po premierze filmu w Toronto, Szumowska mówiła w wywiadzie dla „Vogue’a”: „Całe życie próbowałam wydostać się z niszy polskości. Polska jest jednokulturowa, trochę jak monument. Mnie to zawsze przeszkadzało, chciałam być Polką, ale i obywatelką świata”.

POLITYCZNA TRESURA

Szumowska wyszła już za polskie budżety i czysto polskie produkcje wcześniej, w roku 2011, filmem „Elles” kręconym w Paryżu i Kolonii, a okraszonym rolą Juliette Binoche. Film w Polsce nosił tytuł „Sponsoring” i był głupią opowieścią o tym, jak to świat sprzedawania się zasobnym panom i poddawania ich dziwaczny praktykom seksualnym jest drogą do podniecenia... wróć: do wyzwolenia prawdziwej kobiety. Dwa lata później o jej kolejnym filmie „W imię...”, dramacie klerycko-gejowskim z nietolerancyjną Polską w tle, pisał na łamach „Do Rzeczy” Andrzej Horubała: „film bardzo zły i niemądry” oraz „karykatura polskiego kina dla Europy”. W tym samym tekście („DR” 34/2013) Horubała przyglądał się politycznej tresurze, której poddana została Szumowska w wywiadzie rzece wydanym przez „Krytykę Polityczną” pt. „Kino to szkoła przetrwania”. Agnieszka Wiśniewska, aktywistka, występująca w roli komisarza politycznego [...] raz po raz tonem politruka poucza reżyserkę, czym powinien być egalitaryzm, jaką postawę przyjąć wobec klas uciskanych, prawa do aborcji, sporów politycznych” – pisano.

Tresura okazała się skuteczna, Szumowska, którą wcześniej znaliśmy jako utalentowaną autorkę filmów dokumentalnych oraz ciekawego filmu fabularnego „33 sceny z życia” (2008), obsypanego nagrodami w Gdyni (Orły też były), z roku na rok robiła się coraz mniej zainteresowana wiwiseksją swego pokolenia i stanem duszy człowieka współczesnego. Coraz bardziej pochłaniały ją wywiady, w których opowiadała, jak to „jest w nas tyle złości i zawiści”, że „wystarczy włą-



REŻ.
MAŁGORZATA
SZUMOWSKA
„CÓRKA BOGA”
2020

czyć telewizor czy radio albo wyjechać z centrum Warszawy i już czuje się nietolerancję. Niechęć do inności, agresję”, no i wreszcie, że „akceptujemy tylko to, co swojskie, polskie”.

Smutne to wszystko, bo Szumowska filmy robić potrafi. Oprócz wspomnianych już dokumentów i dobrych „33 scen z życia” ma przecież w dorobku irytujące, ale wciągające

„Ciało/Body”, manifest ateizmu, zrobiony jednak świetnie (choć oczywiście okraszony napomknieniami o polskim antysemityzmie i nietolerancji). Także nagrodzona w Berlinie „Twarz” ześlizgiwała się już w kierunku tandetnej politycznej agitki przeciw polskiemu ciemnogrodowi, ale warsztatowych umiejętności nikt Szumowskiej odmówić nie może. A właściwie „odmówić nie mógł”, bo „The Other Lamb” to wpadka. Po kwadransie wiemy, że niczego się nie dowiemy. Nuda i banał wzbierają, pozostaje śledzenie cudownych kadrów, za które odpowiada operator Michał Englert (to chyba jego najlepsze dokonanie). Jest jeszcze niezwykle utalentowana Raffey Cassidy w roli Selah, która rzuca wyzwanie Pasterzowi. Będzie gwiazdą, ma talent i charyzmę na miarę Saoirse Ronan.

Trwa światowy casting na „Olę Tokarczuk polskiego kina”. Śmiej twierdzić, że wypadła już z niego Agnieszka Holland – to nie ta generacja i nie ta wrażliwość, bo jest Holland skażona grzechem, którego zachodnie salony wybaczyć nie mogą, wciąż ma bowiem za złe amerykańskim użytecznym idiotom, że fascynowali się wujaszkiem Stalinem. Proszę prześledzić zachodnie reakcje na „Obywatela Jonesa”. Etat do obsadzenia więc pozostaje, a gdy rozejrzymy się dokoła, oprócz Szumowskiej zauważymy choćby Jagodę Szcel („Wieża jasny dzień”) czy Agnieszkę Smoczyńską („Córki dancingu”). Tropiony pospołu wróg jest wskazany wyraźnie – samiec uciskający kobietę, religia, tradycja, polska nietolerancja, polski antysemityzm, nadchodzący autorytaryzm, umysłowa duchota ciemnogrodu, hipokryzja konserwatystów itd. Nie w każdym dziele wspomnianych pań znajdziemy wszystkie te elementy, ale po kilka z nich już tak. Ciąg dalszy nastąpi. A Szumowska ma w tym wyścigu pole position.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Tato, gdzie jesteś?



★★★★★

REŻ. DAN SCANLON
„NAPRZÓD”
(„ONWARD”)
USA 2020,
DYSTR.
GALAPAGOS

wyst. Tom Holland,
 Chris Pratt, Julia
 Louis-Dreyfus

W magicznym świecie, który zszedł na psy, bo jego mieszkańcy zapomnieli o magii, wybierając autostrady i hamburgery, żyło dwóch braci elfów, którzy znaleźli magiczny sposób na przywołanie z zaświatów zmarłego ojca. On sam zresztą tego chciał i zostawił odpowiednie instrukcje. Wskreszenie ma potrwać jeden dzień i ma spełnić marzenie taty o tym, by zobaczyć, na kogo wyrosły po latach jego chłopaki.

Dużo tej magiczności, ale film Scanlona („Uniwersytet Potworny”) najlepszy jest tam, gdzie świat centaurów, gnomów i jednorożców jest parodią naszego

współczesnego świata. Brzuchaty centaur policjant patroluje okolicę, zdziczałe (i jakieś takie mikre) jednorożce wyzerają śmieci z kubłów, mantykory prowadzą knajpy z junk foodem. Ależ byłaby to świetna metafora – myślałem sobie – gdyby pokazać, co staje się ze społeczeństwem, z cywilizacją, która odrzuciła swe dziedzictwo, magię przeszłości.

Scenarzyści Pixara poszli jednak w inną stronę. Oczywiście wysłali bohaterów w podróż (skoro to fantasy, to musi być magic quest w poszukiwaniu magicznego artefaktu), wyposażając ich w rozklekotaną furgonetkę zamiast rumaków. Fabuła jednak specjalnie porywająca i spójna

nie jest, rozpada się na kilka mniej lub bardziej zabawnych epizodów. W dodatku rozdzwaja się tylko po to, by dla równowagi młodocianych męskich bohaterów zaszerwować widzom wątek z dwiema silnymi postaciami kobiecymi. Prawa politycznej poprawności są, jak widać, twardsze niż prawa magii (także filmowej).

Pod koniec okazuje się, że wszystko to (jak zwykle w filmach Dinseya, a Pixar to przecież część mysiego imperium) szło o relacje rodzinne. Dobra wiadomość: pokazywane rodziny są normalne, żadnej propagandy ludzi wycinających z klawiatury QWERTY literki dla siebie, zła wiadomość – puenta miała być bardzo wzruszająca, ale robi wrażenie wymuszonej. Jest więc dla mnie „Naprzód” straconą szansą, choć nie katastrofą. Swoich fanów znajdzie, bo oglądanie nie boli, a w kilku miejscach (zbyt rzadko!) uśmiech sam pojawia się na twarzy. Gdzież mu jednak do „Toy Story” czy opowieści o Nemo, Dory albo Zygzaku McQueen! ©



NOWE SERIALE: „SNOWPIERCER”

Marks na kółkach, czyli o tym, jak wstrętnei bogacze wykorzystują szlachetnych biedaków na pokładzie gigantycznego pociągu przyszłości, gnąjącego dookoła skutej lodem ziemi. Amerykański serial jest nową, poszerzoną wersją filmu kinowego z 2013 r. (opartego na francuskim komiksie). Reżyserem oryginału był późniejszy

twórca „Parasite” Bong Joon-ho. Odcinkowy „Snowpiercer” zmienia się w socrealistyczny kryminał, zgrabbnie zrobiony, ale mocno naciągany (ma być też rozciągany do kilku sezonów). ©

Piotr Gociek

• **Sezon 1, „Snowpiercer”, USA 2020,**
wyst. Jennifer Connolly, Daveed Diggs,
Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Nisha Ganatra „Late Night”, USA 2019, obyczajowy, HBO GO
- reż. Terry Gilliam „Las Vegas Parano” („Fear And Loathing In Las Vegas”), USA 1998, Netflix
- reż. Andrew Patterson „The Vast of Night”, USA 2020, science fiction, Amazon Prime

Zabić Heydricha



W tej historii nikt nie zachował się tak, jak powinien. Twórca gestapo i mózg SS jeździł po Pradze kabrioletem bez eskorty. Dybiący na jego życie Czesi łamali elementarne zasady konspiracji. Zaplanowana nad Tamizą operacja „Anthropoid” miała skłonić brytyjskich sojuszników do unieważnienia umowy z Monachium, oddającej Czechosłowację na pastwę Hitlera. Emigracyjny rząd liczył też, że krwawe represje odstręczą kolaborujących rodaków od Niemców i wzbudzą w świecie współczucie dla prześladowanego narodu.

Dwóch spadochroniarzy zamachowców od początku prześladowuje pech. Zostają zrzucony nie tam, gdzie trzeba, ekipunek zawisa

wysoko na drzewie, jeden ze skoczków rani się w nogę, pod umówionym adresem nikt zaś na nich nie czeka. Miejscowi patrioci twierdzą, że pomysł upolowania tak grubej ryby jak Heydrich spełnia definicję szaleństwa (najbardziej oponuje konspirator grany przez Marcina

Dorocińskiego). Jan i Jozef też nie są ludźmi ze stali: zdają sobie sprawę, że ich misja ma charakter samobójczy. Scenarzyści nieświadomie nawiązują do arcyńskiego dylematu: „Bić się, czy się nie bić?” i radzą sobie z nim całkiem zgrabnie. Nad Węłtawą film obsypano nagrodami. Zasłużonymi, bo nie co dzień z ekranu pada okrzyk: „Jesteśmy Czechami, nigdy się nie poddamy!”. ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
„OPERACJA
„ANTHROPOID”
(„ANTHROPOID”)
REŻ. SEAN ELLIS
CZECHY / WIELKA
BRYTANIA 2016

wyst. Jamie Dornan,
Cillian Murphy,
Anna Geislerová

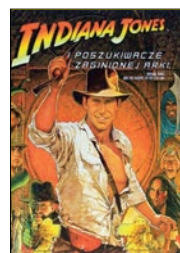


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOKTOR BEZ WĄSÓW



Życie jest sumą przygodków. Gdyby Spielberg dogadał się z producentami filmów o przygodach Bondy, Indiana Jones być może nigdy by się nie urodził. A gdyby telewizja CBS zgodziła się wypożyczyć swego gwiazdora Toma Sellecka, archeolog awanturnik miałby szeroki uśmiech i czarne wąsy. Z „Poszukiwaczami zaginionej Arki” nikt nie wiązał wielkich nadziei. Dla Spielberga ten projekt był terapią po klapie komedii „1941” i zerwaniu z Amy Irving. Akcja rozgrywa się przed wojną, gdyż chciano wskrzesić archetyp bohatera ówczesnych eskapistycznych produkcji: twardziela w skórzanej kurtce i sfatygowanym filcowym kapeluszu. Doktor Jones to schizol: na co dzień jest poważnym naukowcem, ale za granicą przeistacza się w zabijakę. Sprawił, że Hollywood bezpowrotnie zdzieciniało, a my razem z nim. Znacnie na pamięć scenę z kairskiej medyny i marsz skomponowany przez Johna Williamsa? Nie szkodzi. Są filmy, które nigdy się znudzą.



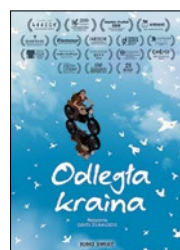
wyst. Harrison Ford, Karen Allen,
Paul Freeman

★★★★★
REŻ. STEVEN
SPIELBERG
„POSZUKIWACZE
ZAGINIONEJ ARKI”
(„RAIDERS OF
THE LOST ARK”)
USA 1981

TAJEMNICZA WYSPA



Na sukces disneyowskich animacji pracuje rzesza ludzi. Łotysz Gints Zilbalodis uparł się, że wszystko zrobi sam. Kosztowało go to trzy i pół roku życia, lecz efekt jest doprawdy hipnotyzujący. „Odległa kraina” jest trochę jak „Mały Książę” pozbawiony dialogów. Gatunkowo przynależy do kina drogi. Bohater wychodzi cało z katastrofy lotniczej, ale jego spadochron zawisa na drzewie (jedynym w okolicy). I tak już będzie do końca: raz wóz, raz przewóz. Mniemany raj okaże się pułapką, bezdenne przepaść – wywabieniem. Krajobrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Śladem rozbitek podąża złowrogi cień, zresztą rzecz cała dzieje się na pograniczu snu i jawy. W dobie triumfu przemysłu filmowego wykwił fantazji samotnego twórcy jawi się uroczym anachronizmem. Zilbalodis, fan książek Murakamiego i płyt Sigur Rós, urodził się za późno. Niegdyś tacy jak on budowali zręby kinematografii, dziś wałęsają się na jej rubieżach. Sic transit gloria mundi. ©



★★★★★
REŻ. GINTS
ZILBALODIS
„ODLEGŁA
KRAJINA”
(„PROJĀM”)
ŁOTWA 2019,
KINO ŚWIAT

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „COVID: THE OUTBREAK”

Walka z pandemią koronawirusa była prowadzona na wyrost, a środki zbyt drastyczne? A może przeciwnie, nadal nie doceniamy skali zagrożenia, które może powrócić jesienią? Jeśli ktoś uważa, że przejmując stery, zarządzały sytuacją lepiej, to nadarza się szansa. Polskie studio wypuściło

właśnie grę strategiczną, w której zasiadając za sterami Globalnej Organizacji Zdrowia (wyraźny ukłon w stronę WHO), możemy zarządzać walką z wirusem. Kontrolować budowę szpitali, opracowywanie szczepionki, uśmierzać niepokoje społeczne. Rzecz prosta graficznie,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

robiona na szybko. Bardziej jako ciekawostka. ©

Marcin Makowski

- Gatunek: Strategia
- Platforma: PC
- Producent, dystrybutor: Jubees
- Klasyfikacja PEGI: 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zamach na dworcu w Warszawie

7 czerwca 1927 r. na Dworcu Tymczasowym w Warszawie (dziś w tym miejscu jest podmiejski Dworzec Śródmieście) 19-letni uczeń rosyjskiego gimnazjum w Wilnie, Białorusin Borys Kowerda, zastrzelił sowieckiego ambasadora (posła pełnomocnego) w Warszawie, Piotra Łazariewicza Wojkowa. Uczynił to z pobudek patriotycznych, jak mówił: „za Rosję”, wymierzając karę jednemu z morderców cara Mikołaja II i jego rodziny.

Sowietci wszczęli propagandowy hałas, rozstrzelali 20 białych przetrzymywanych w więzieniach, zawiesili toczące się negocjacje z Polską, grożąc zerwaniem stosunków dyplomatycznych, do czego oczywiście nie doszło. A Wojkowa pochowali pod ścianą Kremla.

Kowerda skazany został w Warszawie na dożywocie, zamienione na 15 lat więzienia, z czego odsiedział na Świętym Krzyżu 10. W 1937 r. wyjechał z Polski, emigracja rosyjska zrobiła z niego bohatera, w końcu wyjechał do Ameryki, gdzie zmarł w roku 1987.

Sprawa zamachu na dworcu w Warszawie posłużyła Markowi Krajewskiemu za kanwę jego nowej powieści „Pomocnik kata”. Ciekawą, choć miejscami przeszarżowaną fabułą otoczył całe to wydarzenie, nabierające politycznej pikanterii w kontekście badań dr. Sławomira Dębskiego, który niedawno wyraźnie wskazał na możliwość zainspirowania Kowerdy przez sowiecki wywiad.

Jak było, tak było; w powieści zawsze wolno było więcej niż w rzeczywistości, a Marek Krajewski wykladał nam historię na



FOT. RAFAŁ KONKOWSKI/WIKIPEDIA

kartach „Pomocnika kata” całkiem udanie. Oczywiście historię alternatywną.

Do powieści wprowadził autor autentyczne postaci. Są to m.in. Henryk Józewski, przyszły wojewoda wołyński, czy wybitny „dwójkarz” Tadeusz Schaetzel. W tle pojawiają się gen. Piskor, minister spraw wewnętrznych Sławoj-Składkowski, a nawet Józef Piłsudski, w czasie rozgrywania się akcji powieści premier i minister spraw wojskowych Rzeczypospolitej Polskiej.

Ale najważniejszy jest, jakżeby inaczej, „Łysy”, bo taką ksywę nosi komisarz Edward Popielski, bohater już dziewiątej książki Marka Krajewskiego z nim właśnie w roli głównej. Dla porównania – powieści o Eberhardzie Mocku, niejako firmowej postaci utworów wrocławskiego prozaika, jest tylko o jedną więcej.

Popielskiego nierzadko ścigają Erynie, także dlatego, że stojąc na straży prawa, egzekwuje je często samowolnie, i to w okrutny sposób. Na przykład, karząc pedofilów, będąc – jako ojciec kilkulatniej dziewczynki – na

ich czynny przestępce i zbrodnię szczególnie uczulonym. Sam nie jest postacią świetlaną. Ma skłonność do hazardu, nadmierną – być może – słabość do płci pięknej i parę innych przywar. Ale najczęściej problemów sprawia mu przypadłość zdrowotna. Cierpi mianowicie na padaczkę światłoczułą, której ataki spowodowane są przez drgające źródła światła. W związku z tym w dzień śpi, a pracuje nocą.

W „Pomocniku kata” wplątuje się w grę wywiadów i w politykę, nawet wielką politykę. Nie trzeba go do tego namawiać, zwłaszcza że do bolszewików ma – jako kombatant wojny z 1920 r. – stosunek jednoznacznie negatywny. A w najtrudniejszych nawet sytuacjach nie poddaje się, kierując się przekonaniem, że: „Człowiek żyje w dwóch stanach. Jeden z nich to ten, w którym wciąż może działać. Drugi, kiedy mówi sobie: »Więcej zdziałać już nie mogłem«. Pierwszy stan zależy tylko od jego decyzji, drugi już tylko od Boga. A ja nie jestem Bogiem i podejmuję decyzję. Wciąż jeszcze tylko to mogę”. Tylko? Jak się przekonujemy, raczej należałoby powiedzieć „aż”, dzięki czemu możemy podziwiać inteligencję, siłę i zręczność lwowskiego komisarza, tym razem na gościnnych występach w Warszawie, Wilnie, na Wołyniu i w wielu innych jeszcze miejscach. A przy okazji odwiedzając w jego towarzystwie rozliczne gospody i restauracje, nabierając smaku na miejscowe specjały popijane najczęściej zimną czystą wódką, a czasem piwem, np. „Złotym Zdrojem – mocnym jak głos Kiepur”. ©



★★★★★

MAREK
KRAJEWSKI
„POMOCNIK KATA”
ZNAK,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

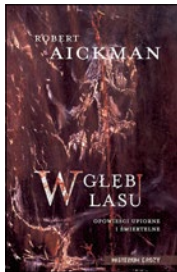
Mistrz zapomniany

Nasze życie musi mieć jakiś głębszy sens, a skoro przyszliśmy na ten padół, to zapewne po śmierci czeka nas coś więcej” – streszcza poglądy Roberta Aickmana tłumacz jego opowiadań Tomasz Chyżyński. Brytyjski pisarz (1914–1981) trzymał się z dala od światowego życia literackiego i choć jest ceniony oraz wskazywany jako inspiracja przez największych: Stephena Kinga czy Neila Gaimana, to wielu czytelnikom pozostaje mało znany. W Polsce do niedawna nieznany był zupełnie, co zmieniło się za sprawą Wydawnictwa IX, które w dwóch tomach prezentuje część jego najważniejszych tekstów.

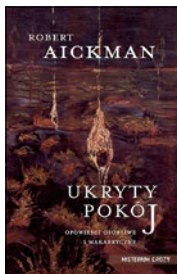
„W głębi lasu” to tom, który właśnie się ukazał (z podtytułem „Opowieści upiorne i śmiertelne”), tom poprzedni dostępny jest na rynku od roku ubiegłego („Ukryty pokój. Opowieści osobliwe i makabryczne”). Nie szukajcie ich w księgarniach, raczej w Internecie, ponieważ Wydawnictwo IX jak wiele innych małych oficyn opiera dystrybucję na sprzedaży własnej i współpracy z wybranymi partnerami internetowymi. Jednak szukać warto, bo to literatura wybitna.

Sam autor odcinał się od pojęcia fantastyka, mówił: „Staram się przedstawiać świat takim,

jakim go widzę, czasem czyniąc to z artystyczną przesadą. Moje ghost stories – objaśniał – to raczej parabele niż fantastyka”. I rzeczywiście. Dostajemy od niego wyborną prozę psychologiczną, mocno osadzoną w tej samej tradycji, której świetnymi przedstawicielami byli nie tylko Brytyjczycy, lecz także na przykład w Ameryce kiedyś Henry James, a potem Shirley Jackson. Granica między tym a tamtym światem, między tym, co realne, a tym, co nierealne, bywa zatarta, ale najważniejsze są cierpienia ludzkie – wyrzuty sumienia, żal za tym, co utracone, tęsknota za miłością, wierność po grób i dalej.



★★★★★
ROBERT AICKMAN
„W GŁĘBI LASU”
WYDAWNICTWO IX 2020

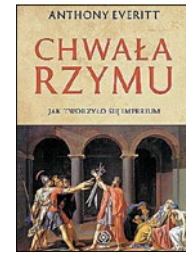


★★★★★
ROBERT AICKMAN
„UKRYTY POKÓJ”
WYDAWNICTWO IX 2019

Aickman wyprzedził swój czas. Gdyby był aktywny nieco później, pewnie byłby wymieniany jednym tchem ze znakomitymi twórcami opowiadań współczesnych, takimi jak Alice Munro czy podobnie jak on poruszająca się na granicy rzeczywistości i sięgająca po fantastykę jako metaforę, parabolę Ursula Le Guin. Literacko od nich nie odstaje. A kiedy zaglądam niekiedy do książek twórców nagradzanych dziś rozmaitymi głosnymi nagrodami, to rzekłbym, że tych ostatnich czapką nakrywa. To nie są opowieści o duchach, to są opowieści o duszy. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Narodziny i rozkwit Imperium Rzymskiego oczami autora znanej i u nas „Chwały Aten”. Choć Everitt ma przygotowanie akademickie, to pisze raczej jak dziennikarz, skupiając się na barwnych postaciach i ich niezwykłych losach.



ANTHONY EVERITT
„CHWAŁA RZYMU”
REBIS

„Jak porzuciłam świat ortodoksyjnych Żydów”, czyli opowieść prawdziwa o wyzwalaniu się młodej dziewczyny z hermetycznego, surowego świata fundamentalistów religijnych. Także podstawa ciekawego serialu Netflixa.



DEBORAH FELDMAN
„UNORTHODOX”
PORADNIA K

Wirus przekracza granice, ludzie umierają, walą się rządy. Grupa desperatów przedziera się z głębi Rosji na północ, szukając schronienia. Powieść bardziej obyczajowa niż postapo, w Rosji powstał według niej serial.



JANA WAGNER
„PANDEMIA”
ZYSK I S-KA

Iwona Gralewicz-Wolny i Beata Mytych-Forajter przyglądają się m.in. takim postaciom jak dr Dolittle, Pippi, Mary Poppins czy Mikołajek. Świetny jest szkic o „O czym szumią wierzyby”. Robota naukowa, lekki styl. ©©

poleca Piotr Gociek

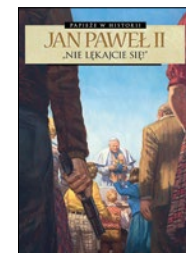


„PO PIERWSZE. O LITERATURZE DLA DZIECI I NIE TYLKO”
WYDAWNICTWO UJ

KOMIKS TYGODNIA:

„JAN PAWEŁ II”

Nieźle napisany i dobrze narysowany komiks z nowej serii „Papież w historii” ma jedną wadę – by uniknąć oskarżeń o jednostronność i namalować portret z jakąś skazą, scenarzysta przedstawia niektóre z zalet JP II jako wady: wytyka więc, że był przeciw eutanacji i aborcji oraz kapłaństwu kobiet. Wiele to mówi o chrześcijaństwie na dzisiejszym Zachodzie. W tej samej serii ukazał się ciekawy



DOBBS, FABRIZIO FIORENTINO
„JAN PAWEŁ II. NIE LĘKACIE SIĘ”
EGMONT 2020

(acz gorzej narysowany) komiks o Leonie I Wielkim („Pogromca Attyli”). Każda opowieść uzupełniona jest kilkustronicowym kompendium wiedzy historycznej. Kolejne tytuły wkrótce. ©©

poleca Piotr Gociek

Zuzanna Moczek nie lubi pośpiechu, ceni sobie spokój. To dlatego wybrała wieś i życie blisko natury. Pośpiechu nie ma też w jej muzyce. Ani w jej tworzeniu. Debiutancki album wydała po niemal dekadzie na scenie. Nazwała go po prostu „Dzień dobry”. – Miałam już osiem podejść do nagrania tej płyty. Próbowalam różnych konfiguracji: współpracy z różnymi muzykami, wszelkiego instrumentarium. Zawsze jednak wydawało mi się, że to nie jest to, co chcę światu pokazać, brakowało mi w tej muzyce życia. I dopiero za dziewiątym razem, czyli teraz, mogę powiedzieć „Dzień dobry” – mówiła Zuzanna (na płycie przedstawia się wyłącznie imieniem) na antenie Polskiego Radia. W dziewiątym podejściu do debiutanckiego albumu Zuzannie, która jest wokalistką, autorką tekstów, gitarzystką, pianistką i akordeonistką, towarzyszą instrumentalści:



Muzyka zrodzona z ciszy

Dorota Kuziela „Sowa” (skrzypce), Aleksandra Oszczęda (wiolonczela), Szczepan Pospieszalski

(trąbka), Bartłomiej Woźniak (cymbały). Duży wkład w powstanie albumu miał realizator dźwięku Bartek

Gaertner. „Dzień dobry” to 15 kompozycji, które powstawały na przestrzeni kilku ostatnich lat. Zuzanna na portalu crowdfundingowym zwróciła się o pomoc w sfinansowaniu kosztów wydania płyty. Na zebranie potrzebnej kwoty dała sobie 40 dni. Wystarczyły cztery. – Wybrałam te [piosenki], które najdłużej czekały na to, żeby pojawić się w takiej postaci. W międzyczasie oczywiście powstawały kolejne i kolejne. Kierowałam się też tym, co grywam na koncertach. Piosenki, które powstawały później, postanowiłam odłożyć na kolejną płytę, o której już myślę. Wiem, że pojawi się szybciej niż ta pierwsza – mówiła na antenie Radia UWM FM. Kwarantanna jej służy. Zuzanna podkreśla, że cisza jest tym, czego potrzeba jej najbardziej w procesie tworzenia nowych melodii i tekstów. ©©

Radosław Wojtas

FOT. JERZY DZIEDOJCZYK/FACEBOOK ZUZANNA MOCZEK



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

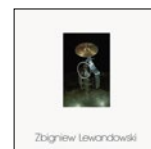
Piękne jubileusze

W tym roku obchodzi 70. urodziny i jubileusz 50-lecia obecności na scenie. „Nagrałem kilkadziesiąt płyt lepszych i gorszych. Grałem z niezliczoną rzeszą muzyków lepszych i gorszych. Jestem spełnionym człowiekiem i artystą”.

Podwójna okazja do podsumowania zaowocowała podwójnym albumem. Na pierwszej płycie znalazły się nowe, w większości akustyczne wersje utworów, które Cugowski uznał za najważniejsze w karierze. Album otwiera „Blues George’a Maxwella”, który był pierwszą piosenką nagrałą przez Budkę Suflera. Było to w 1970 r. i jak wspomina wokalista, wówczas jeszcze nie bardzo umiał śpiewać. Jako druga jest premierowa ballada „Twoja łza”. Potem pojawia się osiem „nieoczywistych” utworów

z repertuaru Budki, trzy zespołu Cross, z którym wokalista współpracował w latach 80., i tytułowy utwór z solowej płyty „Przebudzenie”. Wydawnictwo promuje utwór „Demony wojny”, który pojawił się w 1998 r. w filmie Władysława Pasikowskiego „Demony wojny według Goi”. Płytę kończy prawie 10-minutowa, symfoniczna wersja utworu „Lubię ten stary obraz”, który pochodzi z legendarnego debiutu Budki.

Druga płyta zawiera zapis koncertu Cugowskiego z Zespołem Mistrzów (Jacek Królik, Robert Kubiszyna, Tomasz Kałwak, Cezary Konrad), który odbył się dwa lata temu w Radiu Lublin. Tu mamy ostre rockowe granie, a występ spajają kłamrą klasyki „Sen o dolinie” i „Cień wielkiej góry”. ©©



★★★★★
**ZBIGNIEW
LEWANDOWSKI**
„ZBIGNIEW
LEWANDOWSKI”
GAD

Kwintet (bracia Ścierańscy, Piotr Baron, Andrzej Przybielski) pod wodzą perkusisty wraz z gośćmi nagrał ten album w 1983 r. Słychać wyraźną inspirację elektrycznym Milesem Davisem. Płyta zawiera dwa dodatkowe nagrania.



★★★★★
**STEVE EARLE
& THE DUKES**
„GHOSTS OF WEST
VIRGINIA”
NEW WEST

Zbuntowany countrowiec śpiewa o katastrofie górniczej w Raleigh z 2010 r. Gitarowe protest songi przeciwko krwiożerczemu kapitalizmowi i emocjonalne opowieści o ludzkich tragediach. Najlepszy album Earle’a od lat. ©©



★★★★★
**KRZYSZTOF
CUGOWSKI**
„50/70 MOJE
NAJWAŻNIEJSZE”
MYSTIC

DODATEK SPECJALNY – część 2



Czy Polska ochroni rodziny przed ideologią gender

- Marek Jurek o ideologii LGBT w Parlamencie Europejskim
- Jak regulacje prawne ideologii LGBT krępują wolność gospodarczą – rozmowa z J.H. Westenem
- Dlaczego ideolodzy LGBT niewiele osiągnęli w Polsce



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI





Rewolucja od początku zwrócona była przeciw rodzinie. „Manifest komunistyczny” ze „wstrętem” wyszydział „burżuazyjne frazesy o rodzinie i wychowaniu, o tkliwym stosunku między rodzicami a dziećmi”. I jako zasadniczy postulat rewolucji stawiał wprost „zniesienie rodziny”.

Rozwijając te postulaty, Engels pisał, że „co do układu stosunków płciowych” założenia rewolucji są „przeważnie natury negatywnej”, zakładają eliminację pewnych instytucji, szczególnie nierozwalności małżeństwa. Jednocześnie

znalazła dobry grunt w państwach liberalnych, państwach relatywistycznej demokracji, rezygnującej z jakichkolwiek trwałych pojęć moralnych. Skoro wszystko ma być przedmiotem „pluralizmu”, to dlaczego miałyby się ostać jakakolwiek normatywna etyka seksualna? Przecież należy „oddać władzę wyobraźni”, jak żądała rewolucja 1968 r.! Korzystając z tych ram, pokolenie tamtej rewolucji rozpoczęło swój marsz przez instytucje.

Drobna ilustracja tego, jak bardzo społeczeństwo liberalne było psychologicznie niezdolne do podjęcia kontrak-

Rzecz działa się pod koniec czerwca 2014 r. Na zebranie grupy parlamentarnej Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy w Parlamencie Europejskim została zaproszona Ulrike Lunacek, kandydująca w imieniu Zielonych na stanowisko przewodniczącej izby. Pani Lunacek jest zdeklarowaną lesbijką i czołową postacią politycznego ruchu homoseksualnego w Europie. Po sukcesie Alexandra Van der Bellena w wyborach na prezydenta Austrii zrezygnowała z mandatu posła do PE i stanęła na czele listy Zielonych w wyborach do austriackiego parlamentu. Mogła mieć nadzieję, że po wyborach, jako liderka partii prezydenckiej, zostanie co najmniej wicekanclerzem. Zieloni pod jej przywództwem odnotowali jeden z najgorszych wyników w historii i nie weszli w ogóle do parlamentu. Austria to jednak (względnie) konserwatywny kraj. To już jednak inna historia.

Otóż na tym spotkaniu, w czerwcu 2014 r., zapytałem panią Lunacek, czy w związku z rozszerzeniem listy „mniejszości seksualnych” z LGBT na LGBTI (enigmatyczny, odrębny od transseksualizmu „interseksualizm”) mamy już traktować ten nowy katalog jako zamknięty czy mogą zostać do niego włączone kolejne „mniejszości”? A konkretnie, dodałem, czy „multiseksualizm”, czyli to, co kiedyś z niemiecką dosadnością nazywano Gruppensex, to jeszcze jedna „orientacja seksualna” czy po prostu zwykła perwersja? Pytanie zadałem (jak sądzę) uprzejmie, ale pani Lunacek z obrażoną miną odpowiedziała, że „jeżeli ludzie chcą tak żyć, to nie jest to żadna perwersja”.

Była to oficjalna deklaracja kandydatki na przewodniczącą Parlamentu Europejskiego, która zaraz potem została jego wiceprzewodniczącą, i dodam, że deklaracja ta nie wywołała żadnego publicznego oburzenia wśród konserwatystów. To może być miarą przyswojenia przez europejską centroprawicę kultury skrajnej lewicy. Niestety, to już nie jest żadne hałaśliwe „lewactwo”, ale po prostu nowa forma liberalnej kultury politycznej. A jako potwierdzający to epilog dodać warto, że na początku tego roku pani Lunacek weszła do rządu Sebastiana Kurza, jednego z najbardziej „prawicowych” w Europie. Owszem, Austria to (względnie) konserwatywny kraj, jednak dziś ani konserwatyzm społeczeństw, ani demokratyczne sukcesy „centroprawic” ■

Jeszcze jedna rewolucja



Marek Jurek

Bramą Pałacu Zimowego – równie symboliczną i równie łatwo sforsowaną jak piotrogrodzki pierwowzór – dla ideologii LGBT było w UE pojęcie równości, które w traktacie lizbońskim podmieniono na „niedyskryminację”

nie zamierzał wyznaczać żadnych granic rewolucyjnych zmian. Zapowiadał, że gdy pojawią się nowi ludzie przyszłości, „to diablo mało będą się oni interesowali tym, co według pojęć dzisiejszych robić powinni; stworzą oni swe własne metody postępowania i odpowiednią do nich opinię publiczną”.

Wydawałoby się, że ta antyrodzina utopia wygasła stopniowo w ciągu historii samego komunizmu. Jednak gdy skończył się pewien jego etap, który można określić jako sowiecki, rewolucyjne obietnice marksizmu znalazły nowy wehikuł, ideologię gender. Ona z kolei

cji. „Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego to dzieło naprawdę pomnikowe. Z jednej strony pokazujące panoramę rewolucyjnej myśli socjalizmu i komunizmu, z drugiej – będące świadectwem wielkiej wewnętrznej pracy samego autora. Jednak w „Głównych nurtach” „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa” Engelsa, praca stanowiąca dziś kanoniczną księgę ideologii gender, jest przez Kołakowskiego potraktowane marginalnie, niemal jak ciekawostka. Tymczasem chodzi o to, co naprawdę w marksizmie okazało się najbardziej żywotne.

nie są w stanie zatrzymać duchowej i kulturowej korozji klasy rządzącej w państwach liberalnych.

NIE TYLKO ADOPCJE

Engels zapowiadał również, że w przyszłym społeczeństwie „opieka nad dziećmi i ich wychowanie stanie się sprawą publiczną”, co zapewni warunki „dla stopniowego powstawania nieskrępowanych stosunków płciowych”. Rząd bolszewicki znalazł jeszcze jeden środek do tego celu – jako pierwszy w Europie zalegalizował aborcję. Za to właśnie Aleksandrę Kołłontaj, bolszewicką komisarz ludową opieki społecznej, wychwalała w Parlamencie Europejskim Eleonora Forenza, posłanka włoskiej Rifondazione Comunista. Jako „feministka i komunistka” z oburzeniem protestowała „przeciw haniebnemu zrównywaniu komunizmu i nazizmu pod etykietą totalitaryzmu” i w imieniu „przyszłej ludzkości” zapewniała, że nadal „widmo krąży po Europie – widmo komunizmu”.

Pani Lunacek (i inni najbardziej zapaleni zwolennicy ruchu LGBT), tak jak u nas panowie Biedroń czy Legierski, angażują się również na rzecz postulatów aborcjonistycznych. A przecież ze związków homoseksualnych nie rodzą się dzieci. Polityczny ruch homoseksualny domaga się wręcz, żeby pary homoseksualne mogły dzieci adoptować. Od społeczeństwa oczekuje zaradzenia tej biologicznej niemożności. Dlaczego więc angażują się przeciw prawu dziecka do urodzenia? Wyjaśnienie jest tylko jedno: chodzi o kontestację etyki życia rodzinnego i chroniącej ją cywilizacji chrześcijańskiej jako takiej. Nie o miejsce dla homoseksualistów w społeczeństwie, bo przecież dawno już przestali być w nim „mniejszością”, są raczej awangardą liberalnej większości, wyróżnianą i faworyzowaną. Chodzi o zburzenie – jak mówił Lenin – resztek dawnego społeczeństwa w każdym jego przejawie, poczynając od solidarności z tymi, którzy mają prawo przyjść na świat.

KTO ZAPISYWAŁ DO LGBT/IQ+ETC.?

Równie nieoczywista (i wy tłumaczal-na jedynie w kategoriach ideologicznych) jest sama formuła LGBT. Dlaczego homoseksualista, który nie ma skłonności do kobiet i chciałby w tym aspekcie swej kondycji być zrozumiany, miałby identyfikować się z „biseksualistą”, który

od czasu do czasu chce być „gejem”, choć wcale nie doświadcza homoseksualnych zahamowań? Dlaczego homoseksualista, który mówi, że skłonność ta stanowi po prostu jego konieczną tożsamość, nawet egzystencjalne brzemię, miałby identyfikować się z „interseksualistą”, który chce sobie balansować między tożsamościami, chce się nimi bawić poza wszelką moralną czy naturalną koniecznością? Czy ktokolwiek pytał ludzi doświadczających tych problemów, nawet jeśli popierają imitację instytucji naturalnych, czy chcą należeć do „społeczności” LGBT? Kto ich do tego LGBT zapisał? Jest tylko jedna odpowiedź: rewolucja.

Rewolucja „za-klas-y-fikowała” dziś ludzi mających problemy z etyką seksualną jako LGBT, tak jak kiedyś polskich, węgierskich czy francuskich robotników jako międzynarodowy proletariatus. I szykuje im taką samą niewolę. Następstwem komunizmu była proletaryzacja całych narodów, następstwem ideologii gender będzie skazanie narodów, pokoleń (!) i jednostek na życie pod władzą despotyzmu rozpusty.

Engels zapowiadał, że w nowym społeczeństwie „opieka nad dziećmi i ich wychowanie stanie się sprawą publiczną”

To ostatnie stwierdzenie nie jest retoryką. Pierwszym sygnałem obrócenia się rewolucji genderowej przeciw ludziom o skłonnościach homoseksualnych jest sformułowany wobec nich właśnie zakaz leczenia. Taki jest sens francuskiej ustawy poseł Vanceunebrock-Mialon. Ten zakaz nie dotyczy jej politycznych oponentów, ale homoseksualistów właśnie. I ich przyjaciół – kontrowersyjnych duszpasterstw homoseksualnych, w których nie wolno już będzie zachęcać do czystości. Tak, despotyzm rozpusty nie jest żadną metaforą.

JESZCZE RÓWNIJSZA RÓWNOŚĆ

W jaki sposób te sprzeczne z całym dziedzictwem prawa europejskiego inwencje można było nie tylko szeroko wprowadzić, nie tylko uznać za powszechnie obowiązujące, lecz także uruchomić w ich imię całą maszynę

międzynarodowej propagandy i przymusu?

Bramą Pałacu Zimowego – równie symboliczną i równie łatwo sfinansowaną jak Piotrogrodzki pierwowzór – było w tym przypadku pojęcie równości. Tę kanoniczną dla liberalizmu kategorię w traktacie libbońskim zastąpiono „niedyskryminacją”, pojęciem zbliżonym, ale zasadniczo różnym. Równość po pierwsze była postulatem „pozytywnym”, związanym z emancypacją. Po drugie zasadniczo odnosiła się do podmiotów homogenicznych: równość małżonków w małżeństwie (a nie równość rodziców i dzieci), równość drużyn w tej samej lidze (a nie prawo mistrza okręgowki do zagrania w ekstraklasie), równość praw politycznych w życiu publicznym (a nie równość związku studenckiego i senatu uniwersytetu). W konserwatywnej interpretacji równość oznaczała przede wszystkim powszechność podlegania prawu – prawo równe dla wszystkich.

„Niedyskryminacja” jest pojęciem negatywnym, znowu w podwójnym znaczeniu tego słowa. Po pierwsze ma charakter nieokreślony, odnosić się może do zjawisk najzupełniej heterogenicznych, np. do życia politycznego i seksualnego (w Hiszpanii dzieci szkolne naucza się o „orientacjach seksualnych” nie na anatomii, ale na wychowaniu obywatelskim). Po drugie wprowadzenie tej zasady (i idących za nią dyrektyw) zawierało sugestię, że w demokratycznej Europie, we wspólnocie jej państw ufundowanej przez chadeckich ojców założycieli kryją się całe potężne obszary dyskryminacji, które należy forsownie usunąć. Ustanowienie zasady „niedyskryminacji” było znakiem przejścia od (mniej lub bardziej) klasycznego liberalizmu do rewolucyjnego postliberalizmu, od relatywistycznego pluralizmu do dyktatury relatywizmu.

Oczywiście, nie oddzielajmy jajka od kury. Sama idea równości, zawierająca wiele postulatów odpowiadających godności natury ludzkiej, wyjęta z kontekstu jakiegokolwiek ładu, nierównoważona obroną uprawnionych autorytetów i struktur społecznych (widząca w nich najwyżej zło konieczne, a nie co najmniej równoprawne elementy życia społecznego i sprawiedliwości) miała charakter jednostronny. Można ją było praktykować sprawiedliwie i z umiarem, ale nie zawierała w sobie całości dobra wspólnego.

Społeczeństwo bowiem jest z natury różnorodne, zawiera różne struktury i funkcje, a sama równość jest z zasady paradoksalna. Jednakowa reprezentacja Teksasu i Maine w senacie USA odpowiada równości stanów, ale narusza równość jednostek (choć Amerykanie jakoś potrafią z tym żyć). Biorąc pod uwagę wreszcie, że człowiek jest istotą słabą, ale słabość tę kompensuje nasza społeczna natura, wszyscy potrzebujemy „opiekunów nierówności”. Potrzebujemy rodziców, którzy nas wychowają, nauczycieli, którzy przekażą nam wiedzę, rządu, który nas będzie chronić. Zamiast równości w tym przypadku potrzebujemy solidarności, odpowiedzialności, serdeczności. Przez swą jednostronność i ignorancję całej tej rzeczywistości „równość” mogła (a nawet musiała) w pewnym momencie wygenerować swe skrajne konsekwencje. Tego tak wychwalani dziś chadecy ojcowie założyciele Unii, przekonani, że demokracja liberalna jest naturaliter christiana, najwyraźniej nie chcieli być świadomi.

RUSZAJĄ Z PODSTAW BRYŁĘ ŚWIATA

Trudno znaleźć jakiegokolwiek raport Parlamentu Europejskiego adresowany do partnerów zewnętrznych Unii, w którym nie byłoby apeli o realizację postulatów politycznego ruchu homoseksualnego. Dotyczy to nie tylko Ukrainy czy Mołdawii, lecz także Uzbekistanu czy Kazachstanu. Rzec nie kończy się jednak na Unii Europejskiej, taka redukcja byłaby równie zwodnicza jak sprowadzanie trwającej dziś rewolucji do „ekscesów i tolerancji dla lewactwa”.

Rok temu, w czasie międzynarodowego Miesiąca Dumy LGBT, na warszawskiej ambasadzie USA wywieszono tęcze flagi politycznego ruchu homoseksualnego. Oficjalne stanowisko Rzeczypospolitej oscylowało między „nie stało się nic nadzwyczajnego” a „nie będziemy tego oceniać”. A przecież na budynkach obcego przedstawicielstwa dyplomatycznego odbywała się manifestacja przeciw polskiemu porządkowi konstytucyjnemu. To, że art. 18 Konstytucji RP był pisanym dla ochrony Polski przed rewolucją homoseksualną, wie każdy nieuprzedzony historyk, na takim stanowisku stoją też władze Rzeczypospolitej. Dlaczego nie chcemy uniwersalizować polskich „dobrych praktyk”, skoro prezentacja ich racji i treści to dziś normalne składniki

Trudno znaleźć jakiegokolwiek raport Parlamentu Europejskiego adresowany do partnerów zewnętrznych Unii, w którym nie byłoby apeli o realizację postulatów politycznego ruchu homoseksualnego

polityki praw człowieka? Nawiasem mówiąc, mogę zrozumieć (w porządku hermeneutyki, nie etyki), dlaczego ambasador Rzeczypospolitej nie idzie na Marsz Życia i Rodziny w Paryżu, ale dlaczego nie przyłącza się do Narodowego Marszu Życia w Waszyngtonie, w którym biorą udział prezydent i wiceprezydent Stanów Zjednoczonych? Jeśli nie chcemy podkreślać różnic, to miejmy przynajmniej odwagę podkreślać zgodę. Przecież zgoda z największym sojusznikiem nie powinna podlegać cenzurze poprawności politycznej.

CETERUM CENSEO

Nie budujemy naszej tożsamości na prymitywnej odrębności. Rewolucja ta (choć dla nas najważniejszą płaszczyzną jest Unia Europejska) obejmuje dziś niemal wszystkie organizacje międzynarodowe, od agend ONZ poczynając. Co możemy im przeciwstawić? Naiwną wiarę, że będzie tak, jak było zawsze? Bo Polska „nie-rząd”, czyli nie polityką – stoi? Monotonne powtarzanie „Wolność Tomku w swoim domku”, które jedynie będzie potwierdzać kierowane przeciw Polsce zarzuty, iż przyjmujemy, że władza polityczna stoi ponad „prawami człowieka”?

Potrzebna jest skuteczna reakcja, choć skuteczna nie znaczy doraźna. Pamiętamy, że rewolucja ta cały czas postępuje i nie odwrócił jej żaden wynik wyborów w Polsce czy gdzie indziej. Rzec rozgrywa się na planie międzynarodowym i wymaga odpowiedzi międzynarodowej. Po pierwsze należy jasno przedstawiać uniwersalne motywy polskiego porządku konstytucyjnego i prawnego. Nie dlatego bronimy rodziny jako najważniejszej (i nieimitowalnej!) instytucji społecznej, bo jesteśmy do wartości rodzinnych przyzwyczajeni, ale dlatego, że stanowi ona uniwersalny fundament społeczeństwa. Każdy kraj musi go chronić, a tym bardziej każde państwo ma prawo promować go i bronić na forum międzynarodowym. Po drugie konieczna jest współpraca z państwami, z którymi zachowujemy wspólnotę moralną

i ustrojową, przede wszystkim z państwami Europy Środkowej. Akty takie jak odrzucenie przez bułgarski trybunał konstytucyjny genderowej konwencji stambulskiej, jak ostatnie wybory na Słowacji, jak deklaracja premiera Orbána o potrzebie kulturowej kontrrewolucji w Europie powinny być zasadniczymi przesłankami polskiej polityki praw człowieka. Kto ma walczyć o ich treść, jeśli nie ojczyzna Jana Pawła II?

Zasady, na których opiera się prawo Rzeczypospolitej (i wielu innych państw Europy Środkowej), zebrane są w projekcie Międzynarodowej konwencji praw rodziny i projekt ten należy jak najszybciej przedstawić na forum międzynarodowym. Wystarczy zacząć od Europy Środkowej (integrację europejską zainicjowało i przez dłuższy czas rozwijało jedynie sześć państw). Dzisiaj uniwersalizacja praw rodziny jest nam potrzebna jako uniwersalne właśnie oparcie dla naszej suwerenności. Tylko odwołując się do odrębnie zdefiniowanego katalogu praw podstawowych, skutecznie będziemy wykonywać swoją suwerenność. Tylko w ten sposób zbudujemy również racjonalny modus cooperandi w Europie, pozostającej przecież geopolityczną wspólnotą losu i kulturową wspólnotą pamięci, choć coraz mniej jest wspólnotą wartości. W przeciwnym razie będziemy jedynie ustawicznie atakowani, zmuszani do wykrętnych tłumaczeń i podmywania propagandą, której będziemy się trochę chcieli, a bardzo bali przeciwstawić. A możemy przecież otwarcie, wspólnie z innymi, swe stanowisko promować i go bronić. I owszem, również używać swojej soft power do promowania naszych zasad w zachodniej Europie, przynajmniej w tym stopniu, w jakim sami doświadczamy tego na sobie. Albo z umiarem, gdy do umiaru wreszcie orędowników antyrodzinnej rewolucji nakłonimy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor był posłem do Parlamentu Europejskiego, jest członkiem Komitetu Wykonawczego Europejskiej Federacji dla Życia i Godności Człowieka ONE OF US.



Z Johnem-Henrym Westenem, kanadyjskim publicystą katolickim, redaktorem naczelnym portalu LifeSiteNews

rozmawia Piotr Włoczyński

PIOTR WŁOCZYŃSKI: Premier Justin Trudeau w zaledwie pięć lat zmienił Kanadę w państwo bodaj najbardziej na świecie przyjazne postulatowi LGBT. Jak wygląda dziś w Kanadzie życie chrześcijańskich biznesmenów, który sprzeciwia się wprowadzaniu w życie tej ideologii?

JOHN-HENRY WESTEN: Jesteśmy w nieporównanie gorszej sytuacji niż ci, którzy popierają cały wachlarz skrajnie lewicowych postulatów. Zaczęło się w 2018 r. od wielkich zmian w programie prac wakacyjnych dla studentów. To fantastyczny program. Wspomaga firmy, które biorą w nim udział, ale przede wszystkim pozwala zebrać bezcenne doświadczenie samym studentom. Na naszym portalu LifeSiteNews uczuliśmy ich, jak zrobić dobry research i jak napisać wartościowy tekst w dziedzinie obrony życia i rodziny.

odwoływaliśmy się od tej krzywdzącej decyzji, ale przez rok nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Wprowadzenie nowych ogólnokrajowych przepisów w sprawie programów wakacyjnych sprawiło, że wszystko stało się jasne – chodzi o ukaranie wszystkich, którzy nie zgadzają się z wizją świata przedstawianą przez skrajną lewicę rządzącą Kanadą.

Nie chodziła panu po głowie myśl, że może jednak mniejszym złem byłoby podpisanie tego kawałka papieru? Pomógłby pan w ten sposób własnej redakcji, a przy okazji studentom.

Nie, ponieważ takim podpisem pogwałciłbym swoje sumienie i podeptałbym wszystko, o co walczymy w LifeSiteNews. Chrześcijańskim przedsiębiorcom nie chciało się wierzyć, że państwo może

ciwiu. Czy to nie jest antychrześcijańska religia? Ci ludzie na pewno by się obruszyli, gdyby w rozmowie z nimi nazwać ten zestaw poglądów i recept religią, ale taka jest rzeczywistość. To jest ich wiara.

Jak to wpływa na kondycję LifeSiteNews? Obejdziecie się bez pomocy rządu?

Działamy w mediach, w Internecie, więc możemy cały czas pracować, ale mimo wszystko odczuliśmy pandemię. Opieramy się przecież na wpłatach naszych czytelników. Jeżeli oni mają mniejsze możliwości finansowe, to siłą rzeczy odbija się to też na naszym budżecie. Na pewno przydałoby się wsparcie państwa, ale w takich okolicznościach nie wchodzi ono w grę – nie pogwałcimy naszych sumień dla pieniędzy. To dopiero jest prawdziwa dyskryminacja, ale o to chodzi temu liberalnemu rządowi. Chce nas zakneblować i zmusić do przyjęcia jego wizji świata.

Nietrudno sobie jednak wyobrazić, że spora część kanadyjskich chrześcijan, którzy prowadzą

Jak regulacje prawne ideologii krępują wolność

Dlaczego przestaliście brać udział w tym programie?

Sęk w tym, że zostaliśmy wyłączeni z tego programu już rok przed pojawieniem się nowych przepisów przymuszających przedsiębiorców do podpisania oświadczenia o „niedyskryminowaniu” m.in. w kontekście praw kobiet, które według rządowej definicji zakładają prawo do aborcji. W ramach „niedyskryminowania” mowa jest też oczywiście o innej orientacji seksualnej, a definicja dyskryminacji jest tak szeroka, że każdy przeciwnik „małżeństw homoseksualnych” wychodzi na osobę dyskryminującą ludzi LGBT. Oczywiście

coś takiego zrobić – żądać podpisania czegoś, co w gruncie rzeczy jest cyrografem. Niestety, chrześcijańscy przedsiębiorcy w Kanadzie nie walczyli zbyt mocno z tym bezprawiem, bo teraz, w dobie pandemii koronawirusa, gdy państwo przekazuje olbrzymie kwoty zagrożonym firmom, ta sama polityka została rozciągnięta na cały biznes. To naprawdę przypomina cyrograf podpisany z diabłem: „Dostaniesz pieniądze, jak podpiszesz coś, co gwałci twoje sumienie”. Bo przecież definicja dyskryminacji obejmuje już niemal wszystko, na czele ze sprzeciwem wobec aborcji i „małżeństwom homoseksualnym”. Tak działa ultraliberalny rząd Justina Trudeau – miażdży wolność i każdy objaw sprze-

siębiorstwa, będzie zmuszona podpisać dokument o „niedyskryminacji”, żeby dostać wsparcie. Na jednej szali będzie ich sumienie, a na drugiej źródło utrzymania ich i pracujących u nich ludzi...

Oczywiście, znam takie historie. Tak było już przy okazji programów wakacyjnych. Niektórzy decydują się pogwałcić swoje sumienie – bardzo źle się z tym czują, ale uważają, że muszą to zrobić, by dać swoim firmom szansę na rozwój. Do tego doprowadza zakneblowanie społeczeństw przez progejowskie i profeministyczne regulacje prawne. Tym przedsiębiorcom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji finansowej, a mimo wszystko chcą pozostać wierni swoim przeko-

naniom, zostaje chyba tylko błaganie o pomoc z niebios...

Boję się tylko, że niedługo to samo może spotkać zwykłych obywateli, którzy ucierpieli w obecnym kryzysie i polegają na pomocy państwa. Co daje nam gwarancję, że rząd Trudeau nie każe podpisywać takich „cyrografów” zwykłym ludziom w zamian za wsparcie państwa?

Dlaczego wielki biznes na Zachodzie tak bardzo wspiera postulaty środowisk LGBT? Co sprawia, że wielkie korporacje nie boją się utraty klientów o bardziej tradycyjnych poglądach?

W niektórych przypadkach narzucenie poglądów jest ważniejsze od samego biznesu. Jak już wspominałem, to w istocie coś na kształt religii. Ci ludzie wiedzą też, że mogą liczyć na siebie nawzajem

Po drugiej stronie nie widać wielkich firm, które byłyby gotowe wspierać konserwatywne wartości. Do niedawna podawano tu przykład amerykańskiej sieci fast food Chick-fil-A, założonej na południu przez żarliwego baptystę, ale nawet Chick-fil-A, wobec bojkotu, musiało się ostatnio

sząć z Hollywood pogroźki, że jeżeli tak, to u nich nikt nie będzie kręcił filmów. To oczywiście oznacza gigantyczne straty.

Podobne historie dzieją się w sprawie aborcji. Kiedy władze Georgii postanowiły zabronić



LGBT gospodarczą

w forsowaniu tych skrajnie lewicowych postulatów. Weźmy choćby Hollywood, które do mistrzostwa opanowało technikę miażdżenia wolności.

Nie jest już tajemnicą, że rządząca tam klika narzuca treści pro-LGBT w niemal każdej nowej produkcji, która stamtąd wychodzi. Weźmy choćby „Impersonalnych” (ang. „Person of Interest”), szalenie popularny serial, w którym grał m.in. Jim Caviezel (w 2004 r. wcielił się w rolę Jezusa Chrystusa w „Pasji” Mela Gibsona). Otóż okazało się, że jego twórcy zostali zmuszeni, by dodać homoseksualną postać... Tę zależność widzi chyba każdy, kto śledzi to, co wychodzi z Hollywood.

wycofać z finansowania organizacji sprzeciwiających się forsowaniu ideologii LGBT.

Chick-fil-A faktycznie się ugięło, bo jest cała wataha firm, które nie cofną się przed niczym, by przymusić konserwatystów do posłuszeństwa. To bardzo karna armia. Chick-fil-A jest przykładem tego, jak trudno walczyć dziś w wielkim biznesie o konserwatywne wartości.

Problem w tym, że również rządy są zastraszane przez korporacje, które narzucają agendę LGBT. Mam tu na myśli np. władze stanowe w USA, które nie chcą zakazywać terapii konwersyjnych, pomagających osobom homoseksualnym pozbyć się ich problemu z orientacją seksualną. W takich przypadkach nagle sły-

dokonywania aborcji po szóstym tygodniu życia – serce dziecka zaczyna wtedy bić – największe gwiazdy Hollywood zapowiedziały filmowy bojkot tego stanu.

Jeżeli się nie ugniesz, to zostaniesz ukarany finansowo. Tak działa to lobby.

W 2017 r. premier Kanady zapowiedział, że zrobi wszystko, by wykorzenić „dyskryminację przeciw osobom homoseksualnym”. Czy można dziś uznać, że – z perspektywy środowiska LGBT – spełnił swoją obietnicę?

Po pierwsze trzeba zauważyć, że Justin Trudeau to prawdziwy „apostoł” antyka-
tolicyzmu i szerzej – antychrześcijaństwa. Jego zaciętość tłumaczy to, że sam był katolikiem (choć on twierdzi, że wciąż

■ nim jest). Był wychowany w szkole katolickiej, można nawet zobaczyć zdjęcia, jak przyjmuje komunię świętą z rąk biskupów. Doskonale więc wie, z czym walczy – zna naukę Kościoła i wie, gdzie najbardziej zaboli uderzenie skrajnie lewicowej ideologii.

To, co premier Kanady nazywa „trwającą dyskryminacją ludzi LGBT”, to m.in. fakt, że niektórzy ludzie ze skłonnościami homoseksualnymi byli w stanie znaleźć specjalistów, którzy pomagali im pozbyć się tego problemu. Czasem jest to związane z molestowaniem w dzieciństwie, a czasem potrafi tak człowieka okaleczyć pornografia. Trudeau od dawna chciał zdelegalizować taką formę pomocy osobom homoseksualnym. Ustawa ta jest obecnie dyskutowana w naszym parlamencie i wszystko wskazuje na to, że liberałowie będą głosować za takim rozwiązaniem.

Strona LGBT przekonuje jednak, że ta forma terapii jest „pseudonaukowa” i tylko przyczynia się do krzywdzenia osób homoseksualnych.

To ustawa zaproponowana przez Trudeau krzywdzi te osoby! Jeżeli bowiem ktoś sam prosi o pomoc w pozbyciu się homoseksualnego problemu, to co w tym złego? Weźmy przykład kobiety, która w młodości była zgwałcona. Nosi z tego powodu w sobie głęboką niechęć do mężczyzn, przez co zaczyna wchodzić w związki z kobietami. Potem jednak, kiedy widzi, że jej koleżanki zaczynają zakładać rodziny i mają dzieci, coś się w niej odzywa i chce zacząć żyć normalnie. Takie historie pisze życie. Trudeau chce jednak uniemożliwić takim ludziom sięganie po pomoc specjalistów. Od teraz ma to być niezgodne z prawem! Jeżeli masz skłonności homoseksualne, to tak ma zostać – zdaje się mówić nasz obecny rząd. A to tylko kolejna trauma dla wielu osób homoseksualnych, które mają takie skłonności właśnie dlatego, że ktoś je kiedyś w dzieciństwie strasznie skrzywdził.

Według nowego prawa zakazana ma być „każda praktyka lub usługa mająca na celu zmianę orientacji seksualnej lub tożsamość płciową, by wyeliminować lub zredukować pociąg seksualny lub zachowania seksualne między osobami tej samej płci”. Oczywiście liberałowie dopilnowali, żeby w nowym prawie na wszelki wypadek podkreślić wyraźnie, że można zmienić płeć pod nadzorem specjalistów od „gender”. Czyli to prawo jak najbardziej pozwala na okaleczanie organów płciowych ludzi, którzy źle

się czują z własną płcią. To kompletne szaleństwo.

Część polityków wspiera postulaty LGBT dlatego, że to się po prostu opłaca – w wielu miejscach na świecie wyborcy właśnie tego oczekują od swoich przedstawicieli we władzach. Pan jednak uważa, że premier Kanady nie widzi w tym zwykłego narzędzia politycznego?

LGBT to dla niego religia. Premier Trudeau chce wytepić wszelki opór. Chce całkowicie zakneblować ludzi, którzy sprzeciwiają się tej ideologii, a także potępiają aborcję. Oczywiście jedno z drugim jest bardzo ściśle powiązane – te postulaty idą w swego rodzaju „pakiecie”. Warto przypomnieć, że to właśnie obecny premier Kanady dopilnował, że członkowie jego partii nie mogą mieć w tej sprawie innego zdania. Nie wolno im kwestionować prawa do aborcji, bo inaczej nie ma dla nich miejsca w Liberalnej Partii Kanady...

Mało tego – Kanada od lat wywiera nacisk na inne kraje, by kopiowały ten lewacki model państwa dotyczący przede wszystkim aborcji i agendy homoseksualnej. Chociaż trudno w to uwierzyć, to Kanada postawiła warunek biednym krajom – jeżeli chcecie naszej pomocy, to musicie u siebie realizować politykę „praw LGBT”.

Wielkim zagrożeniem dla konserwatywnej Kanady jest to, że Trudeau wyjątkowo mocno opowiada się za państwową kontrolą nad edukacją, która pozbawia rodziców wpływu na to, co ich dzieci słyszą w szkołach. A wiadomo przecież, że szkoły to główne pole walki ideologów LGBT.

Pytanie o to, kto wygrywa to starcie w szkołach, jest chyba pytaniem retorycznym?

Niestety, Kanada to bardzo smutny przypadek. Rząd jest bardzo skuteczny w swojej proaborcyjnej i prohomoseksualnej ofensywie w społeczeństwie jako takim, ale też stara się narzucić swoją narrację w edukacji. I to w szkołach zarówno państwowych, jak i katolickich. Jeszcze nie ma przypadków, by rząd pozywał szkoły, które się nie ugięły, ale – patrząc na dotychczasową praktykę – można się spodziewać, że niedługo to się zmieni.

Nie tylko edukacja bardzo nas martwi. Również w naszych mediach doskonale widać kneblowanie przeciwników rewolucji społecznej. Proszę sobie wyobrazić, że w Kanadzie nie ma radia ani telewizji, które są konserwatywne. CRTC, Kana-dyjska Komisja Radiowo-Telewizyjna, po

prostu nie wydaje licencji mediom, które uważa za „niewłaściwe”. Jedynie liberalne radio i telewizje mogą u nas działać.

Teraz padła propozycja, by to samo prawo rozciągnąć na całe media, wliczając w to Internet. Czyli za chwilę to my znajdziemy się na celowniku liberałów. To już naśladowanie modelu chińskiego, co jest niezwykle niepokojące.

Wydaje się jednak, że LifeSiteNews jest pod tym względem całkiem niezłe zabezpieczone.

Na szczęście jesteśmy zarejestrowani zarówno w Kanadzie, jak i w USA, więc w razie problemów w Kanadzie damy sobie radę. Jednak Kanadyjczycy mogą stracić dostęp do naszych treści. Temu rządowi bardzo zależy, żeby wyeliminować z debaty publicznej ludzi broniących życia nienarodzonego i fundamentu społeczeństw – rodziny. W Ameryce chodzi o to samo.

Wyraźnie jednak widać, że odpowiedź środowisk konserwatywnych jest po obu stronach granicy diametralnie różna. Dlaczego tak to wygląda?

Różnica jest olbrzymia. W Kanadzie przegrywamy sromotnie. W USA ludzie broniący tradycyjnych wartości mają w tej walce większe szanse niż my. Widać to choćby po stanowisku biskupów. W Ameryce jest co najmniej 25 biskupów, którzy są bardzo głośnymi obrońcami życia i rodziny. W Kanadzie bardzo brakuje nam takich głosów. Nasi biskupi są niestety słabi. Daleko im do zdecydowania, które prezentują choćby polscy biskupi. My, kanadyjscy katolicy, błagaliśmy naszych biskupów, by walczyli z ustawą zabraniającą terapii konwersyjnych. Na razie jednak nasze błagania nie spotkały się z większą reakcją...

Pas biblijny w USA opowiada się za życiem, za rodziną. To jest nadzieja dla naszej cywilizacji. Dlatego nawet Barack Obama mówił na każdym spotkaniu: „Boże, błogosław Amerykę”. Nie miałby szans wygrać, gdyby nie odwoływał się do Boga. Niestety u nas, w Kanadzie, sytuacja jest kompletnie inna. Nasi chrześcijanie są bardzo słabi i politycy nie muszą się nami przejmować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



John-Henry Westen – jest kanadyjskim publicystą katolickim, współtwórcą i redaktorem naczelnym portalu LifeSiteNews zajmującego się tematyką pro-life i ochrony rodziny.

1974 R.: WYCOFANIE HOMOSEKSUALIZMU Z LISTY ZABURZEŃ PSYCHICZNYCH

Wbrew pozorom to nie religia była pierwszym przeciwnikiem akcji afirmacyjnej homoseksualnego ruchu politycznego, ale środowiska psychiatryczne. W opublikowanym w roku 1952 pierwszym wydaniu „Diagnostycznego i statystycznego podręcznika zaburzeń psychicznych” („DSM-I”) homoseksualizm został zaklasyfikowany jako dewiacja seksualna. Rodzący się ruch polityczny to właśnie psychiatrów rozpoznał jako winnych swojej sytuacji społecznej. Po wydarzeniach w Stonewall rozpoczęto akcję wywierania nacisku na Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (APA,) by zmieniło ono klasyfikację homoseksualizmu, a docelowo całkowicie go wykreśliło z kolejnych wydań podręcznika. Tę klasyfikację powtórzono w drugim wydaniu „DSM” („DSM-II”) i stało się to w roku 1968, niedługo przed zamieszkami pod Stonewall, które uważa się za początek politycznego ruchu homoseksualnego. Od roku 1970 zaczyna się seria incydentów zorganizowanych przez aktywistów mających na celu zastraszenie i zakłócenie prac APA.

W samej organizacji nastroje nie były jednoznaczne, młodsze pokolenie psychiatrów, będące już pod wpływem tzw. raportów hochsztaplera seksuologii Alfreda Kinseya i jego zespołu, zaczynało skłaniać się do zmiany stanowiska. Raport Kinseya jest tak ważny, ponieważ wytwarza w kwestiach seksualności mentalność całkowicie oderwaną od jej naturalnych celów. Kinsey deklarował, że nienormalne jest tylko to, co jest... niemożliwe. W konsekwencji nacisków Zespół Zadaniowy ds. Społecznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycz-

Kalendarium LGBT



FOT. ADRIAN STOK



Tomasz Rowiński

nego zlecił rozważenie, czy obecność homoseksualizmu w „DSM” jest zasadna. W kolejnych latach nastąpiły realne prace nad zmianą stanowiska przedstawicieli APA, opierające się choćby na świadectwach złego traktowania homoseksualistów czy zestawianiu obserwacji świata zwierzęcego i ludzkiego w obszarze zachowań seksualnych. W 1973 r. zarząd APA podjął decyzję o wykreśleniu homoseksualizmu z „DSM” i zastąpieniu go zaburzeniami orientacji seksualnej, co oznaczało sytuację odczuwania konfliktu wewnętrznego z powodu swojej seksualności.

Zarząd towarzystwa po decyzji oświadczył, że „niewątpliwie grupy homoseksualnych aktywistów będą twierdzić, że psychiatria uznała wreszcie homoseksualizm za tak samo normalny jak heteroseksualizm. Będą one w błędzie”. Alfred Freedman, prezes APA, podkreślał to, co

dziś jest często wypierane z dyskursu – depatologizacja homoseksualizmu nie miała znaczenia naukowego, ale duże znaczenie społeczne. Homoseksualizm był w Stanach Zjednoczonych w tamtym czasie karalny. Nie zakończyło to sporów wewnątrz APA, przeciwnicy decyzji zarządu domagali się referendum, które przeprowadzono w roku 1974. Zakończyło się ono sukcesem aktywistów homoseksualnych, jednak sam referendalny sposób podejmowania tej decyzji podkreślił nie medyczny charakter sprawy, ale polityczny.

2016 R.: POLSKI SPRZECIW WOBEC TZW. PIĄTEJ DYREKTYWY RÓWNOŚCIOWEJ

Tak zwana piąta dyrektywa równościowa jest projektem Rady Unii Europejskiej dotyczącym wprowadzania

w życie zasady równego traktowania osób bez względu na religię lub światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną. Jednak jej praktyczną konsekwencją, pod pretekstem realizacji zasady równego traktowania, gdyby została wprowadzona, byłoby ograniczanie wolności gospodarczej i swobody umów oraz naruszanie zasady domniemania niewinności. Jej treść znacząco wpłynęłaby na sprawę pana Adama J., drukarza z Łodzi, o której piszemy w tym numerze dodatku specjalnego, gdyby postępowanie przeciw niemu zakończyło się ostatecznie porażką strony wolnościowej.

W roku 2016 polski rząd zmienił swoje stanowisko wobec tego projektu z pozytywnego na negatywne. Wcześniejsza rekomendacja to rok 2008 i odbyła się bez konsultacji społecznych z organizacjami zrzeszającymi przedsiębiorców. Przygotowano ją w pośpiechu, zaledwie w ciągu kilku dni.

Kiedy w 2014 r. pojawiły się głosy, że prace nad dyrektywą – nazywaną antydyskryminacyjną – zostaną wznowione, wywołało to falę protestów ponad stu europejskich organizacji pozarządowych. W Polsce autorami dezyderatu wzywającego rząd do zmiany stanowiska byli prawnicy z Instytutu na rzecz Kultury Prawnej „Ordo Iuris”.

Chociaż rząd uzasadniał swoją decyzję tym, że „implementacja nowych przepisów wymusiłaby na przedsiębiorcach modyfikację przedmiotu prowadzenia działalności gospodarczej w zakresie prowadzonej produkcji czy usług, a to z kolei może ingerować w ich prawa majątkowe”, to jest oczywiste, że chodzi tu o znacznie głębszy spór cywilizacyjny z politycznym ruchem homoseksualnym. ©

Wolność kontra dyskryminacja



FOT. ADAM STOK



Łukasz Zboralski

Głośna sprawa drukarza z Łodzi zderzyła w Polsce gwarantowaną przez konstytucję wolność wyznania i sumienia z przepisem z PRL, który w pewnym momencie uznano za implementację unijnej dyrektywy antydyskryminacyjnej

Sprawy dotyczące wykroczeń – czyli nawet nie przestępstw – rzadko budzą emocje. Ten przypadek jednak poruszył całą Polskę. Pokazał bowiem, że w pewnym momencie na gruncie prawnym, nawet w pozornie błahej sprawie, zderzają się wartości. Tutaj doszło do kolizji prawa każdego konsumenta do tego, by nie być dyskryminowanym, z prawem każdego człowieka do tego, by nie być zmuszonym do postępowania, także gospodarczego, które nie jest zgodne z wyznawanym przez niego systemem wartości – co prowadziłoby do postępowania sprzecznego z sumie-

niem tego człowieka i naruszałoby jego godność.

Ostatecznie okazało się, że w polskiej konstytucji – po wyroku Trybunału Konstytucyjnego – górę bierze poszanowanie wolności sumienia rozumianej jako prawo do wyznawania zespołu poglądów moralnych, filozoficznych, religijnych itd.

SPÓR O USŁUGĘ

Wszystko zaczęło się w 2015 r. w Łodzi. Wolontariuszka fundacji LGBT Business Forum Agata H. zamawiała e-mailowo w łódzkiej drukarni Media Lab s.c. wykonanie reklamy roll-up na

konferencję. Pracownik drukarni Adam J. wysłał jej wycenę. Jednak gdy otrzymał pliki graficzne, odpisał, że usługi nie wykona. Swoją bowiem pracą, jako zadeklarowany katolik, nie chce się przykładać do promocji ruchów LGBT.

Fundacja poskarżyła się na tę odmowę Rzecznikowi Praw Obywatelskich, a biuro RPO poprosiło policję o ukaranie Adama J. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego dla Łodzi-Widzewa w Łodzi. Ten uznał, że drukarz dopuścił się wykroczenia i ukarał go grzywną w wysokości 200 zł. Adam J. z tym się nie zgodził, decyzja o grzywnie straciła moc. Drukarz został więc uznany za winnego, ale odstąpiono od wymierzenia mu kary. Sąd okręgowy podtrzymał wyrok wcześniejszej instancji. Wyrok się uprawomocnił.

Zaintervenował prokurator generalny, który złożył wniosek o kasację wyroku do Sądu Najwyższego. Ten w 2018 r. kasację oddalił. Uznał, że osoba wierząca ma prawo odmówić wykonania jakiegś usługi, gdy pozostaje to w sprzeczności z jej systemem wartości. Jednocześnie

jednak stwierdził, że uzasadnieniem odmowy nie mogą być... subiektywnie rozumiane zasady religijne.

Zbigniew Ziobro skierował też jednak w grudniu 2017 r. wniosek do Trybunału Konstytucyjnego. Uzasadniał, że polski przepis, który pozwala rozumieć odmowę świadczenia usługi w taki sposób, iż nie uzasadniają jej zasady wiary i sumienia (a szczegółowo – o stwierdzenie częściowej niezgodności art. 138 k.w. z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r.). Dopiero konstytucyjny kontekst pozwolił zobaczyć, z jakim właściwie sporem mieliśmy do czynienia w tej sprawie.

DRUGIE ŻYCIE KARY Z PRL

Przepis, który pozwolił penalizować takie zachowanie jak to łódzkiego drukarza, to art. 138 ustawy z dnia 20 maja 1971 r. – Kodeks wykroczeń. Obowiązuje on od stycznia 1972 r. Wcześniej obowiązywały niemal identyczne regulacje – czyli art. 15 ustawy z dnia 13 lipca 1957 r. o zwalczaniu spekulacji i ochronie nabywców oraz producentów rolnych w obrocie handlowym oraz wcześniejszy jeszcze art. 3 dekretu z dnia 4 marca 1953 r. o ochronie nabywców w obrocie handlowym.

Trzeba zauważyć, że te regulacje, w tym art. 138 k.w., w PRL-owskiej, wypaczonej przez komunizm rzeczywistości miały wymuszać na zawodowo świadczących usługi wykonywanie ich po cenach urzędowych. Nierzadko bowiem odmawiano świadczenia usługi, by wymusić na kliencie cenę wyższą niż urzędowo obowiązująca.

W nowej rzeczywistości, bez socjalistycznej gospodarki, przepis tracił sens. Zaczęto go więc postrzegać inaczej, jako antydyskryminacyjny. To oczywiście zrodziło wiele problemów związanych z tym, że przepis zakłada penalizację za „nieuzasadnioną” odmowę usługi.

Doktryna dotycząca tej regulacji uporała się z tym problemem, wymieniając faktyczne przykłady uzasadnionej odmowy, takie jak np. brak narzędzi, materiałów, usługa przekraczająca umiejętności osoby wykonującej, zaplanowany urlop, a nawet – choć bardzo delikatnie to ujęto – względy ekonomiczne, czyli opłacalność dla wykonawcy.

W doktrynie jest też pogląd, w którym przyjmuje się antydyskryminacyjny charakter tego uregulowania. Pierwszy w Polsce wskazał na to Wojciech Burek,

który w 2007 r. zwracał uwagę na brak regulacji, która implementowałaby do prawa polskiego unijną dyrektywę Rady 2000/43/WE z 29 czerwca 2000 r. wprowadzającą w życie zasadę równego traktowania osób bez względu na pochodzenie rasowe lub etniczne. Burek wskazał, że choć art. 138 k.w. korzenie ma w specyficznej sytuacji społeczno-ekonomicznej PRL, to właśnie ten przepis można uznać za implementację takiej dyrektywy. Ponieważ zakłada ona sankcje – ale nie precyzuje ich – można przyjąć też jego zdaniem, że cel dyrektywy realizować będą sankcje karne.

Również Aneta Michalska-Warias wskazywała, że przy interpretacji „nieuzasadnionej” odmowy wykonania usługi pomocne mogą być m.in. regulacje ustawy z dnia 3 grudnia 2010 r. o wdrożeniu niektórych przepisów Unii Europejskiej w zakresie równego traktowania.

To antydyskryminacyjne podejście znajdowało już potwierdzenie w wyrokach polskich sądów, m.in. w Sądzie Rejonowym Poznań – Nowe Miasto i Wilda w Poznaniu, gdzie 20 marca 2018 r. uznano za winnego instruktora sztuk walki, który odmówił przeprowadzenia kursu sztuk walki dla grupy osób homoseksualnych.

TRYBUNAŁ BRONI WOLNOŚCI GOSPODARCZEJ

Jeszcze zanim zapadło rozstrzygnięcie w Trybunale Konstytucyjnym, prawnicy wskazywali, że było co najmniej kilka powodów, dla których sąd nie powinien uznawać łódzkiego drukarza za winnego w tej sprawie. Jakich? Otóż Adam J. nie odmówił wykonania usługi zwykłej osobie (osobie fizycznej), której godność mógłby w ten sposób naruszać, ale sprawa rozegrała się między nim a organizacją, czyli podmiotem zbiorowym. Łódzki zakład nie działał też w żadnej niszy i dostęp do podobnych usług fundacja miała ogromny – mogła z nich po prostu skorzystać w innym miejscu. W dodatku usługa miała ułatwić przekazywanie ludziom treści związanych z ideologią LGBT – czyli z taką, z którą Adam J. ze względów religijnych i światopoglądowych zdecydowanie się nie zgadzał.

W czerwcu 2019 r. Trybunał Konstytucyjny uznał, że przepis Kodeksu wykroczeń – przewidujący karanie za odmowę świadczenia usług bez uzasadnionej przyczyny – na podstawie którego skazano Adama J., jest niekonstytucyjny. Orzecz-

nie wydano w pięcioosobowym składzie, któremu przewodniczył sędzia Andrzej Zielonacki. Zdania odrębne złożyli dwaj sędziowie – Leon Kieres i Wojciech Sych.

TK uznał to, co wiadomo było wcześniej – że przepis z lat 70. ubiegłego stulecia dotyczył zupełnie innych realiów i związany był z gospodarką nakazowo-rozdziałczą. I że dopiero na początku XXI w. zaczęto ten przepis odczytywać w kontekście antydyskryminacyjnym. Trybunał wskazał jednak na błędne założenie doktryny w tym zakresie – uznał, że PRL-owski przepis nie realizuje celu antydyskryminacyjnego, bo w nim samym nie ma żadnego takiego wskazania. „W ocenie Trybunału Konstytucyjnego istnienie tej normy nie jest konieczne ani dla ochrony interesów konsumentów, ani dla ochrony przed aktami dyskryminacji” – podano w uzasadnieniu. Uznano też, że ten przepis nie jest nawet przydatny do ochrony konsumentów. „Ukaranie za odmowę świadczenia usługi nie stanowi podstawowego interesu konsumenta, jakim jest cel, aby usługa była zrealizowana” – wskazał TK.

Przed wszystkim Trybunał Konstytucyjny uznał jednak, że rzeczony przepis Kodeksu wykroczeń, który ogranicza wolność podmiotów prywatnych w zakresie zawierania umów i przewidujący kary za odmowę świadczenia przez nie usług, narusza zaufanie do państwa i prawa, bo jest nadmierną ingerencją w wolność jednostki.

– Cieszę się, że moje poglądy i argumenty zostały podzielone przez Trybunał i chciałbym powiedzieć, że wolność należy się wszystkim i nikt nie powinien pod hasłami tolerancji używać aparatu państwa, by zmuszać innych do pogwałcenia ich własnej wolności – komentował wyrok TK minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. – Żebyśmy mieli pewność, że niektóre środowiska nie chcą pod hasłami tolerancji – pięknymi hasłami – wykorzystywać przymusu państwa i aparatu represji państwa do tego, by zmuszać innych, by podzielili ich wartości w angażowaniu się w propagowanie ich wartości.

Po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego łódzki sąd apelacyjny uchylił wyrok dla Adama J.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z artykułu dr. Mikolaja Iwańskiego z Katedry Prawa Karnego UJ pt. „Odpowiedzialność za odmowę świadczenia usługi (art. 138 Kodeksu wykroczeń) na tle kolizji zasad konstytucyjnych. Rozważania na kanwie przypadku łódzkiego drukarza o styku prawa karnego sensu largo oraz prawa konstytucyjnego”, „Czasopismo Prawa Karnego i Nauk Penalnych” 2018, nr 7.

Nie pomoże ulica, pomogą sądy?



prof. Piotr Mostowik

Strategie ideologów LGBT opierają się m.in. na próbach importowania zagranicznych rozwiązań do naszego prawa oraz kreowaniu zmian poprzez orzecznictwo w sądach

W związkach niemałżeńskich żyje niemało par, wśród których większość stanowią zapewne osoby niehomoseksualne.

W tym osoby z przekonaniem odrzucające wiązanie się małżeństwem postrzeganym jako zbytne ograniczenie. Tak zwane wolne związki funkcjonują na podstawie różnych rozwiązań prawnych, w tym wzajemnego upoważnienia, wspólnych zakupów, rachunków bankowych i kredytów oraz współwłasności. Kancelarie prawne oferują kilka rodzajów „umów partnerstwa życiowego”, które mogą być obecnie przez partnerów zawarte na potrzeby

ich relacji majątkowych oraz ułatwiania załatwiania spraw administracyjnych. Tymczasem od podmiotów określających się jako przyjaciele LGBT płyną dokładnie odwrotne komunikaty. Brak w nich wyjaśnienia, co wynika z polskiego prawa, za to tworzony jest fałszywy obraz „braku możliwości”, a nawet „nielegalności”. Błędne są twierdzenia, że nie ma możliwości upoważnienia do zasięgnięcia informacji o sytuacji zdrowotnej (z której korzystają w praktyce inne osoby pozostające w relacjach niemałżeńskich) oraz że prawo nie pozwala ułożyć spraw majątkowych i dziedziczenia.



FOT. ANDRZEJ STYLIK

niu (znacznie mniejszym niż w szeregu praw obcych, które nietrafnie są przenoszone do krajowej dyskusji) umożliwia ograniczanie takiej ostatniej woli. Jedynie bardzo ograniczony krąg osób (małżonek, dzieci lub rodzice) może – ale nie musi – żądać, by osoba wskazana testamentem podzieliła się spadkiem i przekazała ułamek tego, co otrzymaliby w przypadku braku testamentu. Przekładając to na sytuację pary jednopłciowej, można stwierdzić, że w praktyce partner ustanowiony w testamencie spadkobiercą nie zostanie pozbawiony nawet części spadku, ponieważ akurat w tej sytuacji małżonka nie będzie, rodzice zwykle nie przeżywają dzieci i nie dziedziczą (a gdyby przeżyli, to nie muszą dochodzić zachowku), dziecka zaś zmarłej osoby homoseksualnej albo nie będzie, albo trudno by mu żałować zachowku od partnera matki lub ojca.

Ostatnia dekada przyniosła niebywałe poszerzenie żądań, które zgłaszane się przez osoby tzw. nieheteronarmatywne i w ich imieniu. Pojawiły się – mało dostrzegane, a zakrojone na osiągnięcie rewolucyjnego efektu – zorganizowane litygacje strategiczne [zazwyczaj wszczęcie postępowania przed sądem, by poprzez orzeczenia wpływać na kształt prawa – przyp. red.] „przeciwko” urzędnikom stanu cywilnego, którzy funkcjonują w każdej gminie w Polsce.

NIE KIJEM, TO PAŁKĄ

Jak wiadomo, wspólną cechą prawa rodzinnego w każdym państwie na świecie jest to, że małżeństwem jest związek jednej kobiety i jednego mężczyzny. Takie rozumienie jest uniwersalne, a na tle wielu praw – w tym polskiego – jedyne. W niektórych systemach prawnych od lat pod tym pojęciem prawnym dodatkowo funkcjonowały związki kilkuosobowe, przeważnie w formie wielożeństwa. W niektórych państwach albo poprzez zmianę prawa w drodze legislacji, albo przez doprowadzenie do prawotwórczego orzecznictwa nastąpiło poszerzenie rozumienia małżeństwa też na związki dwóch osób homoseksualnych. Spotkać można też konstrukcję prawną małżeństwa pośmiertnego. Zgłaszane były również wnioski prawnego uznania małżeństwa jednoosobowego, które nie zostały zaakceptowane przez sądy północnoamerykańskie.

Oceniając proces, który w niektórych państwach doprowadził do redefinicji małżeństwa jako takiego (albo wprowa-

dzenia de facto podobnej konstrukcji pod etykietą rejestrowanego związku), można powiedzieć, że taki skutek starano się uzyskać na wiele sposobów. W zależności od tego, na co aktualna sytuacja pozwalała. Najczęściej albo drogą zmiany przepisów prawnych, albo – w braku woli politycznej – drogą doprowadzenia do przełomowego orzeczenia sądowego w sprawie deklarowanej w toku postępowania jako indywidualna, a potem traktowanej – po wydaniu wyroku – jako zmiana generalna.

Taktyka postulatorów, określana jako „odkrawanie plasterków salami”, polegała niekiedy na wprowadzaniu „tylko” drobnych zmian, po których następowały kolejne „tylko drobne zmiany, skoro jakieś już były”, a w efekcie występowały dalekosiężny skutek odejścia od rozumienia małżeństwa oraz porzucenie biologii i natury (faktów) jako wyznaczników rozwiązań prawa rodzinnego, w tym macierzyństwa, ojcostwa i pochodzenia prawnego dziecka (filiacji).

Trudniej zakładany cel osiągnąć w takich państwach jak Polska, w których rozumienie małżeństwa oraz ochrona rodzicielska mają umocowanie konstytucyjne. Artykuł 18 konstytucji został wprowadzony przez wszystkie siły polityczne celem zagwarantowania żeńsko-męskiego i dwuosobowego rozumienia małżeństwa. Dzisiaj, mimo oczywistej genezy i klarownej treści, bywa w dyskusjach pomijany albo wykoślawiany i deprecjonowany. Dziwić mogą w szczególności głosy, że chodzi w nim tylko o ochronę nazwy, a nie treści (że atrybuty małżeństwa można rozszerzyć na związki homoseksualne pod inną nazwą, np. związku partnerskiego), a także że w tym postanowieniu jest mowa o ochronie małżeństwa kobiety i mężczyzny, a inne jego ujęcie mogłoby się pojawić w polskim prawie. Trudno poważnie traktować takie rozumowanie. Nie do końca żartując, można by je porównać do twierdzenia, że z konstytucyjnej zasady mówiącej, iż stolicą Polski jest Warszawa, miałyby nie wynikać, że funkcje stołeczne będzie sprawowała inna miejscowość. Jednak także w Polsce prowadzone są, i to z pewnymi efektami, działania zmierzające do odejścia od konstytucyjnego ujęcia małżeństwa i macierzyństwa.

Po pierwsze, pojawiają się próby „przeniesienia gry za granicę, ale z efektem krajowym”. Przybierają one postać w szczególności skarżenia polskich rozwiązań prawnych (często niezrela-

Tworzenie przez aktywistów „atmosfery niemożności”, przy braku udzielania rad na tle polskiego stanu prawnego, może być postrzegane jako działanie ukierunkowane na nie tyle – deklarowaną – pomoc w życiowych sprawach społeczności LGBT, ile raczej wykreowanie określonych odczuć u opinii publicznej dla ułatwienia realizacji odmiennych postulatów. Akurat polskie prawo daje szerokie możliwości określenia spadkobiercy w drodze testamentu. Nie ma wymogu specjalnej formy urzędowej i wystarczą minuta pisania i podpis. Polskie prawo spadkowe w bardzo ograniczonym stop-

cjonowanych dokładnie, w szczególności z pominięciem zastosowania w praktyce rozwiązań dotyczących konkubinatów i testamentu, a także ogólnej nieprawdzy „tezy o nielegalności relacji LGBT”) do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu oraz wywołania politycznych dyskusji w ramach Unii Europejskiej. Ta ostatnia akurat kompetencjami legislacyjnymi w zakresie prawa rodzinnego (w tym rozumienia małżeństwa i adopcji) nie dysponuje, ale w praktyce urzędnicy posłowie do Parlamentu Europejskiego wykazują tendencję do zajmowania się i tą tematyką. Celem tych działań jest uzyskanie jakiejś indywidualnej decyzji oraz nadzieja, że może ona następnie spowodować zmianę zasad ustrojowych. Ewentualne doprowadzenie do określonej treści wyroków trybunałów międzynarodowych, co mogłoby się wydarzyć w razie ich nadaktowności w kierunku przeciwnym do podstawowych zasad polskiego prawa rodzinnego, mogłoby być wykorzystywane jako argument w krajowej dyskusji na temat zmiany prawa. Taka nadzieja nie jest przy tym uprawniona, ponieważ – co potwierdza orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego (w tym istotny wyrok z 11 maja 2005 r.) – zmiana rozumienia małżeństwa nawet formalnie nie jest w Polsce możliwa za pośrednictwem prawa międzynarodowego (też o treści wyinterpretowanej przez Trybunał), lecz jedynie w drodze zmiany krajowej ustawy zasadniczej. Ponadto, o czym niżej, z żadnego wiążącego Polskę postanowienia prawa międzynarodowego i unijnego nie wynika potrzeba rozciągnięcia małżeństwa na związki homoseksualne ani zmiana rozumienia macierzyństwa i ojcostwa oraz zasad stanu cywilnego. Tym sposobem w ostatnim czasie „pod ostrzałem” żądań aktywistów LGBT znaleźli się urzędnicy stanu cywilnego oraz – rozpatrujący odwołania – wojewodowie i sądy administracyjne.

GADAŁ DZIAD DO OBRAZU...

Drugim sposobem osiągnięcia doraźnego celu aktywistów LGBT w Polsce są działania zmierzające do tego, by zmiany wewnętrzne nastąpiły za pośrednictwem zagranicznego prawa lub orzecznictwa – na zasadzie swobodnego „importu” z tych państw, w których system prawny jest diametralnie różny od polskiego. Polscy obywatele lub mieszkańcy mogą obecnie z łatwością doprowadzić do tego, żeby

W orzecznictwie pojawiły się wyłomy, które groziły zburzeniem zasad polskiego prawa przez redefinicję pochodzenia dziecka

za granicą wstąpić np. w homoseksualny związek małżeński albo pozyskać dziecko w drodze kontraktu z tzw. surogatą, a następnie wrócić do kraju i żądać uznania treści zagranicznego prawa. Mogą też na stałe mieszkać za granicą, a do kraju przyjechać na moment celem wszczęcia postępowania dotyczącego dziecka, które jest polskim obywatelem po jednym z rodziców. Mogą też de facto nie mieć intensywnych związków faktycznych z Polską, ale przyjechać w celu uczestniczenia w postępowaniu przygotowanym przez profesjonalnych prawników mającego doprowadzić do zmiany stanu prawnego w Polsce. Przykładem mogą być tu m.in. zgłoszenia do udziału w „litygacji strategicznej” organizowanej w ostatnich latach przez Kampanię przeciw Homofobii celem zmiany prawa o aktach stanu cywilnego, a de facto podstawowych zasad polskiego prawa osobowego i rodzinnego. W praktyce takim sytuacjom nie da się zapobiec, bo zagraniczne urzędy wymagają jedynie luźnego związku z obcym państwem, który łatwo wykazać. Łatwa jest przy tym możliwość fatyczna przyjazdu oraz żądania „importu” zagranicznego prawa oraz jednocześnie – nieco niekonsekwentnie, ale poprawnie – powołania się na prawne skutki polskiego obywatelstwa dziecka.

Warto mieć na względzie poniższe przykłady aktywności, które zostały wsparte przez Rzecznika Praw Obywatelskich w oderwaniu od podstawowych zasad polskiego prawa rodzinnego. Najpierw pojawiły się żądania, by urzędnicy stanu cywilnego poświadczali nieprawdę, iż zgodnie z prawem polskim możliwe jest zawieranie małżeństwa z osobą tej samej płci. Nie ustały one, mimo że urzędy i sądy dokładnie tłumaczyły, iż z powodów oczywistych nie można wydać w trybie art. 83 ustawy z 2014 r. (wcześniej to samo w art. 71–73 ustawy z 1986 r.) zaświadczenia „o możliwości zawarcia małżeństwa homoseksualnego według prawa polskiego” (czyli o treści, której prawo to

nie przewiduje), a ponadto że za granicą brak takiego zaświadczenia nie tamuje procedowania. Następnie w skargach na polskie prawo do strasburskiego trybunału – trudno powiedzieć, czy przez nieznamość stanu prawnego od kilku lat, czy dla tezy, że „nic nie da się uzyskać” – nie przyznano, że polskie prawo zna inny rodzaj zaświadczenia ogólnego o stanie cywilnym (art. 49 ustawy z 2014 r.), który jest w praktyce przedkładany za granicą. Od dobrego poinformowania Trybunału o rzeczywistym stanie prawnym zależeć może wiele.

Kolejne przykłady to żądania, by przepisać zagraniczny dokument małżeństwa homoseksualnego i stworzyć polski akt stanu cywilnego o takiej treści. Żądań nie powstrzymały klarowne wyjaśnienia urzędników, jaki jest stan polskiego prawa konstytucyjnego i rodzinnego, a nawet przypomnienie, że zgodnie z art. 12 europejskiej konwencji o prawach człowieka, którą szafowano w skargach, to „ustawa krajowa reguluje korzystanie z prawa do zawarcia małżeństwa”. O dziwo, po odrzuceniu takiego żądania w wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego z 2019 r. w niektórych relacjach nie pojawiła się podstawowa informacja o rozstrzygnięciu, ale zdanie wyrwane z kontekstu uzasadnienia i zmanipulowane twierdzenie, że niby sąd przełomowo stwierdził inaczej.

Ostatnie miesiące przyniosły pewne sukcesy litygacji strategicznych, ponieważ w orzecznictwie sądów administracyjnych pojawiły się wyłomy, które groziły zburzeniem od środka podstawowych zasad polskiego prawa przez redefinicję pochodzenia dziecka i przyjęcie w akcie urodzenia, że „matką i ojcem” dziecka są dwie osoby homoseksualne. Wydaje się, że niektóre składy sędziowskie nieco dały się przekonać (a przy okazji nieco nabrać) nie tyle do samej idei litygacji strategicznych oraz argumentów rzekomo pochodzących z prawa międzynarodowego, powielanych w pismach biura Rzecznika Praw Obywatelskich, ile do tego, że w postępowaniu o polską rejestrację stanu cywilnego jest załatwiana osobna sprawa administracyjna o wydanie polskiego dowodu tożsamości.

Tymczasem, co klarownie wyłożył w grudniu 2019 r. Naczelny Sąd Administracyjny w powiększonym składzie, problemy dowodowe w postępowaniach o dowód osobisty lub PESEL można i trzeba rozwiązywać środkami pro-

porcjonalnymi. Dziecku mógł zostać wydany paszport tymczasowy, tyle że rodzic o niego nie wnioskował. Ponadto do załatwiania spraw może wystarczać zagraniczny dokument, bez konieczności tworzenia dodatkowego polskiego aktu, co nie powinno być warunkiem w sytuacjach, w których stworzyć go nie można z powodów fundamentalnych. Warto odnotować, że uchwała NSA została zignorowana przez aktywistów LGBT, którzy – jakby jej nie było – żądali w ostatnich dniach od prezydenta m.st. Warszawy, by jednak nakazał stworzenie osobliwego aktu urodzenia.

Shokować może przy tym łatwość, z którą niektóre składy odstąpiły od podstawowych zasad polskiego prawa rodzinnego i gotowe były – na potrzeby (a może pod pretekstem) rzekomych problemów dowodowych przy załatwianiu innej sprawy – nakazać wytworzenie polskiego aktu urodzenia, zgodnie z którym dziecko pochodziłoby prawnie od pary homoseksualnej. Taki akt korzystałby w całym obrocie prawnym z dużej mocy, która rozciąga się na wszystkie sprawy i dziedziny prawa. Nie trzeba dodawać, że wyrok dotyczący dwóch kobiet, z których jedna dziecko urodziła, z pewnością byłby powołany za jakiś czas jako uzasadnienie rejestracji – np. za prawem w Kalifornii – urodzenia dziecka od dwóch mężczyzn. Poza tym sądy nie powinny być ufać bezkrytycznie, że żądania znajdują oparcie w cytowanych w pismach wyrokach trybunałów międzynarodowych. Dokładniejsza lektura ich uzasadnień prowadzi bowiem do odmiennych wniosków niż kontekst, w którym je podano. Na przykład w pismach procesowych argumentowano z uzasadnienia wyroku trybunału luksemburskiego z 5 czerwca 2018 r. w sprawie Coman, pomijając jego kluczowy fragment potwierdzający dobre działanie urzędników stanu cywilnego: „Oczywiście kwestie stanu cywilnego [...] są materią należącą do kompetencji państw członkowskich i prawo Unii tej kompetencji nie narusza”.

NIE CHWAŁ DNIA PRZED ZACHODEM SŁOŃCA

Wracając do kwestii ogólnych, trzeba zauważyć, że w toku argumentacji uzasadniającej żądania następowało nawet swoiste „pomieszanie z poplątaniem”. Najpierw, przy okazji argumentowania za odejściem od damsko-męskiego ujęcia małżeństwa, twierdzono, że kwestia prokreacji (pochodzenie dziecka od kobiety

i mężczyzny) dla małżeństwa nie jest istotna. Następnie, już po przeforsowaniu tzw. małżeństw jedнопłciowych, argument z faktu zredefiniowania małżeństwa przenoszono na regulacje prawne dotyczące właśnie pochodzenia dziecka. I – zaprzeczając wcześniejszej tezie – przyjęto, że i w relacjach homoseksualnych należy stosować domniemane pochodzenie dziecka od drugiego małżonka tej samej płci (np. drugiej kobiety), mimo że zawsze prowadzi to do fikcji prawnej.

Twierdzenie, że nie ma różnicy między dwiema lewymi rękawicami lub butami a parą rękawic lub butów, wywołałoby na pewno natychmiastowy sprzeciw. Wiadomo, że u ludzi psychika oraz mózgi, kości, nie mówiąc o organach rozrodczych, mają swoją płć. Wiadomo też, że podobnie jest u najbardziej rozwiniętych zwierząt. Tymczasem tezy, że „nie są oczywiste” różnice między kobietą a mężczyzną oraz że

**Dyskurs przynajmniej
w Ameryce i zachodniej
Europie nie ma granic
nie tylko przyrodniczych
i wychowawczych**

irrelevantne jest to, iż dziecko pochodzi od kobiety i mężczyzny, a także kto jest jego naturalnym opiekunem i wychowawcą, bywają obecnie wręcz założeniem dyskursu prawniczego, który – jeżeli zostanie rozpoczęty – musi prowadzić na manowce. Dyskurs ten de facto nie obejmuje potrzeby godnego traktowania każdego człowieka i jego bliskich, w tym zasady niedyskryminacji, ale schodzi na pole przyznawania przywilejów oraz naginania rozwiązań prawnych mających zastosowanie z istoty w innych stanach rzeczy niż dyskutowane. Przepisy prawne, a tym bardziej karty czasopism z postulatami doktryny, to w istocie „papier, który wszystko zniesie”. Granic, nie tylko przyrodniczych i wychowawczych, dyskurs na początku XXI w. nie ma, przynajmniej w Ameryce i państwach zachodnioeuropejskich. Jedyne, co w tym zmaconym obrazie jest spójne, to żądania, to przenoszenie rozwiązań prawnych dotyczących z istoty prawnej i biologicznej świata damsko-męskiego na stany faktyczne obejmujące osoby homoseksualne albo pojedyncze osoby (w tym singli domagających się od państwa stworzenia

mechanizmów prawnych dostarczających im dziecko w ramach procedur in vitro lub wynajmu macicy przez tzw. surogatę, notabene powiązanego z komercyjnym dostarczeniem nasienia lub jajeczek osób nie tyle trzecich, ile czwartych i piątych w stosunku do zamawiających, np. homoseksualnych mężczyzn).

Trzeba przywyknąć, że – nie kijem, to pałką – zasygnalizowane żądania i kolejne będą zgłaszane. Praca urzędników i służba sądów łatwiejsze nie będą, lecz raczej będą obiektami ataków uzasadnianych potrzebą szybkiego załatwienia indywidualnej sprawy, zwłaszcza z powołaniem na „dobro dziecka”. Będzie się okazywać nierzadko, że chodzi o generalne i abstrakcyjne zmiany prawa, dziecko jest z Polską związane incydentalnie, a przede wszystkim – jego interes jest zabezpieczony inaczej. Będzie pewnie i tak, że żądania będą zupełnie sprzeczne z podstawowymi zasadami polskiego porządku prawnego.

Z pewnością przy okazji ich zgłaszania i rozpoznawania pojawiają się ludzkie emocje oraz jurydyczne manipulacje, w tym blefowanie rzekomą treścią i potencjalnymi skutkami prawa międzynarodowego. Te ostatnie nie powinny jednak wichrować interpretacji prawa oraz dyskusji publicystycznej, a przede wszystkim odrywać ich od rozwiązywania konkretnych problemów życiowych na rzecz dziwnej dysputy. Za taką można uznać tezę o konieczności wprowadzenia jednakowych (równych) rozwiązań w niejednakowych sytuacjach (to jest pary kobiety i mężczyzny oraz pary osób tej samej płci), z którą w istocie mamy do czynienia, oraz postulat – mniej lub bardziej wyraźnie wysławiany – odejścia od generalnych zasad biologii w regulacjach stosunków między rodzicami (matką i ojcem) a dzieckiem.

W razie przyłączenia się do takiej dyskusji zgubne może być poszukiwanie „środka” celem zajęcia (niby) umiarkowanej pozycji. Początkiem dyskusji było wykreowanie drugiego bieguna, a jej dalszy tok przyniósł takie jego oddalenie, że chcąc obecnie znaleźć się „w pół drogi”, umieszczamy się w znaczącej odległości od fundamentów prawa osobowego i rodzinnego oraz podążamy trasą, która może nie mieć możliwości zawrócenia ani końca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest prawnikiem, wykładowcą na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownikiem Sekcji Praw Podstawowych w Instytucie Wymiaru Sprawiedliwości



Dlaczego ideolodzy LGBT niewiele osiągnęli w Polsce



Ze Sławomirem Olejniczakiem, prezesem zarządu Stowarzyszenia im. ks. Piotra Skargi rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi już 20 lat temu ostrzegało polską opinię publiczną przed rosnącym zagrożeniem ze strony ideologii LGBT. Jak wyglądały początki zmagania w tym zakresie?

SŁAWOMIR OLEJNICZAK: Po tak zwanym upadku komunizmu rewolucja lewicowa zmieniła taktykę działania. Zrezygnowano z działań opartych na przemocy fizycznej, militarnej. Ponadto miejsce bazy ekonomicznej zajęła, odgrywająca wcześniej rolę nadbudowy, kultura.

Komuniści porzucili projekty zmian gospodarczych na rzecz zmian obyczajowych. Środowiska nowej lewicy, wyrosłe na gruncie rewolucji 1968 r., zaczęły dążyć do transformacji mentalności, skupiając się przede wszystkim na tym, aby zniszczyć tradycyjną rodzinę.

Przejście od państwowego przymusu do kulturowej perswazyi zapewne utrudniło zdefiniowanie zagrożenia. Gdy lewica, zamiast wymachiwać karabinem, zaczęła szermować chwytliwym hasłem tolerancji, podjęcie z nią jakiegokolwiek polemiki stało się bardzo problematyczne. Nawet w Polsce tak doświadczonej przez komunizm...

Ideologia LGBT zaczęła rozwijać się nad Wisłą w dogodnym dla takich ideologicznych projektów momencie. Początek wieku to czas, gdy debata publiczna zdominowana była przez euroentuzjastyczne nastroje. Pod pretekstem dostosowania się do ideowych norm unijnych, zakładających tolerancję i wolność, już na rok przed wstąpieniem do UE lewicowy rząd SLD zaczął forsować koncepcje niebezpiecznych zmian światopoglądowych. Mielismy stać się krajem równie postępowym jak nasi zachodni partnerzy, którzy rewolucję obyczajową mieli już za sobą. Pod obrady

Senatu trafił projekt legalizacji związków partnerskich. W tym czasie zaczęły się aktywizować różne grupy homoseksualnego lobby, takie jak stowarzyszenie Lambda czy Kampania przeciw Homofobii. To właśnie na ich stronach internetowych po raz pierwszy pojawił się projekt rewolucyjnych zmian. Jako stowarzyszenie podnieśliśmy wtedy alarm. Gdy jednak ostrzegaliśmy prawników parlamentarzystów, związanych z LPR, że aktywiści homoseksualni mogą naprawdę przeforsować swoje pomysły, słyszeliśmy w odpowiedzi: „Panowie, no co wy?! Przecież w katolickim kraju to niemożliwe!”.

Politycy ówczesnej prawicy bagatelizowali zagrożenie?

Tak. I to w pewnym sensie ośmieliło te środowiska. Jednakże trzeba powiedzieć, że minęły już prawie dwie dekady od pierwszej próby przeforsowania legalizacji związków partnerskich, a lobby homoseksualnemu wciąż nie udało się osiągnąć tego celu. Wtedy, w 2003 r., hasła głoszone przez te środowiska brzmiały bardzo

szokująco. Udało się nagłośnić sprawę, przedstawić opinii publicznej rosnące zagrożenie. Ustawa o związkach partnerskich dalej była jednak przepychana przez lewicę. Zorganizowaliśmy szeroko zakrojoną akcję protestacyjną. W ciągu półtora miesiąca wysłaliśmy do marszałka Sejmu, wówczas Włodzimierza Cimoszewicza, ponad 120 tys. kartek z protestem przeciwko ustawie, podpisanych przez darczyńców naszego stowarzyszenia. Projekt trafił do szuflady. A w 2005 r. zmieniła się konstelacja polityczna i kolejne rządy już nie były zainteresowane rewolucją światopoglądową.

Wtedy udało się zablokować lewicowe pomysły. Ideologia LGBT dalej jednak była forsowana, w tej czy innej formie...

Środowiska lewicowe zdały sobie sprawę, że nie są w stanie wprowadzić w życie swoich postulatów drogą szybkiego marszu przez instytucje. Dlatego, zamiast rewolucji, postawiły na ewolucję. Ideologię sączono oddolnie, poprzez kulturę. Propagowano zachowania homoseksualne, przekonując opinię publiczną, że nie ma w nich nic nienormalnego. Środowiska LGBT zaczęły głosić, że reprezentują dyskryminowaną mniejszość, uciśkaną przez heteroseksualną większość. Próbowaly wmówić społeczeństwu, że homoseksualizm nie jest żadną dewiacją, że jest to wręcz normalna orientacja seksualna, taka jak każda inna. Niestety, w dużej mierze skutecznie. Środowiska te otrzymały potężne wsparcie propagandowe ze strony chociażby Światowej Organizacji Zdrowia, która wykreśliła homoseksualizm z listy chorób. Od tej pory dewiację już oficjalnie uważa się za normę. Jako stowarzyszenie próbowaliśmy tłumaczyć, że tym działaczom LGBT nie chodzi wcale o walkę z dyskryminacją, ale o nachalną promocję homoseksualizmu. Na początku wysmiewano nas, bagatelizowano nasze ostrzeżenia. Teraz jednak wyraźnie widać, do czego od początku dążyły te środowiska. To, czego nie udało się zrealizować na szczeblu państwowym, coraz skuteczniej forsują na poziomie samorządu. Prezydent Rafał Trzaskowski otwarcie wspiera ruch LGBT w Warszawie. Coraz odważniej działają też grupy seksedukatorów...

Samorządowcy związani z opcją lewicowo-liberalną ostatnio coraz odważniej wprowadzają rozwiązania korzystne dla tego lobby. Skąd ten skręt w lewo?

To są efekty nacisków określonych lobby. Powszechnie wiadomo, że celem ruchu LGBT jest rewolucja społeczna, w której rezultacie małżeństwo jako fundament rodziny nie będzie już definiowane jako związek kobiety i mężczyzny, ale również jako związek łączący osoby tej samej płci. Ruch ten, choć niszowy, wspierany jest jednak przez potężne organizacje, związane z George'em So-rosiem. Lewica światopoglądowa święci triumfy w sferze kultury. Ideologia LGBT jest lansowana w filmie, teatrze, literaturze... To wszystko zmierza do uformowania tzw. społeczeństwa otwartego, czyli tak naprawdę relatywistycznego. Nic dziwnego, że część polskich polityków, na poziomie samorządów dużych miast, popiera tę ideologię.

Czy dostrzega pan jakieś podobieństwa między tym, jak ideologia LGBT rozwija się w Polsce, a tym, w jakich okolicznościach ukształtowała się na Zachodzie, skąd do nas przysłała?

Ośrodki decyzyjne tego ruchu ulokowane są poza Polską. Dlatego nie sposób uchwycić jakiejś szczególnej, polskiej specyfiki tej ideologii. Pamiętam, jak w 2004 r. padła propozycja, by zorganizować w Krakowie paradę ruchów homoseksualnych dokładnie w dniu procesji św. Stanisława. To musiał być pomysł jakiegoś działacza z Zachodu, bo nikt przy zdrowych zmysłach, znając polską mentalność, takiej prowokacji by nie urządził.

Może więc różnica polega na tym, że Polacy, inaczej niż ludzie Zachodu, są impregnowani na pomysły lewicy światopoglądowej?

To prawda. U nas wszystkie te próby wdrażania ideologicznych eksperymentów podejmowane są z opóźnieniem. Przez te prawie 20 lat aktywności w polskiej przestrzeni publicznej ruch LGBT tak naprawdę niewiele osiągnął. Co prawda, próbuje się wprowadzać cenzurę pod pretekstem walki z mową nienawiści. Wciąż jednak można w Polsce krytykować publicznie środowiska homoseksualne, co przecież w wielu krajach Zachodu grozi poważnymi sankcjami prawnymi.

Odporność polskiego społeczeństwa na propagandę LGBT zapewne wynika z głębokiego zakorzenienia w tradycji katolickiej czy też – szerzej – chrześcijańskiej.

Z pewnością tysiąc lat chrześcijaństwa wytworzyło w nas odporność na zakusy

lewicy. Polska wciąż jest postrzegana na świecie jako bastion katolicyzmu, ostoja tradycji, moralności. Próby odgórnego narzucenia antychrześcijańskiego światopoglądu wywołują efekt odwrotny do zamierzonego. Trzeba jednak pamiętać, że na Zachodzie nowa lewica miała o jedno pokolenie więcej na indoktrynację społeczeństwa. Tam rewolucja obyczajowa wybuchła pod koniec lat 60., u nas – na początku 90. Poza tym, paradoksalnie, komunistom zawdzięczamy odporność na totalitaryzm. Nauczenni doświadczeniem sowieckiej niewoli, staliśmy się wyczuleni na wszelkie próby narzucania ideologii. Szczególnie jeśli podejmowane są z taką arogancją i bezczelnością jak w przypadku homoseksualnego lobby. Gdy widzimy, jak ruch LGBT próbuje wprowadzać nam cenzurę, zapala nam się lampka – w ten sposób wspomnienie „czerwonego totalitaryzmu” pomaga dostrzec zagrożenie ze strony „tęczowego totalitaryzmu”.

Nadejście tego „tęczowego totalitaryzmu” pana stowarzyszenie przewidywało już dwie dekady temu. Może więc i tym razem uda się przewidzieć, w którą stronę pójdzie dalej ruch LGBT? Co nas czeka w przyszłości?

Jeśli polskie społeczeństwo dalej, tak jak dotychczas, będzie stawiało opór totalitarnym ideologiom, dążącym do naruszenia naturalnego porządku rzeczy, to ideologie te będą się wypalać i zużywać. Nie oznacza to, że przestaną funkcjonować. Pozostaną jednak na marginesie polskiego życia społecznego. Nie będą w stanie przeforsować swoich pomysłów. Oczywiście, środowiska katolickie muszą być czujne, nie można spocząć na laurach i uznać, że zagrożenie całkowicie minęło.

Co więc należy robić, aby ideologia LGBT pozostała na marginesie i nie stała się dominującą siłą? Jak ten opór stawiać?

Trzeba demaskować hipokryzję lewicy. Działacze LGBT często promują niemoralne, niezdrowe zachowania pod płaszczykiem pięknie brzmiących haseł. Należy też egzekwować już istniejące przepisy – karać wówczas, gdy ideologia LGBT prowadzi do łamania prawa, tak jak w przypadku deprawacji nieletnich czy pedofilii. Poza tym trzeba oddolnie wspierać tradycyjne wartości, kształtując odpowiednie normy zachowań. Rolą władz państwowych i samorządowych jest wskazywanie i promowanie tego, co dla społeczeństwa dobre.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jeden z ostatnich sondaży daje panu aż 13 proc. Skąd taki wysoki wynik?

KRZYSZTOF BOSAK: Jestem jedynym kandydatem ideowej prawicy, który przebija się do opinii publicznej.

Czyli zyskuje pan kosztem PiS? Wyborcy o poglądach prawicowych zniechęcają się do partii Kaczyńskiego i coraz bardziej wierzą w Konfederację?

PiS nie jest partią prawicową, tylko centrową w sprawach światopoglądowych, a socjaldemokratyczną w kwestiach społecznych i ekonomicznych.

Akcentuje jednak polską tożsamość narodową i potrzebę obrony polskiej suwerenności.

Nie wydaje mi się. Prezydent Andrzej Duda wielokrotnie odcinał się od nacjonalizmu, nazywał Polskę „państwem Polin”, używał języka afirmującego wielokulturowość i popierał traktaty centralizujące UE.

Chyba jednak można mu przyznać „certyfikat prawicowości” w kwestii pamięci narodowej i polityki historycznej. Zarówno PiS, jak i Andrzej Duda prezentują postawę konsekwentnie antykomunistyczną.

Antykomunistami byli również polscy socjaliści. Do tej tradycji nawiązują Duda, Morawiecki i Kaczyński. Postawa antykomunistyczna nie jest jeszcze wystarczającym wyznacznikiem konserwatyzmu czy prawicowości.

Na tle Platformy, Lewicy czy SLD trudno PiS nazwać partią lewicową.

Polaków nie interesują takie dywagacje i poszukiwanie mniejszego zła. Prawicowi Polacy chcą głosować na partię ideową, otwarcie konserwatywną, afirmującą interes narodowy i wolność gospodarczą. Czyli – na Konfederację, której jestem kandydatem. Im bardziej do świadomości społecznej przebija się fakt, że kandyduję w tych wyborach, tym większe mam poparcie. Wykonujemy ogromną pracę, aby przebić się do opinii publicznej.

Wielu komentatorów zauważa, że w ostatnich miesiącach złagodził pan retorykę. Z radykała, działacza skrajnie prawicowych formacji przedzierzgnął się pan w twardo stąpającego po ziemi obrońcę przedsiębiorców. Może właśnie dzięki tej zmianie zyskuje pan w sondażach?

Przed wszystkim nie zgadzam się na to, by formacje, które współtworzyłem, nazywać skrajnymi. Obrona programu opartego na wartościach chrześcijańskich, polskiej tradycji i tożsamości to nie jest skrajność. To jest normalność. To lewi-



Z Krzysztofem Bosakiem, posłem, kandydatem Konfederacji na prezydenta rozmawia Maciej Pieczyński

Nie jestem prorosyjski

Ale ja też zawsze byłem zwolennikiem wolności gospodarczej. Nie lubię jednak określania takich postulatów mianem „liberalizmu”. Wolność gospodarcza i odpowiedzialne podejście do finansów państwa są ważne także w myśli narodowej, konserwatywnej czy katolickiej. Poza tym rozsądne poglądy, które dziś głoszę, niczym nie różnią się od przekonań, jakie wyrażałem dziewięć lat temu, pracując w Fundacji Republikańskiej.

„Gdyby rządzący uczciwie przeanalizowali wszystkich kandydatów opozycji na prezydenta, mogliby dojść do wniosku, że współrządzenie z prezydentem takim jak ja mogłoby być świeżym powiewem dla kraju” – stwierdził pan w jednym z wywiadów. Na jakich warunkach i w jakich sprawach PiS mógłby liczyć na poparcie prezydenta Bosaka?

Muszę sprostować. Mówiąc o współrządzeniu, miałem na myśli konstytucyjną współpracę prezydenta i rządu, nic więcej. Mogę zapewnić, że gdyby rząd PiS bronił wolności gospodarczej, suwerenności państwa czy wartości konserwatywnych przed naciskami ze strony ponadnarodowych instytucji, gotów byłbym współdziałać. Natomiast wetowałbym podwyżki podatków, wszelkie projekty o lewicowym charakterze, jak i wszelkie traktaty międzynarodowe przenoszące kompetencje naszego państwa na poziom unijny.

Sam pan przyznał, że być może zgłoszą na pana byli wyborcy Platformy, którzy kiedyś głosowali na nią jako na partię konserwatywno-liberalną.

Sam znam wiele takich osób. Większość z nich zgłasza na tego, kogo uzna za człowieka rozsądnego. Przez wiele lat właśnie taka cecha była przypisywana politykom PO. W opinii tych wyborców ja również wypowiadałem się w sposób rozsądny. Wyborcy, dla których to ważne, w dużej mierze rozczarowali się Platformą, która od dłuższego czasu, zamiast na proponowaniu konstruktywnych rozwiązań, skupia się przede wszystkim na nieustannych, histerycznych atakach na PiS. Dlatego przerzucają swoje poparcie na mnie.

Czyli jednak jest coś, co łączy PO i Konfederację. To może dlatego, jeśli wierzyć prognozom Marcina Paladego, w drugiej turze pańscy wyborcy chętniej zgłoszą na Trzaskowskiego niż na Dudę?

Nie chcę komentować prognoz, których nie znam. Natomiast z wszelkich badań opinii publicznej wynika, że większość moich wyborców wyznaje poglądy prawicowe i patriotyczne. Trzaskowski nie jest więc dla nich żadnym pozytywnym punktem

odniesienia. Poza tym moim celem jest wejście do drugiej tury, a nie zastanawianie się nad poparciem dla konkurentów.

Trzaskowski jest uosobieniem obozu lewicowo-liberalnego, z którym pan od zawsze walczy. Czy więc zgodzi się pan z tezą Witolda Gadowskiego, że zwycięstwo kandydata PO byłoby „największą tragedią dla Polski”?

To nonsens. Myślę, że klęska powstania warszawskiego była dla Polski znacznie większą tragedią.

Obóz „dobrej zmiany” atakuje was ostrzej niż lewica czy PO, zarzuca wam prorosyjskość. Może więc wyborcy Konfederacji, nieustannie nazywani „ruskimi onucami”, mają już dość hejtu i wolą zgłoszyć na liberała z Platformy, na złość PiS?

Pan redaktor w kolejnym już pytaniu z rzędu wciąga mnie w dyskusję na temat PiS i PO. Tymczasem to są bliźniacze formacje, połączone politycznymi drzwiami obrotowymi, poprzez które stale wymieniają się kadrami. Politycy tych partii wywodzą się z tego samego kręgu opozycji lat 70. i 80. Reprezentują też tak naprawdę bardzo podobne przekonania – zarówno w kwestii polityki zagranicznej, jak i w sprawach światopoglądowych. Łączy ich postawa prounijna, proamerykańska, proizraelska, proimigracyjna. Obie te partie dążą do zawężenia zakresu naszych wolności. Naprawdę, przestańmy się ekscytować sporami pomiędzy PiS i PO – to konflikt, który niepotrzebnie angażuje emocje i nerwy obywateli, nie przynosząc nic pozytywnego, nie wnosząc żadnej nowej jakości ideowej w nasze życie.

Nazywa pan PiS i PO partiami proamerykańskimi i prounijnymi. Za to Konfederacji wielu komentatorów zarzuca prorosyjskość.

Do takich zarzutów nie ma żadnych podstaw. Komentatorzy, którzy je stawiają, są zwykłymi propagandystami.

Propagandystą jest również Leonid Swiridow, dziennikarz Sputnika, któremu Grzegorz Braun udzielił wywiadu. Czy zgadza się pan ze swoim partyjnym kolegą, że ta rosyjska agencja, szerząca dezinformację, to „medium jak każde inne”? Można rozmawiać ze Sputnikem?

Jarosław Kaczyński także rozmawiał z agencją informacyjną kontrolowaną przez rosyjski rząd, więc chyba można. Od udzielania wywiadów zagranicznym mediom bardziej naganne jest negocjowanie przepisów polskiego prawa w siedzibie wiedeńskiej rezydentury izraelskiego wywiadu. A to przecież robili politycy PiS.

ca i tzw. postępowi liberałowie głoszą program skrajny, zakładający wywrócenie naszego życia do góry nogami czy likwidację państwa na rzecz organizacji globalnych. Po drugie, nigdy intencjonalnie nie łagodziłem ani swojego języka, ani swojego programu. Z żadnego ze swoich postulatów nigdy się nie wycofałem. Nie stałem się „nagle” obrońcą przedsiębiorców. Mówię dużo o gospodarce, ponieważ jej zamrożenie przez obecny rząd stało się jednym z najważniejszych tematów ostatnich miesięcy. Mieliśmy już cztery kolejne edycje Tarczy Antykryzysowej. Rząd postępował w sposób nieracjonalny, spóźniony, pozbawiony przejrzystej strategii.

A może to Janusz Korwin-Mikke przekonał pana do liberalizmu gospodarczego?

Zainteresowanie gospodarką kolegów z partii KORWiN niewątpliwie wpłynęło na znaczenie tej tematyki dla Konfederacji.

Nie ma na to jednoznacznych dowodów. Zaprocedował pan, że w pierwszą wizytę zagraniczną uda się na Węgry. Pańskim zdaniem Budapeszt powinien być dla Warszawy wzorem, jak prowadzić wielowektorową politykę. Ale Węgry mają lepsze niż Polska położenie. Im łatwiej utrzymywać neutralność i bagatelizować rosyjskie zagrożenie.

Nie zgadzam się. Polska jest krajem większym i silniejszym niż Węgry. Dlatego też Polska ma większe, a nie mniejsze pole manewru w polityce międzynarodowej.

Mamy też jednak o wiele większych, silniejszych i bardziej agresywnych sąsiadów niż Węgry. Mocarstwa, które historycznie zawsze były dla nas zagrożeniem.

Położenie geopolityczne większości państw Europy Środkowo-Wschodniej jest podobne. Łączy nas przynależność do NATO i UE, jesteśmy na analogicznym poziomie rozwoju gospodarczego. W analizach politycznych i biznesowych traktuje się Polskę i Węgry jak podobne państwa tego samego regionu.

Ale to my leżymy w tradycyjnej „strefie zgniotu” pomiędzy Wschodem a Zachodem.

To jest teza publicystyczna, a nie rzetelna analiza strategiczna.

Historyczne doświadczenia pokazują co innego.

Historia jest wspaniałym źródłem efektywnych, ale oderwanych od współczesnej rzeczywistości porównań.

Skoro postuluje pan politykę wielowektorową, to rozumiem, że nie wyklucza pan ułożenia dobrych relacji z Rosją?

Moskwa prowadzi dość asertywną, nierzadko brutalną politykę zagraniczną. Maksimum tego, na co możemy liczyć, to utrzymanie w normie wysokiego, ale stabilnego poziomu napięcia w relacjach dwustronnych oraz prowadzona w tle na cywilizowanych zasadach prawnych wymiana handlowa.

„Obecność wojsk sowieckich skutkowałą uzależnieniem polskiej polityki zagranicznej i gospodarki od interesów imperium. Podobnie jest dziś, tylko wektor się zmienił” – stwierdził w rozmowie ze mną Grzegorz Braun. Z kolei pańskim zdaniem cena, jaką płacimy za obecność wojsk amerykańskich, jest zbyt wysoka. Czy więc, podobnie jak pański kolega partyjny, porównałby pan Amerykanów do sowieckich okupantów?

Nie. NATO jest sojuszem dobrowolnym, zaś Układ Warszawski był wymuszony przemocą.

Czy pańskim zdaniem nie powinniśmy zwiększać amerykańskiej obecności? A może w ogóle wojska US Army powinny się wycofać znad Wisły?

To powinna być kwestia pragmatyki w polityce międzynarodowej, a nie doktryny politycznej. Jeżeli Amerykanie mają dla nas jakieś atrakcyjne propozycje, to należy je rozważać, natomiast z pewnością nie należy im się napraszać i z własnej woli dopłacać za to, żeby zechcieli nam przysłać niewielkie oddziały żołnierzy, których rola jest raczej propagandowa niż militarna. Żeby współpraca wojskowa miała sens, musimy od Amerykanów uzyskiwać nie tyle uzbrojenie, ile możliwość jego produkcji, serwisowania i rozwijania. Mam natomiast wrażenie, że rząd zadowala się jedynie przepłaconymi zakupami sprzętu realizowanymi doraźnie. Mądrym pomysłem byłoby stworzenie wraz z innymi państwami regionu czegoś w rodzaju grupy zakupowej tak, aby negocjować ceny i warunki z nieco lepszej pozycji.

A nie uważa pan, że już sama obecność wojsk amerykańskich zwiększa nasze bezpieczeństwo?

Oczywiście, obecność wojsk sojuszniczych ma pewne znaczenie odstraszające, ale nie decydujące rozstrzygająco o naszym bezpieczeństwie. W dobie wojen hybrydowych najważniejsza jest zdolność reagowania na nowoczesne działania dywersyjne, takie jak sabotaż w energetyce czy cyberataki. W tej sferze amerykańskie czołgi nam nie pomogą. To lekcja domowa, którą sami musimy odrobić.

Pogodził się pan z obecnością w UE. Co wyleczyło pana z eurosceptycyzmu?

Nadal jestem bardzo krytyczny wobec UE. Polexit jest jednak w tej chwili nierealny, ponieważ nasze społeczeństwo jest zbyt prounijne.

Postuluje pan jednak, by w konstytucji znalazły się zapisy o tym, że polskich sądów nie obowiązuje wykładnia prawa tworzone przez międzynarodowe instytucje sądowe. W praktyce likwidowałoby to możliwość odwoływania się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Chciałby pan też wprowadzić kary za głosowanie za sankcjami wobec Polski. W takim układzie z pewnością mieliśmybyśmy tysiąc razy większe problemy z Brukselą niż za rządów PiS. Wtedy może polexit „sam by się dokonał”.

Nie zgadzam się. Europejski Trybunał Praw Człowieka jest instytucją niezależną od UE. Natomiast zakres odpowiedzialności konstytucyjnej polskich polityków

za nielojalność wobec własnego kraju to nasza sprawa i Brukseli nic do tego.

Instytucje unijne wiele razy już podejmowały przeciwko Polsce działania, do których teoretycznie nie mają uprawnień.

Eurokraci boją się dezintegracji UE. Nie będą nas wypychać z Unii. Chcą raczej złamać nasz opór. Moim zdaniem ze względów ideologicznych, gospodarczych i politycznych napięcie pomiędzy Brukselą a Warszawą jest nieusuwalne. Musimy nauczyć się tym nie przejmować, jeżeli chcemy zachować naszą tożsamość narodową i obronić nasze interesy.

Postuluje pan całkowity zakaz aborcji. Wielu polityków PiS też hołdowało takim ideałom. Rzeczywistość jednak musiała je zweryfikować.

Nie tak wielu. Zwolennicy ochrony życia dzieci są mało wpływowi w PiS.

Wprowadzenie zakazu aborcji zapewne zmiołoby z powierzchni polskiej polityki każdego, kto by ten zakaz wprowadził.

Całkowicie nie zgadzam się z pańską oceną.

To dlaczego PiS boi się zrealizować ten postulat?

To nie jest strach. To brak przekonania lidera. PiS po prostu nie chce tego zrobić. Gdyby natomiast dzisiaj wprowadzić pełną ochronę życia, gwarantując panu, że na drugi dzień słońce wzeszłoby tak samo jak dzisiaj rano...

... a na ulice wyszłyby wielotysięczne „czarne marsze”.

Dramatycznie pan redaktor przecenia możliwości mobilizacyjne lewicy.

Niechęć do zakazu aborcji to nie jest domena lewicy. To emocja wielu ludzi o poglądach centrowych czy nawet prawicowych. Pokazały to już czarne protesty.

Nie byłoby czarnych protestów, gdyby PiS konkretnie i szybko rozstrzygnął sprawę. Trzymanie projektu pełnej ochrony życia w sejmowej zamrażarce pozwoliło lewicy rozpętać propagandową akcję, opartą w duże mierze na dezinformacji i kłamstwach. Wbrew temu, co mówią feministki, uchwalenie pełnej ochrony życia niczego by nie zmieniło w życiu Polek, poza tym, że uratowałoby kilka tysięcy dzieci rocznie. Jednoznaczne rozstrzygnięcie wieloletniego konfliktu światopoglądowego uspokoiłoby natomiast sytuację.

Prawnicy wspierający totalną opozycję wykazują sporo sprytu w tworzeniu chaosu interpretacyjnego i mieszaniu ludziom w głowach na temat konstytucji. Ostatnio przeszarżowali mocno, przekraczając wszelkie granice absurdu – sugerują, jakoby marszałek Senatu miał „lepsze prawo” do zastępowania Prezydenta RP niż marszałek Sejmu.

Mimo to opozycja odnosi sukcesy, np. doprowadzając – nie bez współudziału prawicy – do zaniechania wyboru Prezydenta RP w dniu 10 maja lub w innym terminie majowym. W ten sposób pozbawiono urzędującego prezydenta niemal pewnego sukcesu wyborczego, i to w pierwszej turze. Kolejnym sukcesem jest przesunięcie terminu wyboru na czerwiec, ponieważ każda data po 23 maja obciąża proces wyborczy wadą konstytucyjną, gdyż wybór prezydenta powinien nastąpić „nie później niż 75 dni przed upływem kadencji urzędującego Prezydenta RP” (art. 128 ust. 2 Konstytucji RP).

Tymczasem w zaistniałej sytuacji wszelkie próby rozpoczęcia „nowych wyborów” nie spełniają warunków konstytucyjnych, a to stwarza ryzyko stwierdzenia nieważności wyboru przez Sąd Najwyższy. Gdyby tak się zdarzyło, następne wybory odbędną się już po zakończeniu kadencji urzędującego prezydenta, a o tym właśnie marzy opozycja. Żaden z aktualnych kandydatów opozycji nie ma obecnie wielkich szans na sukces wyborczy, ale to się może zmienić, jeżeli termin wyborów uda się odroczyć o kolejne miesiące.

Ani konstytucja, ani Kodeks wyborczy nie dawały podstaw prawnych do rozpoczęcia nowych wyborów tylko dlatego, że nie odbyły się 10 maja. Ktoś życzliwy prawicy próbował



FOT. ANDRZEJ STOLIK



Romuald Kmieciak

Tegoroczne wybory są dotknięte nienaprawialną wadą konstytucyjną i na to nie ma rady

argumentować, że zastosowano tu dopuszczalną fikcję prawną, naciągając przepisy Kodeksu wyborczego, ale nie jest to żaden argument – fikcjonalizm jest dopuszczalny w prawie czy nawet w konstytucji, ale domniemania prawne lub fikcje prawne muszą wynikać z obowiązującego prawa, w przeciwnym razie są to fikcje bezprawne, w tym wypadku niekonstytucyjne, czyli mówiąc po prostu – rozpoczęcie nowych wyborów było niekonstytucyjne.

Wada niezachowania terminu wyborów prezydenta określonego w art. 128 ust. 2 Konstytucji RP na szczęście nie jest na tyle poważna, aby miała unieważnić wybór prezydenta, o ile oczywiście Sąd Najwyższy okaże się łaskawy. Natomiast to, co się dzieje po 10 maja, jest pasmem kolejnych błędów konstytucyjnych, w które ku uciesze prawników opozy-

cji dała się wmanewrować koalicja rządząca. Skoro nie było podstaw do rozpoczęcia nowych wyborów, to włączenie do procesu wyborczego nowego kandydata może budzić zastrzeżenia pozostałych kontrkandydatów, którym z pewnością odbierze część głosów wyborców, a czego nie omieszkają oni wykorzystać przed Sądem Najwyższym, domagając się stwierdzenia nieważności wyborów.

Na tym nie koniec. Kto wpadł na pomysł, że Sąd Najwyższy mógłby stwierdzić nieważność wyborów, które się nie odbyły 10 maja? Konstytucja przewiduje stwierdzenie nieważności wyboru prezydenta, a nie wyborów, które się nie odbyły. Nawet najzyczliwszy dla rządzącej prawicy sędzia Sądu Najwyższego nie zdecydowałby się orzec o nieważności aktu, którego nie było, ryzykując

dożywotnią kompromitację. Aż dziwne, że opowiadał się za tym rozwiązaniem jeden z posłów, skądinąd niezły konstytucjonalista. Zrezygnowano z tej koncepcji, upatrując szansę w Kodeksie wyborczym i sięgając po wspomnianą wyżej „fikcję prawną”, bo przecież kandydatów był u nas dostatek, a tylko w wypadku braku kandydata (bądź tylko jednego) dopuszczalne były ponowne wybory.

Tegoroczne wybory są dotknięte nienaprawialną wadą konstytucyjną i na to nie ma rady. Nie zachowano terminu konstytucyjnego przewidzianego dla wyborów. Quod ab initio vitiosum est – tractu temporis non convalescere, co się tłumaczy, iż to, co od początku jest wadliwe, nie ulega naprawieniu (sanacji, konwalidacji) w ciągu i w następstwie upływu czasu. Tymczasem zamiast pogodzić się z tą wadą konstytucyjną, po 10 maja przystąpiono do naprawy zepsutego zegarka za pomocą młota kowalskiego.

Wydaje się, że jedynym rozwiązaniem stosunkowo najmniej obciążającym wadami aktualny proces wyborczy byłoby przyjęcie stanu rzeczy z dnia 10 maja, a więc bez możliwości rejestrowania nowych komitetów wyborczych i nowych kandydatów. Należałoby uznać, że obecnie kontynuowany jest proces wyborczy rozpoczęty kilka miesięcy temu, a nie że są to „nowe wybory”. Cała nadzieja w tym, że Sąd Najwyższy nie zdecyduje się na stwierdzenie nieważności wyboru Prezydenta RP, w przeciwnym bowiem wypadku konieczność kolejnych wyborów po upływie kadencji prezydenta będzie nie tylko kompromitacją klasy politycznej, lecz także ciosem w prestiż i interes naszego państwa.

© All Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, profesorem zwyczajnym, w latach 2006–2008 uczestniczył w pracach Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego przy ministrze sprawiedliwości.



Przemysław Załuska

Panika nie jest racjonalnym działaniem, ale nie jest nim też bagatelizowanie zagrożenia

Znaczną część prawicowych komentatorów, a także opinii publicznej sceptycznie podchodzi do istnienia choroby COVID-19 wywołanej przez wirusa SARS-CoV-2, uznając ją za kreację medialną lub za niegroźną odmianę grypy. Puste oddziały zakaźne i szpitale, to, że większość z nas nie zna osobiście nikogo chorego czy zmarłego z powodu koronawirusa, skłania wielu do wniosku, że jest on niegroźny lub wręcz wirtualny. Oczywiście rozumując w ten sam sposób, zdyskredytować by można zagrożenie płynące od dowolnej, obiektywnie rzecz biorąc najbardziej nawet zabójczej choroby, o ile jej rozprzestrzenianie zostałoby z powodzeniem ograniczone.

Według oficjalnych danych obraz sytuacji w Polsce jest taki, że zachorowała zaledwie jedna osoba na 1,7 tys., a zmarła jedna na 38 tys. Stąd puste szpitale, stąd prawdopodobieństwo, byśmy znali osoby dotknięte chorobą, jest minimalne. Podchodząc do sprawy sceptycznie, można by powiedzieć, że jesteśmy ofiarami własnego sukcesu. Mamy ok. 10 razy mniej zachorowań i 30 razy mniej zgonów niż w większości dużych europejskich krajów. Czy mamy się w związku z tym martwić? Czy trzeba koniecznie, by zaraziło się u nas kolejne kilkaset tysięcy osób, a zmarło kilkadziesiąt tysięcy, byśmy traktowali zagrożenie poważnie? Czy rzeczywiście wszelkie dane z Lombardii, Madrytu, Nowego Jorku są tylko pomyłką lub konfabulacją?

POMIĘDZY EKSTREMAMI

Wydaje się, że w sprawie COVID-19 miotamy się pomiędzy ekstremami strachu i paniki, które towarzyszyły pierwszym reakcjom i decyzjom, a beztróskim bagatelizowaniem obecnie. Wiele głosów podnosi zagrożenia wynikające z przeceniania, wyolbrzymiania szkodliwości wirusa. Należy się z nimi zgodzić. Panika i strach to źli doradcy. Istnieje jednak także zagrożenie związane z bagatelizowaniem oddziaływania wirusa, szczególnie teraz, gdy kolejne etapy znoszenia

ograniczeń odczytane mogą zostać jako sygnał końca epidemii.

Nie przesądzając, jaki będzie wynik ostateczny, gdy opadnie kurz i policzone i zważone zostanie wszystko, co istotne, wydaje się, że za wcześniej jeszcze na odchłonię ulgi i albo odtrąbienie zwycięstwa, albo ogłoszenie, że wszystko było jedynie pomyłką. Zanim to uczynimy, wypadałoby wpiąć w pewnymi niepokojącymi danymi.

Przyjmuje się, że z powodu grypy umiera ok. 0,1 proc. zainfekowanych, tymczasem badania naukowców z Australii, na podstawie danych z wielu krajów, określiły śmiertelność wirusa w stosunku do infekcji na poziomie 0,75 proc., to znaczy na poziomie około siedmiu razy wyższym niż w przypadku grypy. Poszczególne badania krajowe podają dane w zakresie 0,2–1,6 proc.

Podobne badanie z Uniwersytetu Stanforda oceniło śmiertelność na poziomie 1,04 proc., to znaczy dziesięć razy większym niż dla grypy.

Według danych brytyjskich w okresie od 20 marca do 15 maja na terenie Anglii i Walii odnotowano o 66 proc. więcej zgonów więcej niż przeciętnie w tym okresie roku. Te 53 960 ofiar nadmiernej (ponadnormatywnej) śmiertelności (excess mortality) przewyższa oficjalne dane o zgonach z powodu COVID-19 o ok. 40 proc. „Coś” w przeciągu ośmiu tygodni spowodowało śmierć dziesiątek tysięcy

Brytyjczyków. Wbrew temu, co zakładają sceptycy, statystyki zgonów na wirusa wydają się zaniżone, przynajmniej w Anglii.

Według oficjalnych danych do 26 maja w Zjednoczonym Królestwie wirus był przyczyną zgonów 37 048 osób. Gdyby była to „zwykła” grypa, to aby osiągnąć taką liczbę ofiar, zarazić by się musiało 60 proc. wszystkich mieszkańców kraju. Oficjalnie zdiagnozowanych jako chorzy zostało dotąd 265 tys. – ok. 0,4 proc. populacji.

Powstaje pytanie, ile osób przechodzi infekcję bezobjawowo, choruje łagodnie i nigdy ich nie zdiagnozowano? Nie mamy danych z samej Anglii, ale dostępne dane z badań odporności z Europy wskazują na to, że udział takich osób w populacji jest niewielki: 3,1 proc. w Słowenii, 0,4 proc. w Czechach, ok. 1 proc. na Węgrzech. W Sztokholmie, gdzie zakładano uzyskanie odporności zbiorowej, przeciwciała ma tylko 7,3 proc. W Nowym Jorku rekordowo prawie czwarta część populacji zetknęła się z wirusem. Jeśli przyjrzeć się powyższemu danemu, to prawdopodobieństwo, że w Wielkiej Brytanii przechorowało bezobjawowo już 60 proc. populacji, jest małe (choć rozstrzygnąć to masowe badania). A jeśli tak, to śmiertelność COVID-19 na Wyspach jest znacząco wyższa niż sezonowej grypy.

Przyjmuje się, że w Stanach Zjednoczonych co roku na grypę umiera według

COVI

Wirus



sukcesu

różnych ocen ok. 30–40 tys. osób. Z powodu COVID-19 już teraz, przy 0,5 proc. zdiagnozowanych w populacji – 100 tys. (dane oficjalne, a nie o nadmiernej śmiertelności).

Jak podawał brytyjski „The Telegraph”, dane z Lombardii wykazywały, że zgonów w poszczególnych miastach w szczycie epidemii było kilka razy więcej niż normalnie. Co więcej, w większości z tych „nadmiarowych” zgonów ich przyczyna miała być inna niż koronawirus. Jeśli się weźmie pod uwagę nadmierną śmiertelność, okazuje się, że dane oficjalne o liczbie ofiar były raczej niedoszacowane niż przeszacowane. W mieście Nembro (11,6 tys. mieszkańców), gdzie kwartalnie umiera ok. 35 osób, w pierwszym kwartale 2020 r. miało zejść 158. Z tego jedynie w 31 przypadkach wpisano COVID-19 jako powód zgonu. Większości zgonów starszych umierających w domach do oficjalnej statystyki ofiar wirusa nie wliczono. Podobnie w Cernusco, Pesaro, Bergamo – odnotowywano 5–10 razy więcej zgonów niż normalnie.

W Nembro w ciągu kilku tygodni zmarło ponad 1 proc. mieszkańców więcej niż przeciętnie w tym okresie roku. Nawet przyjmując, że wszyscy mieszkańcy zostaliby zainfekowani, daje to śmiertelność 10 razy większą niż grypy. Podobnie w Nowym Jorku zmarło dotąd 0,25 proc. całej populacji – zbyt dużo jak na gripę.

Według powyższych danych mamy więc do czynienia z chorobą, która zapewne jest kilkakrotnie bardziej zabójcza od zwykłej grypy. Z drugiej jednak strony, nawet śmiertelność na poziomie 1 proc. nie jest jeszcze katastrofalna.

Jest możliwe, że ze względu na mutacje i istnienie szczepów wirusa, różnice genetyczne między populacjami, wpływ na odporność innych szczepień lub czynniki środowiskowe wirus powoduje różną śmiertelność w różnych krajach. Wydaje się, że mniejszą w Skandynawii i Europie Środkowej niż na zachodzie kontynentu. Według badań słoweńskich i fińskich śmiertelność wirusa jest zaledwie dwa razy wyższa niż grypy. Możliwe, że to właśnie inne, niezidentyfikowane jeszcze czynniki odgrywają tu decydującą rolę. Na razie jednak takiej pewnej wiedzy nie mamy, a ofiary w Lombardii czy Anglii według wszelkich danych są rzeczywiste i wysokie.

POTRZEBA DEBATY

Jeśli się weźmie pod uwagę, że w przypadku nowego patogenu zachorować może większość populacji, to przy wyższych wartościach śmiertelności – z przedziału 0,2–1,6 proc. – niehamowany niczym rozwój epidemii oznaczałby zawał systemu zdrowia. I na nic tu zgrabny argument Hitchensa, będący odpowiedzią na slogan brytyjskiego rządu „stay home – save the NHS” (ocal służbę zdrowia –

zostań w domu), że to służba zdrowia ma służyć ludziom, a nie odwrotnie. Gdy zaczyna brakować miejsc w szpitalach, gdy chorym odmawia się pomocy, to społeczeństwa na całym świecie uznają, że jest to nie do zaakceptowania. Tak było w Wuhan, Lombardii, Madrycie, dziś jest w Rosji i Brazylii.

Z powyższych zaprezentowanych pokrótce i wybiórczo danych nie wypływa jednak postulat o akceptacji wszelkich działań podejmowanych w imię zahamowania epidemii. Nie wypływa stąd np. postulat wprowadzenia przymusu szczepień, konieczności powszechnej inwigilacji czy akceptacja „wygaszania” Kościoła. W żadnym razie. Wirus wirtualny czy realny może być dogodnym pretekstem do podjęcia działań w innym wypadku ryzykownych lub trudnych do przeprowadzenia. Służyć za parawan ludziom o niecznych zamiarach. To, jakie (i czy w ogóle) środki mamy podjąć, powinno być przedmiotem debaty, której efektem powinno być jasne określenie celu strategicznego tych działań. Czy jest nim obecnie „spłaszczenie krzywej”, aby zapewnić odpowiedni poziom opieki zdrowotnej? Wydaje się, biorąc pod uwagę potencjał mutacji, nieznane długookresowe skutki uboczne choroby, poszlaki wskazujące na sztuczne pochodzenie – że takim celem powinna być raczej eliminacja wirusa.

Bez względu jednak na wybór celu strategicznego zasadne jest ostrożne rozważenie, czy wprowadzanie tych czy innych ograniczeń jest w ogóle potrzebne. Wszelkie decyzje powinny być podejmowane przy uwzględnieniu zarówno zagrożenia dla wolności czy dla ekonomicznych podstaw bytu, jak i zagrożenia dla zdrowia i życia. Dla jakości tej debaty ważne jest, byśmy przebiegowi epidemii przyglądali się jak najbardziej obiektywnie, zimno i racjonalnie. Warto by było uzyskać potrzebne do podejmowania decyzji twarde dane, np. poprzez masowe badania odporności. Tak pojmowanej racjonalności podejmowanych działań nie służy panika, ale nie służy także pochopne i przedwczesne bagatelizowanie zagrożenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, z wykształcenia ekonomistą. Nie jest wirusologiem, epidemiologiem, lekarzem – wyraża jedynie swoje poglądy i przytacza publicznie dostępne dane. Odsyłaczy do źródeł danych nie zamieszczono ze względu na ograniczenia objętości oraz publicystyczny charakter tekstu.

**JAK LEczy SIĘ COVID-19 – CZYTAJ
NA STRONIE 92**

Polacy – ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych



Partner dodatku



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Rozrachunek z sumieniem ludzkości

Jest kilka słów, którymi można opisać bezmiar okrucieństwa i zbrodni niemieckiego okupanta w czasie drugiej wojny światowej. Auschwitz otwiera tę listę. Przed 80 laty – 14 czerwca 1940 r. – do powstałego w Oświęcimiu – na polskich ziemiach wcielonych do III Rzeszy – niemieckiego obozu koncentracyjnego przywieziono pierwszy transport 728 więźniów politycznych z Tarnowa. Tego dnia obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady.

Niemiecka agresja na Polskę 1 września 1939 r. od pierwszego dnia znaczone była zbrodniami: naloty na bezbronne miasta, egzekucje ludności cywilnej i jeńców, palenie wsi, miasteczek... „Zabijać bez litości i pardonu mężczyzn, kobiety i dzieci polskiego pochodzenia i polskiej mowy” – wzywał Adolf Hitler. Zgodnie z jego poleceniem zaczęto mordować działaczy społecznych i politycznych, urzędników, nauczycieli, duchownych, powstańców śląskich oraz wielkopolskich, gdyż „tylko naród, którego warstwy kierownicze zostaną zniszczone, da się zepchnąć do roli niewolników”. W pierwszych miesiącach okupacji w ramach Intelligenzaktion i „Akcji AB” żołnierze Wehrmachtu, członkowie Einsatzgruppen, a także Selbstschutzu rozstrzelali kilkadziesiąt tysięcy osób.

Niemiecki terror nie złamał jednak woli oporu Polaków. Więzienia nadal wypełniały się członkami powstających organizacji konspiracyjnych, których nie zdołano pojmać

w pierwszych tygodniach okupacji. Wzmagając represje, Niemcy postanowili sięgnąć po kolejne narzędzie. W kwietniu 1940 r. Reichsführer SS Heinrich Himmler wydał rozkaz założenia obozu koncentracyjnego Auschwitz. Miał dołączyć do już istniejących: Stutthofu, Dachau, Sachsenhausen, Mauthausen... Ich nazwy już wtedy budziły grozę, ale z czasem to Auschwitz miał stać się symbolem piekła na ziemi, zgotowanego ludziom przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej.

Poza Polakami trafiali tam przedstawiciele kilkunastu narodów. Stosowano wobec nich bestialskie tortury i sposoby zabijania: od niewolniczej pracy, do katowania i pseudomedycznych eksperymentów. Jesienią 1941 r. rozpoczęto w pobliskiej Brzezince budowę obozu Birkenau – miejsca masowej eksterminacji ludności żydowskiej.

Jednak zło nie zwyciężyło ostatecznie za drutami. Nie zabrakło gotowych tworzyć obozową konspirację – wśród niej znaleźli się również

członkowie pierwszego transportu, a symbolem oporu został więzień nr 4859 Witold Pilecki, który znalazł się w Auschwitz z własnej woli we wrześniu 1940 r. Przez to straszne miejsce wiodła również droga do świętości. Poszli nią o. Maksymilian Maria Kolbe, oddający życie za współwięźnia, czy św. Teresa Benedykta – niemiecka filozof Edyta Stein. „Ile tutaj odniesiono podobnych zwycięstw?” – pytał Jan Paweł II, gdy w 1979 r. przybył tam, gdzie wciąż trwa „rozrachunek z sumieniem ludzkości”, gdzie trzeba pomyśleć z „lękiem o tym, gdzie leżą granice nienawiści”.

Wciąż zadajemy sobie pytanie, jak to możliwe, by naród, który pozostawił dzieła Dürera i Bacha, budował katedry w Akwizgranie i Kolonii, mógł dopuścić się takiej zbrodni. Pytanie to stawiali sobie więźniowie, a po latach próbował znaleźć na nie odpowiedź papież z Niemiec, Benedykt XVI. Patrząc w twarze ofiar, mówił: „Ci ludzie wstrząsają naszą pamięcią, wstrząsają naszym sercem. Chcą, aby rozum uznał zło za zło i je odrzucił; chcą budzić w nas odwagę dobra i opór wobec zła. Chcą wzbudzić w nas uczucia, które wyrażają słowa włożone przez Sofoklesa w usta Antygony: »Nie jestem tu, aby razem nienawidzić, lecz by razem miłować«”. Niech temu właśnie celowi służą poniższe teksty.

*Jarosław Szarek,
prezes Instytutu Pamięci Narodowej*



Niemiecka machina śmierci

Urzeczywistnienie idei nazistowskich obozów koncentracyjnych nastąpiło niespełna miesiąc po tym, jak 30 stycznia roku 1933 kanclerzem Niemiec został Adolf Hitler. Stało się tak w wyniku poparcia społeczeństwa niemieckiego dla partii nazistowskiej, wyrażonego w wyborach parlamentarnych, kiedy to NSDAP odniosła niekwestionowane zwycięstwo w 1932 r., stając się największą partią Reichstagu.

DIABELSKI SYSTEM

28 lutego 1933 r. nowy szef niemieckiego rządu – Adolf Hitler – wydał rozporządzenie o Ochronie Narodu i Państwa, które powoływało do istnienia tzw. Schutzhaft, czyli „areszty ochronne”. Od tego momentu każda osoba, która została uznana za wroga państwa i narodu niemieckiego, mogła zostać bezterminowo uwięziona w specjalnie do tego wyznaczonych miejscach odosobnienia.

Pierwszym funkcjonującym obozem na terenie Niemiec był obóz w Dachau, założony 22 marca 1933 r. W kwietniu tego samego roku Herman Göring zalegalizował ideę obozów koncentracyjnych. Funkcję kierownictwa oraz nadzoru nad siecią takich obozów pełnił sztab inspektora w Oranienburgu z Theodorem Eicke na czele. Człowiek ten przygotowywał również szczegółowe instrukcje dla wartowników, dotyczące postępowania z więźniami. Mieli stosować wobec nich surowe kary, np. zamykanie w ciemnicy, odosobnienie, bicie czy nawet wykonywanie kary śmierci.

W obozach masowo więziono przeciwników politycznych, ludzi z tzw. marginesu społecznego, homoseksualistów, członków sekt, Żydów i księży. Więźniowie byli przetrzymywani bezterminowo, a o wyjściu decydowali funkcjonariusze SS. Przy większych obozach powstawały obozy szkoleniowe dla członków załóg KL. Szkolono w nich kadrę dla nowych placówek, których przybywało coraz więcej.

JĄDRO CIEMNOŚCI

Obozy, które Niemcy zakładali na terenach okupowanej Polski, miały

szczególnie okrutny charakter. Polacy od początku trwania wojny nie zrezygnowali z walki, za co często spotykała ich ciężka kara w postaci zesłania do jednego z obozów koncentracyjnych. Tam zmuszano ich do pracy ponad siły, byli bici, poniżani, głodzeni, tracili swoje zdrowie i często życie.

Z uwagi na zmieniającą się sytuację na frontach drugiej wojny światowej zmieniła się także rola obozów koncentracyjnych. W systemie gospodarki Rzeszy zaczęły one stanowić zaplecze taniej siły roboczej. Oprócz obozów koncentracyjnych Niemcy zakładali także obozy pracy przymusowej, przesiedleńcze, przejściowe, jenieckie, dla dzieci i młodzieży oraz getta dla Żydów. Przy obozach macierzystych powstawały liczne filie, których według szacunkowych danych było 900.

Na konferencji w podberlińskim Wannsee w 1942 r. zatwierdzono plan wymordowania wszystkich europejskich Żydów. Tę operację Niemcy przeprowadzali w utworzonych na obszarze okupowanej Polski obozach zagłady. Dokonywali w nich masowych mordów, wykorzystując do tego celu specjalnie

zbudowane komory gazowe. „Po raz pierwszy w dziejach zabijano ludzi w sposób przypominający przemysłową linię montażową” – porównania tego użył w 1947 r. lekarz obozowy i zbrodniarz wojenny Friedrich Entress. Obozy zagłady utworzono w celu wyniszczenia ludności żydowskiej, jednakże ich kolejnymi ofiarami byli także Polacy, Romowie i jeńcy sowieccy.

UKRYĆ PRZED ŚWIATEM

Władze niemieckie starały się za wszelką cenę ukryć koszmar obozowych realiów. Pomagały w tym ogrodzenia składające się z gęstej sieci drutów kolczastych pod napięciem oraz wieże wartownicze, z których strażnicy bezwzględnie wykonywali rozkaz strzelania do więźnia, kiedy ten zbliżył się do ogrodzenia. Masowe egzekucje, nieustanna praca komór gazowych i pieców krematoryjnych, wyniszczenie morderczą pracą, głód terror i okrucieństwo funkcjonariuszy – to wszystko stanowiło obraz rzeczywistości, który panował w obozach.

Katarzyna Pawlak-Weiss



Ładunek więźniów z więzienia tarnowskiego do wagonów osobowych na stacji kolejowej w Tarnowie (pierwszy masowy transport do KL Auschwitz)

FOT. ARCHIWUM IPN

W pierwszych miesiącach okupacji represje wobec ludności polskiej były dużo większe niż w stosunku do pozostałych grup narodowościowych przedwojennej Polski. Wynikało to z zakrojonej na szeroką skalę akcji niemieckiego aparatu bezpieczeństwa skierowanej przeciwko polskiej inteligencji. Na terenie GG, w ramach „Akcji AB”, doszło do licznych aresztowań przedstawicieli elit, przede wszystkim nauczycieli, lekarzy, księży, prawników i naukowców. W większości zostali skierowani do niemieckich obozów koncentracyjnych w głębi III Rzeszy, choć według szacunków historyków zginęło ok. 3,5 tys. spośród nich w masowych egzekucjach.

KL AUSCHWITZ

Dostrzeżono wówczas potrzebę stworzenia obozu przeznaczanego

głównie dla polskiej inteligencji, członków konspiracji oraz innych osób zatrzymanych w łapanekach i różnych akcjach przewencyjnych. Z przyczyn organizacyjnych postanowiono wybudować w Oświęcimiu kompleks obozowy, który miał z jednej strony rozładować więzienia z rejencji katowickiej, a z drugiej ze względu na swoją lokalizację na terenach przedwojennej Polski, niedaleko granicy między Rzeszą a GG, miał stanowić obóz koncentracyjny dla Polaków z tej niemieckiej kolonii-prowincji. Miejsce to było dobrze skomunikowane z Rzeszą i terenami polskimi poza granicami państwa niemieckiego.

Wiosną 1940 r. rozpoczęto pierwsze prace inicjujące powstanie obozu. Pierwszym komendantem został SS-Hauptsturmführer Rudolf Höss,

w Tarnowie. Stamtąd 13 czerwca 1940 r. zostali przewiezieni do żydowskiej rytualnej łaźni, gdzie po tzw. „kąpeli” spędzili noc. „Byliśmy raczej wszyscy zgodni co do jutrzejszego dnia – wspominał Kazimierz Szczerbowski – Jutro czeka nas wolność. To miało nastąpić, gdyż tego pragnęliśmy wszyscy. Bo po cóż ta kąpiel? Po co wydawanie depozytów? Czyż nie po to, aby nas względnie czystych i niezawyszonych odesłać do domu?”. Z czasem okoliczności ich wyjścia z więzienia coraz bardziej niepokoiły. Rano odprowadzono ich na dworzec kolejowy, gdzie „na rampie załadowano nas sprawnie do podstawionego pociągu złożonego z wagonów osobowych, po dziesięć osób w przedziale”, co dziwiło Kazimierza Albina. Pociąg ruszył z wolna na zachód.

Stali się numerami od 31 do 758



który otrzymał zadanie budowy obozu w byłych koszarach Wojska Polskiego w Oświęcimiu. Zorganizował załogę obozową, ściągnął niemieckich więźniów kryminalnych do pełnienia funkcji więźniów-nadzorców (otrzymali numery od 1 do 30). Po sześciu tygodniach przybył pierwszy transport Polaków, którzy przez gestapo zostali sklasyfikowani jako szczególnie niebezpieczni więźniowie polityczni.

PIERWSZY MASOWY TRANSPORT

Wśród aresztowanych młodych ludzi z rejonu Nowego Sącza, Tarnowa oraz Podkarpacia w kwietniu i maju 1940 r. było wielu studentów, harcerzy, uczniów szkół średnich. Większość spośród nich łączył zdecydowany opór wobec okupantów, który ujawniali, działając w tworzonych spontanicznie strukturach konspiracyjnych. Po kilku tygodniach śledztwa trafili do więzienia

Do Krakowa? Do Rzeszy na roboty przymusowe? Przecież mieli być wolni...

Po długim postoju na granicy GG i III Rzeszy skład ruszył w głąb państwa niemieckiego, by skręcić na południe i zatrzymać się na stacji w Auschwitz. Ktoś wytłumaczył, że to Oświęcim. Ale co tutaj jest? – zastanawiali się, dyskutując między sobą. „Wówczas nazwa »Auschwitz« nikomu nic nie mówiła” – wspominał Bronisław Gościński. Pociąg zaczął się toczyć po jakiejś bocznicy. Zajechał na rampę obstawioną esesmanami i ludźmi w uniformach podobnych do piżam lub mundurów marynarskich. W dali majaczyły wysokie wieże strażnicze, górujące nad ogrodzeniem z drutu kolczastego. Rozpoczęło się nowe życie dla 728 Polaków z pierwszego transportu (w obozie otrzymali numery od 31 do 758). Auschwitz przeżyło ok. 200 z nich...

Marcin Chorzki



Apokalipsa dnia powszedniego. Pierwsze tygodnie w Auschwitz

Wijście stąd prowadzi tylko przez komin krematorium” – usłyszeli z ust zastępcy komendanta obozu SS-Hauptsturmführera Karla Fritzscha w czerwcu 1940 r. pierwsi polscy więźniowie Auschwitz. Wraz z ich przybyciem czekała na nich starannie przemyślana i wyreżyserowana ceremonia „przyjęcia”, która miała na celu wpojenie im uczucia całkowitego opuszczenia i bezradności.

DEHUMANIZACJA

Wyładowanie więźniów z wagonów zaczynało pasmo udreń. „Nie było chyba więźnia, który wówczas nie otrzymał swojej porcji razów” – wspominał Longin Grys. Następnie poprzez odbieranie rzeczy osobistych zrywano ich więzi z przeszłością. Zapędzono ich do budynku, gdzie zostali poddani kąpieli i dezynfekcji. Tam strzyżono im włosy. Każdy otrzymał numer obozowy i czerwony trójkąt – symbol więźnia politycznego. Następnego dnia zaczął się okres „kwarentanny wstępnej”. Nowo przybyli mieli zrozumieć, że odtąd przestali być ludźmi w dawnym tego słowa znaczeniu.

Po okresie inicjacji władze wykorzystywały każdy pretekst, żeby przypomniać więźniom o nowej rzeczywistości, w jakiej się znaleźli. Celem było złamanie ich sił psychicznych i fizycznych. „Na komendę esesmana musieliśmy maszerować, biegać, skakać żabką, ćwiczyć kaczę chód itp.” – relacjonował Bogumił Antoniewicz. Te karne ćwiczenia nazywano ironicznie „sportem”. Pod pretekstem nauczania komend i musztry musiał je przejść niemal każdy więzień. „Upały dochodziły w tym czasie do 30 st. C. Na skutek gorąca puchły nam głowy i dręczyło nas pragnienie” – wspominał Bronisław Cynkar.

DATY PRZESTAŁY ISTNIEĆ

W lipcu 1940 r. przeniesiono więźniów z budynku kwarantanny do właściwego obozu. Tam zderzyli się z nie-

wyobrażalną brutalnością codzienności. „W nocy wpadli esesmani, bili i strzelali w sufit” – z tej i wielu innych relacji osób, które przeżyły pobyt w Auschwitz, wiemy, że sen jedynie w teorii stanowił czas odpoczynku. W pierwszym okresie funkcjonowania obozu więźniowie spali na podłodze, na rozłożonych w trzech rzędach siennikach lub na słomie. Słóczenie, brak intymności i brud były ich codziennością.

„Najcięższa robota była łżejsza od »sportu«” – wspominali pierwsi nowo przybyli. W rzeczywistości obozowej praca także służyła jako metoda upokarzania i fizycznego niszczenia więźniów. „Wodę dźwigaliśmy w 50-litrowych kotłach – relacjonował Bogumił Antoniewicz – Były one bardzo ciężkie i nieporęczne w noszeniu, zwłaszcza że pracę musieliśmy wykonywać biegiem”. W tym czasie wykorzystanie siły roboczej osadzonych w obozie na rzecz gospodarki wojennej Niemiec nie było jeszcze priorytetem.

UMIERALI POWOLI

„Na kolację był kasek chleba i tzw. Zulaga. Mógł to być kawałek śmierdzącej kiełbasy, kawałek marmolady z buraków lub kawałek sera, po którym chodzili robaki. Odrzuciwszy je, ser zjadaliśmy” – opowiadał Józef Paczyński, wspominając pierwsze otrzymane posiłki. Ciężka praca w obozie i niewystarczająca ilość pożywienia były powodem systematycznego wyniszczenia organizmu, który stopniowo zużywał zapasy tłuszczu oraz białko mięśni i tkanek narządów wewnętrznych. Konsekwencjami były skrajne wychudzenie i choroba głodowa będąca powodem dużej liczby zgonów. Już w lipcu 1940 r. w obozie pojawili się pierwsi więźniowie zubożeni na wszystko, tracący wolę życia – nazywano ich „muzułmanami”. Ludzie ci szybko umierali z wyczerpania fizycznego i psychicznego.

Ponadto choroby, które na wolności nie przedstawiały żadnego zagroże-

nia, w obozie stawały się śmiertelnym niebezpieczeństwem. Najbardziej błaha i banalna rana czy skaleczenie mogły stać się bezpośrednią przyczyną śmierci więźnia. W tym kontekście przypomnijmy, że nieodłącznym elementem każdego dnia było bicie. Wobec więźniów stosowano także kary chłosty, „słupka”, osadzenia w areszcie i przydziału do karnej kompanii, co dla wielu było równoznaczne z wyrokiem śmierci.

OGOLONE GŁOWY I PIEKĄCE SŁOŃCE

Jedną z najbardziej dotkliwych szykan codziennego życia w obozach koncentracyjnych były przedłużone apele. Odbywały się bez względu na deszcz, wicher, śnieżyce czy mróz. Więźniowie musieli stać nieruchomo w szeregach, marznąć i moknąć. Pierwszy i najdłuższy wielogodzinny karany apel odbył się w Auschwitz 6 lipca 1940 r. w związku z ucieczką jednego z więźniów Tadeusza Wiewojewskiego. „Usłyszeliśmy wtedy po raz pierwszy syrenę obozową [...]. Motory z esesmanami i psy ruszyły w okolicy na obławę” – wspominali po latach polscy skazańcy.

Apel trwał od godz. 18 do godz. 14 dnia następnego. Za karę więźniowie musieli stać w szeregach na baczność lub trwać w przysiadzie: „Wielu więźniów pomdlało, niektórzy dostawali rozstroju nerwowego”. Za najmniejsze poruszenie się byli bici przez esesmanów i kapo. „W pewnym momencie »podpadłem« dozorującemu esesmanowi – relacjonował Nikodem Pieszczoć. – Kazał mi toczyć się i skakać »żabką«, a na koniec zapytał: »Ist dir warm?« (»Czy jest ci ciepło?«), na co, ku zdziwieniu esesmana, odpowiedziałem: »Jawohl, danke!« (»Tak, dziękuję!«)”.

Przed blokiem nr 1 ustawiono kozioł do bicia. Rozpoczęło się przesłuchanie w sprawie ucieczki. „Słysząc tylko świst opadających nahałów. Oczywiście po paru zaledwie uderzeniach krew tryska

poprzez spodnie [...]. Niesamowite krzyki rozlegają się nadal od strony kozła. Naraz któryś z esesmanów poślizgnął się obok kozła na spływającej krwi i wrzasnął: »Verfluchtes polnisches Blut!« (»Przeklęta polska krew!«) – wspominał więźniowie.

W tym czasie esesmani i funkcyjni wciąż wyżywali się na pozostałych więźniach. Omdlałych polewano wiadrami wody, a po ocuceniu zmuszano do dalszego udziału w apelu. Wielu więźniów uległo porażeniu słonecznemu. „Dodatkową torturą był dla nas brak możliwości załatwiania potrzeb fizjologicznych [...]”. Pamiętam, że [jeden z więźniów – przyp. R.G.] załatwił się do woreczka. Esesmani kazali mu szczekać na ten woreczek, a później musiał go trzymać w zębach – wspominał Bronisław Cynkar – Był to dla nas widok makabryczny i poniżający”. Po południu 7 lipca apel zakończono: „Gdy zezwolono nam udać się do bloków, więźniowie raczej pętlili, aniżeli szli”.

MIJAŁY DNI, TYGODNIE...

W kolejnych miesiącach pobytu w obozie furia funkcyjnych i esesmanów wciąż skupiała się na więźniach pierwszych transportów. Do wiosny 1941 r. zginęła około jedna trzecia osób z transportu z Tarnowa. Jeden z ocalałych więźniów Tadeusz Krupiński wspominał, że „niemieccy kapo, którzy jako »weterani« lagrów hitlerowskich z ironią i brutalnie uświadamiali nas, że najcięższe w obozie są pierwsze trzy lata”.

Auschwitz oraz inne obozy koncentracyjne były miejscem odwrócenia panujących w zewnętrznym świecie pojęć, postaw i wartości. Chorzy i starsi ginęli tam w pierwszej kolejności. Prawo do życia, ale tylko do czasu, mieli młodzi, zdrowi i zdolni do pracy. Dopiero od 1942 r., wraz z trwającą wojną na wschodzie, władze III Rzeszy zaczęły traktować więźniów jako cenną siłę roboczą, która ma służyć przemysłowi wojennemu Niemiec.

W tym czasie obóz zmienił swoją funkcję i stał się jednym z niemieckich ośrodków natychmiastowej, bezpośredniej zagłady ludności żydowskiej. W KL Auschwitz-Birkenau Niemcy zgładzili co najmniej 1,1 mln osób, w tym ok. 960 tys. Żydów, 70–75 tys. Polaków, 21 tys. Romów i Sinti, 15 tys. jeńców sowieckich i 10–15 tys. więźniów innych narodowości.

Roman Gieroń

Ofiary Sonderaktion Krakau

Aktion gegen Universitäts-Professoren powszechnie znana pod nazwą Sonderaktion Krakau zapisała się w historii Krakowa i dziejów powszechnych jako bezprecedensowy atak na naukę polską. Spełniając żądanie przedstawiciela niemieckich władz okupacyjnych SS-Sturmbannführera Brunona Müllera, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Tadeusz Lehr-Spławiński zwołał na 6 listopada 1939 r. do Collegium Novum zebranie ogółu wykładowców. Zebranie okazało się pułapką – po kilkunastu minutach wystąpieniu Müllera, w którym poinformował, że uniwersytet był zawsze „ogniskiem antyniemieckich nastrojów”, zgromadzeni profesorowie zostali aresztowani. Łącznie zatrzymane zostały 183 osoby – głównie uczeni związani z Uniwersytetem Jagiellońskim, a także z Akademią Górniczą i Akademią Handlową oraz kilka innych osób, które znalazły się wówczas w budynku lub jego okolicach. Aresztowanych przewieziono do więzienia policyjnego przy ul. Montelupich, a następnie do koszar przy ul. Mazowieckiej, by po kilku dniach przetransportować ich w liczbie 172 do Wrocławia (w międzyczasie zwolniono kilka osób). Stamtąd trafili do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen zlokalizowanego na ówczesnych obrzeżach Oranienburga.

LIKWIDACJA POLSKICH ELIT

Policyjna akcja uwięzienia krakowskich profesorów była częścią planowej likwidacji polskich elit. Akcja „Inteligencja” trwająca od momentu wkroczenia Niemców na tereny polskie, jesienią 1939 r., obejmowała przede wszystkim tereny wcielone do Rzeszy. Niemniej działania wymierzone w szeroko pojętą inteligencję miały miejsce także na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie od wiosny 1940 r. kontynuowane były w ramach tzw. akcji AB.

Wydarzenia z 6 listopada były bezprecedensowe. Nieprzypadkowo zbiegły się z przygotowaniami do otwarcia roku akademickiego w Uni-

wersytecie Jagiellońskim, a kierując się troską o losy akademii, na wyznaczone spotkanie tłumnie przybyli nie tylko czynni pracownicy naukowcy, lecz także emerytowani profesorowie. Pobyt w obozie był dla nich niezwykle wyniszczający. Pomimo że „grupa krakowska” nie była zmuszana do pracy, jednak jako tzw. Stehkommando w trakcie dnia nie mogli siedzieć. Rujujące zdrowie były apele. Przyczyniły się do tego bardzo mroźna zima, lekkie obozowe ubranie, głód, brak możliwości leczenia.

NIE PRZEŻYLI OBOZU

W wyniku międzynarodowych starań niemieckie władze uległy naciskom i w lutym 1940 r. zwolniły 101 aresztowanych w wieku powyżej 40 lat. Do tego momentu z wycieńczenia zmarło 12 wybitnych profesorów. Byli to: Antoni Meyer – prawnik i inżynier górnictwa; Stanisław Estreicher – prawnik, były rektor UJ; Stefan Bednarski – lektor języka rosyjskiego; Jerzy Smoleński – geograf; Tadeusz Garbowski – zoolog i filozof; Michał Siedlecki i Feliks Rogoziński – zoologowie; Kazimierz Kostanecki – anatom; Ignacy Chrzanowski – historyk literatury; Adam Różański i Władysław Takiński – inżynierowie; Antoni Hoborski – matematyk. Kolejnych pięciu zakończyło życie wkrótce po powrocie do Krakowa: Antoni Wilk – astronom, Jan Nowak – geolog, Stefan Kołaczkowski – historyk literatury, Jan Włodek – agronom, Franciszek Bossowski – prawnik. Profesor Leon Sternbach – filolog klasyczny, bizantynista, niezwołniony mimo podeszłego wieku z uwagi na żydowskie pochodzenie – zmarł w lutym 1940 r. Dwaj kolejni uczeni Żydzi, Wiktor Ormicki – geograf i Joachim Metallmann – filozof, zostali oddzieleni od głównej grupy akademików i zamordowani w KL Mauthausen-Gusen i KL Buchenwald. Pozostałych, w większości przeniesionych do KL Dachau zwalniano stopniowo. Ostatni więzień Sonderaktion Krakau opuścił niemiecki obóz koncentracyjny w październiku 1941 r.

Anna Czocher



„Największy na świecie cmentarz księży”

Polscy duchowni w KL Dachau

Eksterminacja duchowieństwa była elementem niemieckiej polityki wynarodowienia państw okupowanych. Centralnym ośrodkiem zagłady duchownych uczyniono KL Dachau. Wśród ok. 2,8 tys. księży tam uwięzionych największą grupę stanowili Polacy w liczbie 1780. W nieludzkich warunkach życie straciło 868 polskich kapłanów.

KAPŁAN W OBOZOWEJ RZECZYWISTOŚCI

Transporty z polskimi duchownymi przybywały do Dachau od kwietnia do końca 1940 r. Jako Polacy zostali zaliczeni do więźniów politycznych. Umieszczono ich w barakach nr 28 i 30, najbliższej krematorium. W skutek interwencji Watykanu od stycznia 1941 r. mogli uczestniczyć we mszy św. Jednak szybko pozbawiono ich tego przywileju.

We wrześniu 1941 r. władze obozowe uzależniły praktyki religijne księży polskich od wpisu na listę narodowości niemieckiej. Nikt nie wpisał się, zyskali za to szacunek więźniów. W odpowiedzi zakazano kapłanom polskim odprawiania mszy św., brewiarza, modlenia się, posiadania przedmiotów kultu, też niesienia pomocy duchowej więźniom. Mimo to zorganizowali oni ukryte życie religijne. Potajemnie odprawiali msze św., wspierali umierających...

PERMANENTNY GŁÓD

Jednym z największych utrapień obozowego życia był niewyobrażalny głód. „Wiedzieć, że ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień tego głodu, jaki trawi wnętrze, niczym nie będę mógł zaspokoić, stwarza sytuację beznadziejną” – wspominał bp Ignacy Jeż. „Mówię tak wiele o głodzie w obozie koncentracyjnym, bo to był jeden z okrutnych sposobów wykańczania człowieka” – podkreślił ocalały ks. Aleksander Konopka. I dodał: „Do dziś odczuwam te chwile walki organizmu o życie”.

Niektórzy byli tak opuchnięci z głodu, że nie mogli się poruszać. Wielu ważyło



KL Dachau, widok ogólny na baraki, w których mieszkali więźniowie, kwiecień 1945 r.

FOT. TRUTHABOUTCAMPS.EU

ok. 40 kg. Sytuacja nieco poprawiła się po październiku 1942 r., gdy mogli otrzymywać paczki. Wkrótce zorganizowali obozowy Caritas, dzielili się darami i zrezygnowali z przydziału chleba obozowego na rzecz tych, którzy paczek nie mieli.

ŚMIERCIONOŚNA PRACA, KARA I EKSPERYMENT

Nad bramą w KL Dachau wisiał napis „Arbeit macht frei” („Praca daje wolność”). W istocie niosła ona śmierć. Księża polscy byli zmuszani do pracy ponad ludzkie siły. Umierali na plantacjach przylegających do obozu. Zapręgano ich jak woły pociągowe do wozów, bron i pługów przy uprawie roli, usuwaniu śniegu z obozu, a nawet do wału ugniatającego szosę. Wyznaczano ich do robót najcięższych, m.in. w kamieniołomach w Gusen – filii KL Dachau zwanej „ostatecznym rozwiązaniem”.

Umierali z powodu wycieńczenia katorżniczą pracą, głodu, zimna, chorób, w skutek przemocy. Bito i karano ich za wszystko. Poddawano ich śmiertelnym eksperymentom pseudomedycznym. „Inwalidów” (niezdolnych do pracy)

przewożono do komór gazowych, a wielu zagazowano w drodze w specjalnie do tego przystosowanych samochodach.

UŚWIECAJĄCE CIERPIENIE

Polscy kapłani w nieludzkich warunkach obozowych zdobywali się na czyny heroiczne. Mimo że zostali sprowadzeni do numerów bez wartości, nie utracili godności ludzkiej i wrażliwości na drugiego człowieka. Wielu z nich służąc chorym i umierającym, poświęciło własne życie. Niektórzy z nich zostali zaliczeni w poczet błogosławionych Kościoła katolickiego.

Dnia uwolnienia z obozu, 29 kwietnia 1945 r., doczekało 830 polskich duchownych. To oni dali świadectwo piekła obozowego, a także świadectwo świętości tych, których prochy tam pozostały, w Dachau. Podczas mszy św. sprawowanej w 50. rocznicę wyzwolenia obozu arcybiskup monachijski kard. Friedrich Wetter nazwał Dachau „największym na świecie cmentarzem księży”, podkreślając przy tym, że „największą ofiarę ponieśli Polacy”.

Łucja Marek

W ostatnim kręgu Ravensbrück

Czy Kraj wie o egzekucjach i o »królikach«? – tak brzmiało pierwsze pytanie, które od współwięźniarki usłyszała Karolina Lanckorońska, gdy 8 września 1943 r. Niemcy osadzili ją w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Po Wrześniu doświadczyła grozy w okupowanym przez Sowieców Lwowie, gdzie przed wojną wykładała historię sztuki, i podczas przesłuchań przez szefa gestapo w Stanisławowie, Hansa Krügera. Stawała mężnie i bez wahania przyznała, że uważa III Rzeszę za wroga. Kłopotliwą dla niemieckich władz, bo upartą polską arystokratką, o której los wciąż dopytywała się włoska rodzina królewska, wysłano koniec końców do Ravensbrück.

Przeszła zatem wiele, ale o „królikach” nie słyszała. Prawdę poznała dopiero w obozie, gdzie od sierpnia 1942 r. do września 1943 r. niemieccy lekarze przeprowadzali eksperymenty na „materiałach ludzkich”. Okaleczającym zabiegom chirurgicznym poddali 74 Polki, przywiezione z lubelskiego Zamku oraz warszawskiego Pawiaka we wrześniu 1941 r. i maju 1942 r., oraz 12 kobiet innych narodowości.

CHIRURGICZNA RZEŹNIA

Traktowana początkowo jako więzień uprzywilejowany, trafiła do osobnego pokoju w tzw. bunkrze – tam, gdzie oprawcy w białych kitlach uprawiali swój proceder. Niezwykłym zbiegiem okoliczności spotkała dziewczynę z literą „P” na pasiaku, ta zaś zaprowadziła ją potajemnie do sali z pięcioma operowanymi Polkami.

„Pani powinna je zobaczyć, pani może wyjdzie z życiem i ma dużo znajomych za granicą. Pani uwierzą” – szepnęła. „Patrzyły na mnie, nie wiedziałam, co powiedzieć – napisała Lanckorońska w »Wojennych wspomnieniach«. – Najbliżej drzwi leżała młodzietka dziewczyna, mająca lat może dwadzieścia, blondynka. [...] wyraz jej twarzy zdradzał tylko cierpienie i bezgraniczną rezygnację. [...] u niektórych zauważyłam dwie lub trzy stare blizny z poprzednich operacji, po 20 cm długości, powyżej lub poniżej kolana”.

Eksperymenty służyć miały opracowaniu metod leczenia żołnierzy rannych

na froncie. Zakażano więc rany bakteriami, by sprawdzić działanie sulfamidów. Łamano kości nóg, przeszczepiano piszczel z jednej nogi do drugiej. Niemcy usuwali mięśnie i wycinali części nerwów – tej samej kobiecie raz po razie.

TRIUMF DUCHA

I właśnie te dręczone miesiącami „króliki” wzniciły rozpaczliwy bunt. Gdy wezwano je znów w sierpniu 1943 r., wmieszały się między inne. Wytropione przez Niemców, trafiły na stoły chirurgiczne nieumyte, zakneblowane, związane. Z zemsty.

Przed nadejściem sowieckiego frontu kaci chcieli zgładzić ofiary lekarzy. W wywołanym przez współtowarzyszek zamieszaniu te poukrywały się na terenie obozu. Większość z nich doczekała ostatniej ewakuacji z Ravensbrück 28 kwietnia 1945 r. – dwa dni przed wejściem Armii Czerwonej.

Po operacjach zmarło pięć kobiet, sześć Niemcy rozstrzelali. Do kraju

wróciło 57 – wśród nich Wanda Wojtasik-Półtawska, przyszła współpracownica św. Jana Pawła Wielkiego. Sześć wybrało emigrację.

Karolina Lanckorońska nie tylko przekazała za druty informacje o eksperymentach, lecz także otworzyła przed maltretowanymi drzwi do świata piękna, prowadząc wykłady o sztuce włoskiej. Zwolniona po interwencjach MCK 5 kwietnia 1945 r., wspominała: „Im gęściej dymiło się krematorium [...], tym bardziej rosła potrzeba dóbr duchowych [...]. Słuchaczki, które nigdy nie wiedziały, czy nie nadchodził już ostatni dzień ich życia, słuchały jednak z wielkim skupieniem. [...] Dziś mogę tylko wyrazić nadzieję, że słuchaczkom moim dawałam choć w części to, co od nich otrzymywałam – możliwość oderwania się od moralnych i fizycznych brudów [...] i powrotu do owych wartości, które kiedyś stanowiły świat mój, najbardziej własny”.

Anna Zechenter



Więźniarki KL Ravensbrück; 1945 r.

FOT. TRUTHABOUTCAMPS.EU

Wilno, ul. Ostrobramska,
1934 r. FOT. NAC



Radio z Wilna



Sławomir Koper



Tomasz Stańczyk

Wizytówką przedwojennej Wileńszczyzny były len i raki. Region jednak chlubił się przede wszystkim wileńską firmą Elektrit, produkującą radiodiodniarki na cały świat

Wileńszczyzna była województwem praktycznie bez przemysłu, znajdowała się na 14 miejscu wśród 16 województw pod względem liczby zakładów przemysłowych. Z pracy na roli utrzymywało się trzy czwarte mieszkańców. Gleby nie były jednak urodzajne, do tego dochodziła niska kultura rolna, co tego dochodziła słabe plony. Wileńszczyzna wyróżniała się w rolnictwie jedynie pierwszym miejscem w uprawie grochu i lnu. Faktycznie, znajdowały się tam największe w Polsce obszary uprawy lnu. Były jednak problemy, by z uprawy i przetwórstwa tego „białego węgla Wileńszczyzny” osiągać zyski. Len bowiem nie stał się powszechnie używaną tkaniną ubraniową, zamiast importowanego surowca (bawełny, wełny).

GENERAŁ OD LNU

Wielkim entuzjastą lnu był gen. Lucjan Żeligowski, który zdobył w 1920 r. Wilno dla Polski. Po odejściu z wojska w 1927 r.

osiadł w majątku w Andrzejowie w powiecie oszmiańskim i zajął się propagandą uprawy lnu. Generał głosił hasło: „Ziemia nasza powinna wyżywić i odziać” i mawiał: „Dwory siać, wioski – tkąć!”.

Żeligowski chodził, oczywiście, w lnianych ubraniach, co wzbudzało różnicowane reakcje otoczenia. Niektórzy byli zachwyceni, inni widzieli w tym nieszkodliwe dziwactwo.

„A generał w lnieniu – opisywał go Melchior Wańkowicz – portki, koszula, krawat, sukienka służącej i obrus, portiery i serwetki – wszystko lniane. W tą porę generał o lnieniu i tylko o lnieniu mówił. Posadził mnie na lnem krytej kanapie i mówi: „Len nas żywi, ot co!”.

Do lnianych ubrań Żeligowski próbował przekonać Stanisława Lorentza, konserwatora zabytków województwa wileńskiego i nowogrodzkiego. Lorentz stwierdził jednak trzeźwo, nie bez racji, że ubrania z lnu szybko się brudzą i mną.

Żeligowski podkreślał, że Polska traci setki milionów złotych na imporcie weł-

ny i bawełny, zamiast rozwijać wytwórczość i przemysł lniański.

„Wyroby bawełniane wywołały entuzjazm naszych elegantek – ubolewał generał. – Były kolorowe, a razem z nimi wkraczała moda umiejętnie lansowana przez sfery przemysłowo-handlowe. Rozpoczęła się niezdrowa rozrzućność wileńskich kobiet, które przestały rywalizować w wytwórczości płócien domowych, a natomiast każda chciała być jak najładniej ubraną w bawełniane szmaty”.

Stanisław Cat-Mackiewicz, redaktor naczelny wileńskiego „Słowa”, popierający lnianą propagandę Żeligowskiego dziwił się na łamach swojego pisma trudnościom we wprowadzaniu wśród mężczyzn mody na lniane koszule i przekonywał, że są przyjemniejsze w noszeniu, zwłaszcza latem. A poza tym uważał bawełnianą odzież za trywialną, a len za synonim piękna.

„Cóż łatwiejszego – pytał – niż wprowadzić modę wśród miliona urzędników polskich, drugiego miliona działaczy społecznych, a zapotrzebowanie lnianych koszul przerośnie możliwości produkcyjne lnu z tych kilku powiatów, które nam traktat ryski z lnianych obszarów pozostawił”.

Cat zauważał jednak, że oferowane w Wilnie koszule lniane są uszyte z materiału odpowiedniejszego raczej na worki i są zdecydowanie zbyt drogie. A Żeligowski snuł wspaniałą wizję przyszłości, w której wieś, poza ubieraniem się w len, produkowałaby surowiec dla fabryk. Dzię-

ki temu zniknąć miały „bezrobocie, odłogi i nędza”, a w zamian „powstałaby wielka fabryka ręczna, powstałby drugi Menczester, który całej Polsce dałby bieliznę i ubranie”.

Żeligowski przekonywał, że to nie fabryki, drogie maszyny i obcy kapitał, ale ręczna praca kobiet Wileńszczyzny powinna stać się podstawą polskiego lnianstwa. Proponował jednak, by skupić się na „więcej prymitywnych wyrobach”, na które jest większy popyt: workach, onucach dla wojska, drelichach i ręcznikach.

Do propagowania lnu przyczynił się także Aleksander Prystor, premier w latach 1931–1933, doskonale rozumiejący wagę zagadnienia (urodził się w Wilnie). Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął uchwałę, by wszystkie instytucje państwowe wykorzystywały wyroby z lnu, natomiast w 1940 r. miała się odbyć w Wilnie wielka wystawa promująca len...

EKSPORTOWE RAKI

Innym sposobem na ożywienie gospodarcze Wileńszczyzny miało być zwiększenie odłowu i eksportu raków. Polska, po Związku Sowieckim, była drugim co do wielkości dostawcą tych skorupiaków na stoły Europy Zachodniej. Znaczny ich procent pochodził właśnie z Wileńszczyzny.

Głównym odbiorcą raków z okolic Wilna była Francja. Towar ładowano do pociągów pospiesznych do Paryża, docierały nad Sekwanę w ciągu 34–36 godzin. Raki były eksportowane przez firmy Szejna z Nowej Wilejki oraz Kaca i Baka w Nowych Świącianach.

Oczywiście nie wszystkie eksportowane skorupiaki pochodziły ze swobodnych połowów, gdyż pod koniec XIX w. pojawiła się na Wileńszczyźnie pewna forma hodowli raków. Trudno zresztą mówić o hodowli, bardziej właściwe wydaje się określenie „zarzaczanie” prywatnych stawów i jezior. Nie brakowało optymizmu, uważano, że przy odpowiednich działaniach rak rzeczny może stać się wizytówką regionu.

„Przy wprowadzeniu hodowli raków na Wileńszczyźnie – przekonywał Zimnicki – raz uporządkowaniu handlu rakami można by znacznie podnieść rozmiary eksportu, przyczyniając się przez to do rozszerzenia dość ubożego życia gospodarczego Ziemi Wileńskiej”.

ELEKTRIT OZNACZA SUKCES

To jednak nie len i nie raki były dumą Wileńszczyzny. Była w Wilnie firma Elektrit, która w okresie międzywojennym

święciła triumfy. Nie tylko na skalę kraju, lecz także poza jego granicami. W odniesieniu sukcesu nie przeszkadzały jej sytuacja gospodarcza regionu ani problemy logistyczne. Towarzystwo Radiotechniczne Elektrit powstało w 1925 r., a jego założycielami byli bracia Samuel i Hirs Chwolesowie oraz Nachman Lewin. Firma początkowo zajmowała się strojeniem i naprawą odbiorników. Prowadziła również sprzedaż sprzętu z importu, wkrótce jednak zaczęła produkować radioodbiorniki. Gdy w połowie stycznia 1928 r. rozpoczęła emisję rozgłośnia wileńska Polskiego Radia, popyt na radioodbiorniki w mieście był tak duży, że zabrakło ich w sklepach. W ofercie Elektritu przeważały odbiorniki na baterie, co było koniecznością ze względu na bardzo słabą elektryfikację Wileńszczyzny.

Elektrit był otwarty na nowinki techniczne, a jego inżynierowie odbywali staże u największych europejskich i światowych producentów, ale zarząd firmy miał też na uwadze konserwatywne upodobania mieszkańców Kresów. Odbiorniki mogły mieć nawet modernistyczne kształty, ale obudowy wykonywano z drewna, a nie z popularnego wówczas bakelitu.

Odbiorniki radiowe z Wilna rzeczywiście były doskonałej jakości i szybko zaczęły zdobywać nagrody na międzynarodowych targach. Nie byłoby jednak sukcesu, gdyby nie innowacyjność kadry inżynierskiej. Już jedenaście lat po światowym debiucie pierwszego odbiornika superheterodynowego (Radiola amerykańskiego RCA) Elektrit wprowadził na rynek polski własny produkt (równocześnie z Philipsem). Była to rewolucja w radiofonii, ponieważ radioodbiornik wileńskiej firmy zapewniał uzyskanie dużej stabilności odbioru właściwie w całym zakresie strojenia, co umożliwiałoby wreszcie swobodne słuchanie audycji, bez obawy o „ucieczkę” fal radiowych.

Szefowie firmy zdawali sobie sprawę z tego, że radioodbiorniki były stosunkowo drogie, co powodowało, że ich dostępność była dość ograniczona. Zaczęto więc wytwarzać odbiorniki tańsze. Już na początku lat 30. stało się jasne, że pomieszczenia przy ulicy Wileńskiej 27, gdzie zlokalizowano produkcję, stały się zbyt ciasne.

W tej sytuacji od podstaw zbudowano nową fabrykę przy ulicy Szeptyckiego (dziś Ševčenkos), oddaną do użytku w 1936 r. Zakład zatrudniał 1200 osób i był największym pracodawcą w Wilnie. Chociaż wiele komponentów sprowadzano z zagranicy, to jednak zdarzały się modele, do których aż 80 proc. podzespołów wytwarzano na miejscu.

W drugiej połowie dekady wyroby wileńskiej firmy eksportowano do wielu krajów europejskich, a także do brytyjskich posiadłości w Indiach i Południowej Afryce, na Bliski Wschód oraz do Brazylii. Wartość sprzedaży w 1936 r. wyniosła 1,2 mln dol. (dziś ok. 20 mln euro). Na podwórku krajowym firma nie miała godnych przeciwników. Poznański Radjofon próbował przekonać nabywców, reklamując się jako „największa w Polsce chrześcijańska fabryka odbiorników bateryjnych”...

Pozycją firmy nie zachwiał nawet Wielki Kryzys. Jej właściciele z reguły mogli liczyć na swoich pracowników. Jedyny strajk, który wybuchł w fabryce, został wywołany przez komunistów, a większość postulatów została spełniona. Inna sprawa, że jego przewodników po kolei dyskretnie usunięto z pracy, a ich następcy z organizacji związkowej już nie wchodzili w większe zatargi z dyrekcją.

Firma wydawała własną gazetę, publikowano również broszury informacyjne. Przy fabryce funkcjonował klub sportowy RKS Elektrit z kilkoma sekcjami, a największe sukcesy osiągnęli piłkarze wodni, którzy zdobyli w 1938 r. mistrzostwo Wilna. Natomiast ich kole-dzy specjalizujący się w kopaniu piłki po trawie walczyli w A Klasie (drugi poziom rozrywek) i w 1938 r. zajęli piąte miejsce. Do pierwszej ligi nigdy nie awansowali.

W chwili wybuchu wojny spośród właścicieli Elektritu w Polsce przeżywali: Hirs Chwoles i Nachman Lewin. Pierwszy z nich zbiegł przed wkroczeniem Sowie-tów na Litwę, a po zajęciu kraju przez Niemców zginął w getcie w Kownie. Nachman Lewin aresztowany przez Sowie-tów zmarł w łagrze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fragment książki Sławomira Kopra i Tomasza Stańczyka „Ostatnie lata polskiego Wilna” (Wydawnictwo Fronda)



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Węgierski przyjaciel

Polak, Węgier – dwa bratanki. To nie tylko puste hasło. To także konkretne czyny. Na naszych przyjaciół Węgrów zawsze mogliśmy liczyć. Jednym z nich był Pál Teleki, którego pasjonującą biografię pióra Balázsa Ablonczygo wydał właśnie IPN.

Teleki był premierem Królestwa Węgier w latach 1920–1921 oraz 1939–1941. Jego pierwsze premierostwo rozpoczęło się więc wtedy, gdy hordy bolszewickie podchodziły pod Warszawę.

„Oto widzimy naród polski, który przez wieki był nam bratnim narodem w walkach ze Wschodem (włoty) – mówił w pierwszym wystąpieniu parlamentarnym – a który i dziś tak samo bohatersko toczy tę walkę, jak po wielokroć w przeszłości bohatersko stawiał czoła przeważającym siłom wrogów (»Tak jest!«)».

Teleki planował stworzenie legionu węgierskiego, który pospieszyłby na odsiecz Polsce. Chociaż ostatecznie nic z tego nie wyszło, to Węgrzy przekazali walczącą z bolszewikami polskiej armii 58 mln naboju karabinowych, 40 mln zapalników, kuchnie polowe i inny sprzęt wojskowy.

O ile pierwsze premierostwo Telekiego przypadło na moment największego triumfu Rzeczypospolitej, o tyle drugie przypadło na moment największej

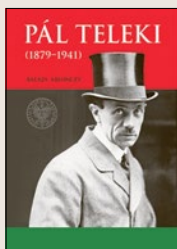
katastrofy. W 1939 r. szef węgierskiego rządu napisał list do Hitlera, w którym oświadczył, że „ze względów moralnych” Węgrzy nie mogą prowadzić działań wojennych przeciwko Polsce. Teleki i regent Horthy odrzucili również prośbę Ribbentropa o przepuszczenie niemieckich oddziałów atakujących Polskę przez swoje terytorium.

Po klęsce i upadku Rzeczypospolitej rząd Telekiego przyjął zaś z otwartymi ramionami i otoczył opieką 70–90 tys. polskich uchodźców. Zapewniono im kwatery, zasiłki, pozwolono na założenie szkół i organizacji. Wszystkie protesty zgłaszane w tej sprawie przez rząd III Rzeszy były odrzucane.

Teleki był wielkim przyjacielem Polski i prowadził konsekwentnie propolską politykę, mimo że podczas drugiej wojny oba nasze kraje znalazły się po przeciwległych stronach barykady. Gdy premier Władysław Sikorski zawierał w Londynie pakt z Józefem

Stalinem – węgierskie wojska maszerowały na Moskwę u boku Wehrmachtu.

Teleki tego już jednak nie dożył. 3 kwietnia 1941 r. strzelił sobie w głowę. Ablonczy na kartach swojej książki obala liczne teorie spiskowe, które narosły wokół śmierci węgierskiego premiera. ©©



★★★★★
**BALÁZS
ABLONCZY**
„PÁL TELEKI
(1879–1941)”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Niedoszły król Polski

Kiedy umierał Ludwik Węgierski, wydawało się, że wszystko w sprawie następstwa tronu w Budzie i Krakowie zostało ustalone. Szybko jednak się okazało, że zdanie zmarłych się nie liczy, gdyż madziarscy magnaci powołali na węgierski tron starszą z córek zmarłego, Marię. Pierwotnie miała ona

Jadwigę do poślubienia jednego z Piastów mazowieckich, Siemowita IV. Książę ten dotychczas nie mieszał się do wielkiej polityki, ale był w odpowiednim wieku i rok wcześniej objął władzę na zachodnim Mazowszu, co przysporzyło mu zwolenników na pobliskich Kujawach i w Wielkopolsce.

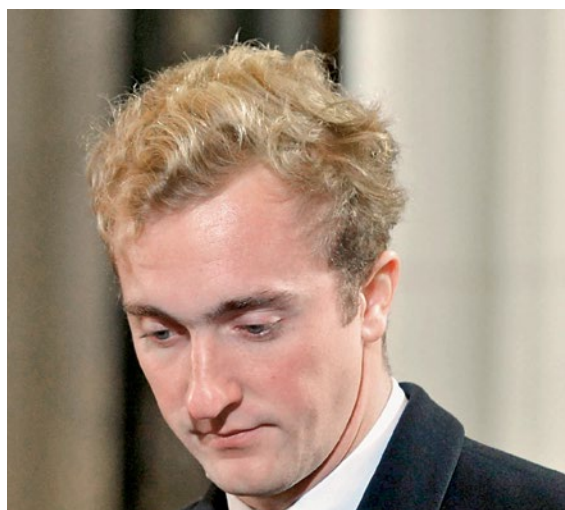
Pod koniec lutego 1383 r. w Sieradzu odbył się zjazd, na którym pojawiło się rycerstwo ze wszystkich dzielnic Królestwa Polskiego. Przedstawiciele wdowy po Ludwiku Węgierskim oficjalnie zgłosili kandydaturę Jadwigi na tron Polski, Polacy poprosili o miesiąc do namysłu. Sytuacja zmieniała się dynamicznie, gdyż do rywalizacji o koronę oficjalnie włączył się Siemowit. Mazowiecki Piast zdobywał zwolenników i gdy rycerstwo ponownie spotkało się w Sieradzu, okazało się, że miał już silne poparcie.

Podczas kolejnego zjazdu w Sieradzu, 16 czerwca 1383 r., na wniosek arcybiskupa gnieźnieńskiego Boddzanty, rycerstwo okrzyknęło Siemowita królem. Podobno na znak wyboru podniesiono go do góry, być może na tarczy. Nie było jednak insygniów królewskich, więc nie można było dokonać koronacji, a na zjeździe nie pojawili się najważniejsi świeccy dostojnicy. Większość z nich już planowała ślub córki Ludwika z księciem litewskim Jagiełłą, do czego udało się niebawem doprowadzić. Mazowiecki Piast nie został królem i musiał się pocieszyć małżeństwem z siostrą zwycięskiego rywala. ©©

Mazowiecki Piast musiał się pocieszyć małżeństwem z siostrą rywala

panować w Polsce i wobec tego wielkopolskie rycerstwo zjechało się do Radomska, a małopolskie do Wiślicy, by obradować nad przyszłością kraju. Sytuacja była jeszcze trudniejsza niż po śmierci Kazimierza Wielkiego, wówczas było dwóch pretendentów do korony, teraz właściwie żadnego. Zebrani byli niemal jednomyślni, potwierdzono prawa Andegawenów, ale kategorycznie sprzeciwiono się dalszej unii z Węgrami.

Uchwalono wysłać do Budy poselstwo, które miało zaproponować przysianie do Polski młodszej córki zmarłego, Jadwigi. Pewien niepokój wzbudzała jednak osoba jej narzeczonego, gdyż kategorycznie sprzeciwiano się niemieckiemu dynastii na polskim tronie. Dlatego coraz więcej zwolenników zyskiwał projekt, aby zerwać narzeczeństwo i nakłonić



FOT. STEPHANE LECOCQ/POOLER/RAP

ZACHOROWAĆ JAK KSIĄŻĘ

Można było pokornie siedzieć w domach, z sąsiadem machać sobie z okna, a można było czas koronawirusowego lockdownu spędzić jak księżę. A dokładniej – jak belgijski księżę. Media ujawniły bowiem, że księżę Joachim, bratanek belgijskiego króla Filipa, podczas lockdownu w Hiszpanii złamał reguły i bawił się na spotkaniu towarzyskim, na którym było 27 osób. W tym czasie rząd dopuszczał jedynie spotkania maksymalnie z 15 osobami. Księżę Joachim nie tylko się pobawił, lecz także zaraził koronawirusem. Teraz „głęboko żałuje” i jest gotów ponieść „wszelkie konsekwencje”.

PREMIER ZAPŁACIŁ MANDAT

Senator rumuńskiej opozycyjnej partii PSD Eugen Teodorovici opublikował fotografię ze spotkania premiera Ludovica Orbana z ministrami. Siedzą wokół zastawionego stołu, palą papierosy oraz cygara i... nie mają obowiązkowych maseczek. Premier publicznie przeprosił za niezachowanie dystansu społecznego. Dodał też, że za złamanie sankcji trzeba płacić. I zapłacił mandat w kwocie 3 tys. lei – czyli blisko 3 tys. zł.

ZĄŚMIECONE ŚRODOWISKO

W Bułgarii służby weszły do Ministerstwa Środowiska i zatrzymały wiceministra środowiska Krasimira Żiwkova. Zatrzymały też jeszcze pięciu pracowników tego resortu i kilku biznesmenów. Prokuratura uważa, że wiceminister wywierał presję na podwładnych i wymuszał zgody na import odpadów i ich spalanie. Przez to Włosi w nielegalny sposób pozbywali się niebezpiecznych odpadów, a wdychali je Bułgarzy.

NIEMIECKI ZIELONY ŁAD Z WĘGLA

Ponieważ niemiecka polityka energetyczna jest zbieżna z celami zielonego Ładu w UE i zakłada odejście od energetyki węglowej do 2038 r., to w Nadrenii Północnej-Westfalii właśnie uruchomiono nową elektrownię... węglową – Datteln 4. Nowa elektrownia jest też kolejną inwestycją (obok słynnego nowego lotniska w Berlinie), która rzuca nowe światło na takie hasła jak „niemiecka solidność”. Datteln 4 budowano 13 lat m.in. przez ciągłe usterek techniczne oraz spory sądowe.

MAŁPI NAPAD NA PRÓBKĘ COVID-19

W północnych Indiach, w mieście Meerut, obrabowano laboranta transportującego próbki krwi pacjentów chorych na COVID-19. Grupa małp wyrwała próbki mężczyźnie i uciekła. Nie wiadomo, co zwierzęta zrobiły z łupem, ale okoliczni mieszkańcy boją się teraz rozprzestrzenienia choroby – jeśli zakażona krew trafiła na tereny zamieszkałe przez ludzi. Na razie najbardziej poszkodowani byli chorzy, którym musiano ponownie pobrać krew do badań. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Najsłynniejsze dziecko świata



JACEK PRZYBYLSKI

Był maj 2007 r., gdy trzyletnia Madeleine McCann nagle zniknęła z pokoju hotelowego w Praia da Luz. Jej zaginięcie wstrząsnęło całym światem. Przez ponad dekadę rodzice dziewczynki wydali majątek na prywatnych detektywów (jeden z nich został znaleziony w kałuży krwi). Nieudolnie prowadzone śledztwo, które kosztowało już ponad 20 mln dol., długo nie przynosiło konkretnych rezultatów.

Co jakiś czas McCannowie byli też torturowani nowymi teoriami spiskowymi. W pewnym momencie o morderstwo własnego dziecka zaczęto podej-

rzewać samych rodziców Madeleine. Sugerowano, że para mogła przypadkowo spowodować śmierć dziewczynki, a następnie próbować zatuszować ten wypadek lub, że celowo wyjechali do Portugalii, bo wcześniej zdecydowali się ją sprzedać. Wielu internautów zarzucało też parze, że zarabia na „ściemie” związanej z zaginięciem dziecka. Po każdej decyzji o przedłużeniu śledztwa lub zwiększeniu budżetu na poszukiwanie dziecka para otrzymywała dziesiątki okrutnych wiadomości. W listopadzie 2019 r. Kate i Gerry McCannowie padli zaś ofiarą bestialskiego żartu – ktoś na Facebooku podał się za ich córkę.

Dopiero w ubiegłym tygodniu pojawił się nowy wiarygodny ślad. Prawdopodobnie dziewczynka została uprowadzona i zabita przez pedofila Christiana B., który w niemieckim więzieniu odsiaduje wyrok za gwałt na turystce. Czy ta hipoteza ostatecznie się potwierdzi, nie wiadomo. Pewne jest jednak, że ci sami internauci, którzy z taką łatwością ferują wyroki w sprawach, o których pobieżnie przeczytali w Internecie, gdy sprawa dotyczy ich samych, narzekają na falę internetowego hejtu. Może nadszedł więc już czas na wprowadzenie kar za obelgi i wyssane z palca oskarżenia. ©©



FOTO: STEPHANIE KETTER/CORBIS IMAGES

Lewacka przemoc



Łukasz Warzecha

Nie tylko Amerykanie nie mają wątpliwości, lecz także wiedzą to służby na całym świecie: Antifa jest groźna dla ładu i porządku

Jest 11 listopada 2011 r. przed godz. 12. Niewielka grupa rekonstruktorów z Wojskowej Akademii Technicznej, w mundurach z okresu Księstwa Warszawskiego, zmierza piechotą od ronda de Gaulle'a (skrzyżowanie Al. Jerozolimskich i Nowego Światu w centrum stolicy) do kościoła Wizytek, położonego około kilometra dalej, już przy Krakowskim Przedmieściu. Stamtąd mają wyruszyć w oficjalnym pochodzie z okazji Święta Niepodległości.

Po przejściu kilkuset metrów rekonstruktorzy widzą stojącą na chodniku grupę młodych ludzi, ubranych na czarno, którzy przyglądają się im wrogo. Nie ma wątpliwości, że to tzw. antyfaszyści. Niektórzy mówią po niemiecku. Kiedy rekonstruktorzy mijają już grupkę, jeden z młodych mężczyzn spluwa na idącego

na czele oddziału. Następnie podbiega do rekonstruktorza, zrzuca mu z głowy czapkę, próbuje szarpać. Rekonstruktor broni się za pomocą karabinu, kierując go kolbą w stronę napastnika. Szybko zjawiała się policja, odcinając i obezwładniając atakującego, który po angielsku próbował przekonywać, że sam został napadnięty jako pierwszy.

W okolicy był tego dnia również dziś już były dziennikarz Michał Majewski. Relacjonował wtedy, że członkowie grupy, której członek zaatakował rekonstruktorza, mieli na ubraniach widoczne napisy „Antifa”, a niektórzy byli wyposażeni w pałki.

Bojówki Antify brały tamtego dnia aktywny udział w zamieszkach, które wybuchały w różnych miejscach stolicy. Przed policją chowali się w kawiarni Nowy Wspaniały Świat, prowadzonej przez skrajnie lewicową Krytykę Polityczną w obszernym lokalu na rogu Nowego Światu i Świętokrzyskiej, na preferencyjnych zasadach dzierżawionym od miasta. Te wydarzenia staną się jakiś czas później powodem, dla którego KP straci to miejsce.

To był prawdopodobnie pierwszy moment, kiedy nazwa „Antifa” przebiła się do polskiej świadomości. Teraz powraca, gdy protesty w USA, spowodowane

śmiercią George'a Floyda, stają się okazją do demolki, kradzieży i zwykłej bandyterki. Prym – według części polityków i ekspertów – wiedzie znów Antifa.

WOJNA TOTALNA

Problem z Antifą jest podobny jak z Al-Kaidą – to nie jest jednolita, zorganizowana struktura. Większość raportów określa Antifę jako luźny ruch czy ideologię. To utrudnia walkę z tym radykalnie lewackim, odwołującym się do przemocy środowiskiem. Nie zmienia to jednak faktu, że służby na całym świecie nie mają wątpliwości: Antifa jest groźna dla ładu i porządku.

W Niemczech Antifa wielokrotnie inicjowała zamieszki, zwłaszcza w odpowiedzi na demonstracje sprzeciwu wobec przyjmowania imigrantów lub przy okazji spotkań międzynarodowych gremiów. Niemiecki Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (Bundesamt für Verfassungsschutz, BfV) – odpowiednik polskiej ABW – na swojej stronie o Antifie pisze tak: „Publikacje i oświadczenia [Antify] zachęcają do atakowania ekstremistycznych pravicowych demonstracji. Agitacja jest także skierowana przeciwko niektórym instytucjom państwowym i ich przedstawicielom. Publikowane są również adresy

i »pakiety informacyjne« o przeciwnikach politycznych, które można rozumieć jako zachętę do atakowania tych osób. W ramach »samopomocy antyfaszystowskiej« zaleca się, aby bojówkarze podejmowali działania przeciwko przeciwnikom politycznym, a w szczególności faktycznym lub rzekomym »nazistom«. BfV ostrzega, że działania Antify prowadzą zwykle do szkód materialnych oraz zagrożenia życia i zdrowia obywateli. Urząd zalicza członków Antify do lewicowych ekstremistów, dążących do przemocy, których liczbę w Niemczech w 2018 r. szacował na 9 tys.

Lakoniczny opis BfV dobrze ujmuje istotę rzeczy – bojówki Antify same dowolnie definiują sobie wroga i wytaczają mu totalną wojnę. Tym wrogiem mogą być przywódcy państw G20 czy G7, banki, liberalna prawica czy nawet kompletnie przypadkowa grupa historycznych rekonstruktorów. Przy tym rzekomi antyfaszyści są nastawieni wrogo do tego, co określają jako »system«, a co w praktyce oznacza całą otaczającą ich rzeczywistość, funkcjonującą w ramach gwarantowanego przez państwo ładu. Dlatego ich udział w demonstracjach zwykle oznacza bezzwzględną demolkę wszystkiego dookoła. »Antyfaszyści« z Antify uważają bowiem, że ład, w ramach którego funkcjonuje Zachód, jest co do zasady »faszystowski« i oznacza uciemiężenie »ludu«. Nieważne, że wcielając w życie swoją potrzebę niszczenia tego porządku, niszczą własność, na którą ludzie pracowali latami. Jeśli pracowali, to w ramach systemu, a system jest zły. Uderzenie we własność jest zatem zawsze dobre. Nawet jeśli jest to własność tak licha jak materac bezdomnego – by wspomnieć głośny film, na którym lewacka bandyterka w jednym z amerykańskich miast podpala materac kłoszarda przy jego głośnych protestach.

»Antyfaszyści« dawali o sobie znać wielokrotnie, przy czym ich gościnne występy w Polsce były w bardzo małej skali. W naszym kraju szczęśliwie nie ma atmosfery ani warunków, żeby Antifa mogła rozwinąć skrzydła. Warunki były choćby w lipcu 2017 r. w Hamburgu podczas szczytu G20, gdzie Antifa była bardzo aktywna w regularnej wojnie z policją. Koszt zniszczeń spowodowanych starciami oszacowano wtedy z grubsza na 12 mln euro. W tym samym roku, ledwo kilka tygodni później, doszło do nie mniej gwałtownych starć w Charlottesville w USA, a kilka miesięcy wcześniej, w kwietniu, w Berkeley. Już wtedy Donald Trump wskazywał właśnie Antifę jako odpowiedzialną za akty prze-

mocy. O możliwej delegalizacji organizacji wspominał zaś po raz pierwszy w ubiegłym roku, jak zwykle wykorzystując do tego Twittera. Jego deklaracja wywołała wówczas święte oburzenie zwłaszcza w niemieckich mediach społecznościowych, w których celebryci i lewicowi politycy zaczęli w odpowiedzi używać hashtagu #IchbinAntifa („Jestem Antifa”). W kategorii głupich gestów w społecznościach utożsamianie się z regularnie używającą przemocy skrajnie lewacką bojówką zajmuje wysokie miejsce.

ZACZĘŁO SIĘ OD ALTERGLOBALISTÓW

Korzeni Antify w jej wydaniu znanym dziś z mediów można szukać w ruchu antyglobalistycznym, który swoje mocne, acz mało chwalebne wejście zaliczył w roku 1999 podczas zamieszek w Seattle związanych z odbywającym się tam wówczas szczytem Światowej Organizacji Handlu. Straty we własności prywatnej, sprzedaży i usługach, które spowodowała wtedy lewacka koalicja różnych organizacji i ruchów, były szacowane na 20 mln dol. Specjaliści wskazują jednak, że źródła radykalnego lewackiego bojówkarstwa sięgają przynajmniej lat 80., gdy walczone z ruchami takimi jak Ku Klux Klan w USA.

Trzy lata temu ukazała się książka „Antifa: podręcznik antyfaszysty” („Antifa: The Anti-Fascist Handbook”). Jej autorem jest Mark Bray, historyk z Uniwersytetu Rutgersa w stanie New Jersey. W opublikowanym w sierpniu 2017 r. artykule w „The Washington Post” Bray pisał o Antifie: „To radykalna, wszechlewicowa polityka rewolucji socjalnej, zastosowana do walki ze skrajną prawicą. Przyznają się do niej głównie komuniści, socjaliści oraz anarchiści, którzy odrzucają zwracanie się do policji czy państwa w celu powstrzymania postępów białej supremacji. W zamian opowiadają się za powszechnym sprzeciwem wobec faszyzmu, co mogliśmy obserwować w Charlottesville”.

Bray tłumaczy dalej, że akceptacja Antify dla przemocy wynika z przekonania, że istnieje przemoc „dobra” i „zła”, a etyczna ocena jej stosowania musi uwzględnić kontekst. Ich przemoc jest „dobra”, ponieważ wymierzona w „białą supremację”. I to jest zapewne najważniejsza cecha Antify, która w połączeniu ze skrajnie rozszerzającym rozumieniem „faszyzmu” sprawia, że należy ją traktować jako strukturę skrajnie niebezpieczną.

Oglądając niezliczone już filmy, pokazujące przebieg protestów czy teraz już bardziej zamieszek w USA, można trafić na takie, gdzie Murzyni starają się zapobiec niszczeniu mienia przez ubranych na czarno, zamaskowanych białych, krzycząc do nich – nie bez racji – że to czarni będą winieni za szkody, a poza tym nie o to chodzi w proteście. Na antyfiarzach nie robi to jednak wrażenia, bo oni mają swój cel, odmienny od pierwotnego celu pokojowych protestów.

CO Z NIMI ZROBIĆ?

Donald Trump oświadczył, że Stany Zjednoczone będą chciały wpisać Antifę na listę organizacji terrorystycznych. Problemy z tą deklaracją są dwa. Pierwszy to ten, że – jak już była mowa – Antifa nie ma właściwie żadnej struktury organizacyjnej. Drugi to ten, że listę organizacji terrorystycznych prowadzi w USA Departament Stanu i mogą się na niej znaleźć wyłącznie struktury zagraniczne. Można sobie jednak wyobrazić umieszczenie tam konkretnych ogniw Antify, działających za granicą – np. w Niemczech. I byłoby to działanie w pełni uzasadnione.

Jeszcze inny pomysł ma republikański kongresmen ze stanu Indiana Jim Banks. W liście do dyrektora FBI przypomina kilka najnowszych przykładów działań Antify w USA. W czerwcu 2019 r. bojówkarze Antify pobili dziennikarza Andy’ego Ngo, który relacjonował protesty w Portland. W lipcu tego samego roku działacz Antify obrzucił koktajlami Mołotowa ośrodki amerykańskiej Służby Celnej i Imigracyjnej (ICE) w Tacomie. Został zastrzelony przez policję, a Akcja Antyfaszystowska w Seattle ogłosiła go „męczennikiem, który oddał życie w walce z faszyzmem”. Rok wcześniej Antifa ogłosiła listę z danymi 1,6 tys. pracowników ICE – była to część taktyki zastraszania i wskazywania celów, o której pisze niemiecki BfV. Dlatego Banks stwierdza, że Antifa wypełnia przesłanki uznania jej za wewnętrzną organizację terrorystyczną, opisane w Patriot Act, i proponuje, żeby biuro dodało Antifę do swojej listy skrajnych ideologii, co pozwoliłoby uznać ją za strukturę terrorystyczną, działającą na terytorium USA.

Stanowisko kongresmena z Indiany jest rozsądne i całkowicie zasadne. Tak właśnie należy Antifę traktować – nie tylko w USA, lecz także na całym świecie: jako groźną dla ładu państwowego, skrajnie lewacką bojówkę.



Piotr Włoczyk

Administracja Donalda Trumpa toczy bezpardonową wojnę z międzynarodowym lobby aborcyjnym. Najnowsza odsłona tego konfliktu to reakcja na zdumiewające zalecenia ONZ na czas pandemii koronawirusa



Światowa Organizacja Aborcyjna

27 marca, w szczycie pandemii COVID-19, gdy Stany Zjednoczone zanotowały właśnie 100 tys. przypadków zachorowań, a Włochy przekroczyły 10 tys. ofiar śmiertelnych, dr Antonella Lavelanet wygłosiła przez Internet wykład, który wyglądał jak ponury żart. Ta wysoko postawiona urzędniczka Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) tłumaczyła wówczas widzowi, że według najnowszych wytycznych WHO „wybór kobiet i prawa do opieki zdrowotnej w sprawach reprodukcyjnych powinny być przestrzegane bez względu na status [pandemii] COVID-19”.

Doktor Lavelanet, członek zespołu WHO ds. „Zdrowia Matczynego i Okołoporodowego oraz Zapobiegania Niebezpiecznym Aborcjom”, uczulała, że pandemia pandemią, ale zapewnienie przez państwa członkowskie ONZ dostępu do aborcji (legalnej, czyli „bezpiecznej”) musi być uznawane za rzecz absolutnie priorytetową. Coś jak utrzymanie ciągłości zaopatrzenia sklepów czy dostępu do wody pitnej.

Doktor Lavelanet, przedstawiona na jej oficjalnym profilu WHO jako specjalistka w zakresie „sprawiedliwości reprodukcyjnej”, podkreśliła podczas swojego wykładu, że WHO robi wszystko, by

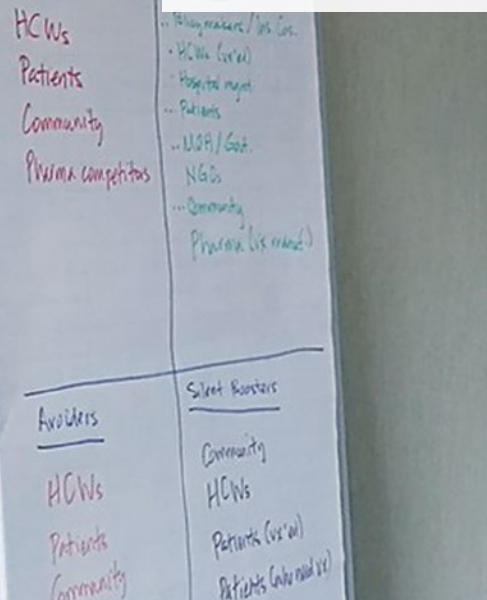
wspólnie z ONZ przekonywać kraje członkowskie o konieczności zapewnienia dostępu do „bezpiecznej” aborcji również w czasie pandemii.

Przypomniała też, że WHO zaleca, by kobiety mogły w domach „same dokonywać bezpiecznych aborcji, używając [tutaj podała nazwy środków poronnych – przyp. P.W.] aż do 12. tygodnia”.

Wystąpienie dr Lavelanet nie powinno być dla nikogo większym zaskoczeniem. WHO od wielu lat promuje na całym świecie, szczególnie w biednych krajach, skrajnie lewicową ideologię, daleko odchodząc od ideałów przyświecających

Doktor Antonella Lavelanet, wysoko postawiona urzędniczka WHO, oświadczyła, że „wybór kobiet i prawa do opieki zdrowotnej w sprawach reprodukcyjnych powinny być przestrzegane bez względu na status [pandemii] COVID-19”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



tej instytucji u zarania jej historii (WHO powstała w 1948 r. jako jedna z agend ONZ).

Nikt nie odmówi WHO ogromnych zasług w walce z m.in. gruźlicą czy cholerą, ale otwarte opowiedzenie się przez tę organizację za uniwersalnym „prawem do aborcji” postawiło ją, a tym samym ONZ, na kursie kolizyjnym z rządami, które prowadzą zgoła odmienną politykę. Ostatnio USA dały wyraźnie znać, że forum ONZ nie może być miejscem do promowania aborcji.

ABORCJNE PRIORYTETY

„Stany Zjednoczone stoją po stronie narodów, które opowiadają się za ochroną nienarodzonych” – napisał pod koniec maja John Barsa, szef USAid (Amerykańskiej Agencji ds. Rozwoju Międzynarodowego), do sekretarza generalnego ONZ António Guterresa. List wywołał lawinę krytycznych komentarzy ze strony międzynarodowych organizacji promujących legalną aborcję. Powodem interwencji Barsy były nowe wytyczne przygotowane przez ONZ dla państw członkowskich na czas walki z pandemią koronawirusa (tzw. Global Humanitarian Response Plan COVID-19).

Szef USAid apelował w nim do sekretarza generalnego ONZ, by kierowana przez niego organizacja „skupiła się na interwencji tam, gdzie można ratować życie, a nie włączaniu aborcji do katalogu najbardziej kluczowych usług zdrowotnych”.

Jego zdaniem „ten plan niestety jednak robi właśnie dokładnie to, cynicznie włączając zapisy o »seksualnych i reprodukcyjnych usługach zdrowotnych« w ten sam sposób jak bezpieczeństwo żywnościowe czy niezbędne świadczenia zdrowotne”. Amerykańska administracja zaapelowała o wykreślenie „klauzuli o aborcji jako niezbędnym komponencie priorytetów ONZ w sprawie walki z pandemią COVID-19”. „ONZ nie powinna używać tego kryzysu jako szansy na promocję aborcji uważanej za »niezbędną usługę«” – napisał Barsa.

Rzecznik sekretarza generalnego ONZ odpowiedział, że jego szef ustosunkuje się do listu. Podkreślił przy tym, iż „jakakolwiek sugestia, że wykorzystujemy pandemię COVID-19, aby promować aborcję, jest nieprawdziwa”. Pytanie, czy rzecznik widział wystąpienie dr Lavelanet i czy zapoznał się z planem ONZ na czas pandemii, w którym wielokrotnie podkreślono, że „prawa reprodukcyjne” muszą pozostać na szczycie listy priorytetów.

Apel Barsy spotkał się z ostrą odpowiedzią bodaj wszystkich najważniejszych międzynarodowych organizacji zajmujących się promowaniem „praw reprodukcyjnych”.

„List USAid to zdjęcie maski. Oni tak naprawdę od lat brali WHO na celownik” – powiedziała „Guardianowi” Françoise Girard, szefowa Międzynarodowej Koalicji na rzecz Zdrowia Kobiet, nazywając list „bardzo niepokojącym”. „Sprawa praw seksualnych i reprodukcyjnych jest obecna w dokumentach ONZ od ponad 25 lat, więc mówienie, że nie ma tu konsensusu, jest nieprawdziwe” – dodała.

„To podły i niebezpieczny atak na niezbędne usługi zdrowotne w najgorszym możliwym czasie. Nieważne, co amerykański rząd mówi – aborcja jest fundamentalnym prawem, a opieka reprodukcyjna jest zawsze niezbędna, nawet w czasach pandemii” – stwierdziła z kolei Akila Radhakrishnan, przewodnicząca Globalnego Centrum na rzecz Sprawiedliwości (Global Justice Center). „Atak dyktatora Barsy na opiekę aborcyjną podczas pandemii COVID-19 to kolejna odsłona amerykańskiej strategii wstrzymywania

milionów dolarów pomocy zagranicznej, która staje się zakładnikiem w tej skrajnie antyaborcyjnej polityce”.

TRUMP JAK REAGAN

Akila Radhakrishnan, podobnie jak reszta kierowników międzynarodowych organizacji proaborcyjnych, nie może przeżyć jednego: Donald Trump przykreślił wszystkim takim organizacjom kurek z pieniędzmi. Jedną z pierwszych decyzji Trumpa po przeprowadzce do Białego Domu była bowiem reaktywacja tzw. polityki z Mexico City – wprowadzonej w 1984 r. przez Ronalda Reagana – która zabrania wydawania pieniędzy federalnych na wspieranie zagranicznych organizacji pozarządowych dokonujących lub choćby promujących aborcję. Odejsie od tej zasady było z kolei jedną z pierwszych decyzji podjętych przez administrację Baracka Obamy, gdy przejmował władzę po George’u W. Bushu.

Lobby proaborcyjne ochrzciło tę politykę mianem „światowej ustawy kagańcowej”, zarzucając amerykańskiemu rządowi, że będzie miał przez to krew na rękach. Niektóre organizacje międzynarodowe, odcięte od amerykańskich pieniędzy, poza promowaniem aborcji jako „prawa człowieka” zajmują się też m.in. walką z AIDS. Amerykanie odpowiadają jednak: „Prześcieńcie opowiadać światu, że aborcja to nie jest zabójstwo, to przywrócimy dla was finansowanie”.

„Kobiety – szczególnie biedne kobiety – będą cierpiały. Ludzie w ciąży [pregnant people] będą cierpieć z powodu trudności w dostępie do usług reprodukcyjnych” – alarmowała wówczas Open Society Foundations, instytucja założona przez George’a Sorosa, specjalizująca się m.in. w lobbowaniu na rzecz liberalizacji aborcji. OSF podkreśliła przy okazji, że stara się uzupełnić lukę finansową po Amerykanach, ale nie podała tu żadnej konkretnej kwoty.

Pod koniec maja Donald Trump ogłosił, że USA opuszczają WHO. Powodem są podejrzenia, które amerykańska administracja kieruje pod adresem Światowej Organizacji Zdrowia w związku z jej reakcją na pandemię koronawirusa. Waszyngton twierdzi, że WHO „kryła” Chiny i przyczyniła się tym samym do wybuchu pandemii. Czy po odejściu Amerykanów znajdzie się inny kraj członkowski, który równie stanowczo będzie się sprzeciwiał proaborcyjnej polityce WHO?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dominic Cummings (z lewej)
to główny doradca i najbliższy
współpracownik premiera Borisa
Johnsona FOT. PETER SUMMERS/GETTY IMAGES

Czarownik z Downing Street



Teresa Stylińska

Najważniejszy doradca premiera Wielkiej Brytanii określany jest przez komentatorów mianem „Svengali” – literackiej postaci uosabiającej złowrogi manipulatora

Pprzed żelazną bramą zamykającą wejście na Downing Street, przy której mieści się siedziba premiera, stoi młody człowiek w koszulce polo i z maseczką na twarzy. Trzyma transparent: „Odzyskajcie kontrolę. Wyrzućcie go od razu!”. Obok napisu widnieje fotografia, ale Brytyjczykom wcale nie jest potrzebna. Dla każdego jest oczywiste, kim jest ów człowiek, którego – nie zwlekając – należy wyrzucić. Wiadomo też doskonale, do czego nawiązują użyte słowa.

Ponieważ poza Wielką Brytanią nie jest to takie jasne, czytelnikom należy się słowo wyjaśnienia. Człowiekiem, o którym mowa, jest Dominic Cummings, główny doradca i najbliższy współpracownik premiera Borisa Johnsona. Wina, za którą

powinien ponieść karę, to złamanie zasad dystansu i izolacji obowiązujących podczas pandemii. A słowa „Get back control!” to hasło, pod którym przed czterema laty prowadzili kampanię zwolennicy brexitu – jak się okazało, nadzwyczaj skutecznie.

To on uchodził za mózg operacji brexitowej jako szef sztabu kampanii Vote Leave, nawet jeśli najbardziej wyrazistym i zarazem najbardziej prominentnym politykiem obozu brexitu był z pewnością Boris Johnson (choć wyrazistością śmiało konkurował z nim Nigel Farage z UKIP, Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa). To on wymyślił wspomniane hasło, proste i chwytliwe (sprawy brytyjskie powinny przecież być w rękach Brytyjczyków, a nie eurokratów z Brukseli, prawda?), a także czerwony autokar, na

którego boku wymalowano informację, ile milionów dziennie traci Wielka Brytania, bo musi płacić unijną składkę.

Sprawa Cummingsa nie schodzi z czołówek brytyjskich mediów, co poniekąd dowodzi, jak wyjątkową ma on pozycję – choć przecież jest „tylko” doradcą i nawet nie należy do Partii Konserwatywnej. Ta pozycja wynika głównie z rozwoju sytuacji na polu brexitu, choć nie tylko, bo Boris Johnson liczy podobno na Cummingsa również przy innych swoich planach. Wszystko to nakłada się w dodatku na obraz coraz bardziej podzielonego kraju. Jedni wiążą z Cummingssem nadzieje, inni zażarcie go nienawidzą. Nawet jeśli teraz zgodnie oczekują, że spotka go zasłużona kara.

ESKAPADA NA PÓŁNOC

Afera wybuchła 22 maja, gdy dzienniki „The Guardian” i „Daily Mirror” opublikowały wyniki wspólnie prowadzonego dziennikarskiego śledztwa. Ustaliły, że na początku kwietnia Dominic Cummings wraz z żoną i synkiem pojechał samochodem do Durham, miasta w północno-wschodniej Anglii, odległego o 400 km od Londynu. W pobliżu Durham się wycho-

wał, tu nadal mieszkają jego rodzice. Wyjazd stanowił jednak jaskrawe złamanie zasad izolacji, ponieważ żona Cummingsa, Mary Wakefield, dziennikarka tygodnika „The Spectator”, miała objawy zakażenia koronawirusem. Państwo Cummingsowie nie mieli zatem prawa opuszczać swego domu.

Na domiar złego nie był to jednorazowy wyskok. Dominic Cummings przy okazji miał zrobić sobie wypad do pobliskiego miasteczka Barnard Castle. Widziano go też w Durham później, podczas Świąt Wielkanocnych. Ujawnienie tych faktów spowodowało lawinę krytyki. Żądanie, by premier Johnson zdymisjonował Cummingsa, było w tej sytuacji oczywiste.

Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Cummings na konferencji prasowej oznajmił, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Tłumaczył, że musiał odwiedzić czteroletniego synka do dziadków, bo gdyby oboje z żoną musieli odbyć kwarantannę, kto zająłby się dzieckiem? A dlaczego pojechał do Barnard Castle? Ponieważ zanim mógł wyruszyć w długą drogę powrotną do Londynu, chciał się upewnić, czy wzrok ma w porządku. Na takie tłumaczenie Brytyjczycy wprost osłupieli (aż 78 proc. nie traktuje go poważnie) i nic dziwnego, że stało się ono przedmiotem niezliczonych kpin.

Uwadze obserwatorów nie uszło natomiast miejsce, w którym doradca premiera spotkał się z dziennikarzami, jest ono bowiem bardzo politycznie eksponowane. Konferencja odbyła się w ogrodzie na tyłach Downing Street 10, gdzie mają miejsce wystąpienia najwyższej rangi. Udostępnienie go Cummingsowi odebrało, trafnie, jako wyraz niezachwianego poparcia ze strony premiera.

Boris Johnson zresztą wcale tego nie ukrywa. Cummings, według niego, postępował „w sposób odpowiedzialny”, nie uchybił prawu ani zasadom. W regulacjach dotyczących izolacji jest bowiem mowa o „szczególnych przypadkach”, które uzasadniają odstępstwa. Konieczność zapewnienia opieki dziecku jest jednym z nich.

BARDZO SZARA EMINENCJA

Nic zatem nie wskazuje na to, by premier był skłonny pójść za głosem ludu. Tymczasem z ostatnich sondaży instytutu YouGov wynika, że odejścia doradcy Johnsona życzy sobie już 66 proc. badanych. Co bardziej znamienne, tak myśli również większość (52 proc.) tych,

którzy cztery lata temu głosowali za wyjściem z Unii Europejskiej. Mimo zasług Cummingsa dla sprawy brexitu.

Cummings jednak nie może odejść, bo jest potrzebny premierowi Johnsonowi i gronu najbliższych mu ludzi, ministrów zaangażowanych niegdyś w kampanię Vote Leave. Przede wszystkim, czego nieraz już dowiódł, jest skuteczny. Na ową skuteczność składają się – chyba w równym stopniu – nieszablony sposób myślenia i odwaga w działaniu. Dotyczy to nawet doboru współpracowników. Podczas gdy wielu polityków (i nie tylko polityków) najchętniej otacza się ludźmi, nad którymi łatwo górować, Cummings szuka jednostek nietuzinkowych. Szerokim echem odbiło się jego ogłoszenie sprzed paru miesięcy: szuka do pracy oryginałów i dziwaków, ludzi zdolnych i myślących, którym może zagwarantować, że pracując z nim, nie będą mieć czasu na własne życie, ale za to poznają sprawy, o jakich inni nigdy nie będą mieć pojęcia.

Rola Cummingsa jest zarazem pierwszoplanowa, bo sprawcza, i ukryta, jak przystało na najprawdziwszą szarą eminencję. Chrzest bojowy przeszedł w 2004 r., przy okazji referendum w sprawie powołania regionalnego parlamentu Anglii Północno-Wschodniej (pomysł odrzucono głosami 78 proc. wyborców). Cummings, aktywny po stronie „nie”, po raz pierwszy wówczas zastosował pomysły, które sprawdziły się później przy kampanii brexitowej: trzeba mieć dobre hasło i wyróżnik wizualny, który zapadnie ludziom w pamięć. W wypadku brexitu była to idea odzyskiwania kontroli i jaskrawo czerwony autokar.

Zasługą Cummingsa jest również wielkie zwycięstwo konserwatystów w wyborach do Izby Gmin z grudnia ubiegłego roku. Sukces przyniosła taktyka odważna, bo bardzo ryzykowna: skupienie kampanii w tych okręgach, w których przewagę mieli laburzyści. U jej podstaw legło założenie, że skoro większość Brytyjczyków pragnie brexitu, a Partia Pracy chce go storpedować, to jej wyborcy powinni ją porzucić i poprzeć konserwatystów. Tak też się stało.

PREMIER I JEGO PAN

Gdy brytyjscy politycy czy komentatorzy zajmują się Cummingsiem, chętnie sięgają po słowo „svengali”. Svengali to postać literacka, która w potocznym rozumieniu stała się uosobieniem złowrogiego manipulatora. Trudno powiedzieć, czy

w odniesieniu do Cummingsa to określenie ma oddawać jego wszechmoc czy może raczej umiejętność zaczarowywania rzeczywistości tak, by kształtowała się po myśli mocodawcy. „Na czele gabinetu stoi próżny narcyz, który bez swego Svengali jest niczym” – tak w rozmowie z dziennikarzem „Guardiana” podsumował współpracę Johnsona i jego doradcy jeden z deputowanych PK, wróg Cummingsa. Wśród konserwatystów też tacy są.

Do nowych rytuałów politycznych należy narzekanie na podziały, które w ostatnich latach przeorały społeczeństwa wielu krajów – od przywódców, partii i mediów do rodzin i zwykłych obywateli. Stosunek do brexitu podzielił Wielką Brytanię dokładnie tak samo, jak Amerykę stosunek do Donalda Trumpa, Turcję – kwestia islamu w życiu publicznym, Włochy – ocena polityki Matteo Salvini. Polityka Johnsona w sprawie epidemii to dodatkowy kamyczek wrzucony do tego ogródka, budzi bowiem wielkie i całkowicie zrozumiałe emocje. Czy słusznie nie wprowadzano ograniczeń? Czy później wahadło nie wychyliło się za daleko? Jak daleko można się posunąć w znoszeniu obostrzeń, by oszczędzić i ludzi, i gospodarkę?

Wokół Dominica Cummingsa, który ma chyba na decyzje rządu o wiele większy wpływ, niż może się wydawać z pozycji obserwatora, ogniskuje się więc wszystko, co jest obecnie ważne: brexit, koronawirus, układy w kręgach władzy. Wtajemniczeni utrzymują, że przy Downing Street i w ministerstwach ma on o wiele większą rzeszę wiernych ludzi niż sam premier. No i w dodatku premier też jest mu wierny. Kanclerz skarbu Sajid Javid nie odszedłby w lutym z rządu, gdyby w konflikcie z Cummingsiem, który chciał wprowadzić do ministerstwa swych ludzi, Boris Johnson nie wziął strony swego doradcy.

Daje to pewien, acz słaby jeszcze przedsmak tego, co może się dziać, gdy Johnson i Cummings zaczną wcielać w życie swoje kolejne zamiary. Jeśli wierzyć obserwatorom zorientowanym w planach rządu, to chodzi o ograniczenie wpływów urzędników służby cywilnej, bo wielu z nich, jak obaj uważają, sprzyja Unii i po cichu sabotuje brexit. To może oznaczać nowe pole konfliktu. Jednak, jak zauważa dziennikarka tygodnika „The Spectator”, „początek kadencji parlamentu to właściwy czas na zreformowanie Whitehallu [synonim rządu – przyp. red.] tak, by nie potrzeba już było Svengali”.

Na początku maja tego roku media obieğa wiadomość o pomocy, której papież Franciszek udzielił grupie transseksualnych prostytutek mieszkających w podrzymskiej miejscowości Torvaianica. Wskutek epidemii koronawirusa nie miały klientów i głodowały. Kilka z nich zwróciło się z prośbą o wsparcie do lokalnego proboszcza. Otrzymały je, co zachęciło do próśb kolejne. Proboszcz polecił im zwrócić się do Watykanu. Uznał, że papież pomoże, bo prostytutki pochodziły z Ameryki Łacińskiej. Miał rację. Do Torvaianicy ze wsparciem przyjechał jałmużnik Jego Świątobliwości, kard. Konrad Krajewski. Tłumaczył dziennikarzom, że Kościół pomaga wszystkim poszkodowanym, a prostytutki często nie mają dokumentów, więc nie mogą liczyć na państwowe wsparcie.

To nie pierwsza spektakularna akcja kard. Krajewskiego. Niemal dokładnie rok wcześniej zrobiło się o nim głośno za sprawą nielegalnego włączenia prądu w jednym z rzymskich budynków. Zyskał sobie wówczas przydomek „Robin Hooda papieża Franciszka”. Jałmużnik udał się do odciętej od energii i ciepłej wody nieruchomości w centrum miasta, zadłużonej na 300 tys. euro. W budynku mieszkało 450 osób – w większości imigranci, w części bezdomni Włosi, sporo dzieci. Kardynał samodzielnie zerwał pieczęcie nałożone na licznik i włączył prąd; mediom wyjaśnił, że sam będzie teraz płacił rachunki.

Bezprawne działanie purpurata wywołało krytykę prawicy; sugerowano, że wysyła imigrantom bardzo zły sygnał: możecie żyć nieodpowiedzialnie, bo ktoś i tak wam pomoże. Co więcej, włoskie media podały później, że korzyści z nieruchomości czerpie nielegalnie lewacka grupa, organizując tam rave parties, imprezy pełne alkoholu i narkotyków. Na jednej z nich w sylwestra 2019 r. zagrał zespół muzyczny definiujący się jako genderowo-prostytucyjno-narkotyczne lewicowe ekstremum. Lokatorzy, w tym dzieci, znoszą to, w zamian otrzymując możliwość dalszego zajmowania budynku.

ŻMUDNA KARIERA I NAGŁA EKSPLOZJA

Skąd Konrad Krajewski, 56-letni ksiądz z województwa łódzkiego, wziął się u boku papieża – i to w tak szczególnej roli? Przyszły kardynał święcenia kapłańskie otrzymał w 1988 r. z rąk



Kardynał Krajewski wiele rzeczy robi osobiście. Na zdjęciu rozdaje żywność na pl. Świętego Piotra FOT. MASSIMILIANO MIGLIORATO/CPPI/POLARIS/EAST NEWS

Autentyzm miłosierdzia czy flirt ze światem?



Paweł Chmielewski

Kardynał Konrad Krajewski, papieski jałmużnik, to jeden z najważniejszych polskich duchownych w Watykanie. Pomagając wbrew włoskiemu rządowi nielegalnym imigrantom czy finansując transseksualne prostytutki, purpurat ten przekształcił pozostający niegdyś w cieniu urząd w obiekt zainteresowania liberalnych mediów

abp. Władysława Ziółka, wówczas pełniący posługę biskupa pomocniczego Łodzi. W tymże roku uzyskał magisterium z teologii na KUL, a od roku 1990, po krótkiej posłudze w wiejskiej parafii, wyjechał na studia do Rzymu, rozpoczynając tym samym drogę, która miała przynieść mu w przyszłości purpurę. Przez trzy lata studiował liturgikę w Papieskim Instytucie Liturgicznym św. Anzelma, a wkrótce doktoryzował się w Papieskim Uniwersytecie św. Tomasza z Akwinu. Powrócił do Łodzi, gdzie otrzymał funkcję ceremoniarza abp. Ziółka; wykładał też w łódzkim seminarium i został, na krótko, jego prefektem.

Posługę ceremoniarza pełnił podczas pielgrzymki św. Jana Pawła II do Polski w 1997 r. Później na stałe trafił do Rzymu, gdzie otrzymał posadę w Urzędzie Papieskich Celebrazji Liturgicznych. Wreszcie w roku 1999 został papieskim ceremoniarzem i na tym stanowisku spędził kilkanaście lat, podczas których dosłużył się kilku godności honorowych.

Jak deklaruje w wywiadach, był zadowolony ze swojej posługi i nie szukał awansów. A jednak jego kościelna kariera wystrzeliła błyskawicznie dzięki Franciszkowi. 3 sierpnia 2013 r. Ojciec Święty nominował go na biskupa i uczynił swoim jałmużnikiem. Święcenia przyszły kardynał otrzymał we wrześniu, za dewizę przyjmując jedno słowo – Misericordia, miłosierdzie. Wreszcie w czerwcu 2018 r. został mianowany kardynałem (najmłodszym w ówczesnym składzie Kolegium Kardynalskiego), a w październiku tamtego roku stał się członkiem Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, którą kieruje ghański kardynał, Peter Turkson, watykański ekspert od klimatu.

Czemu Konrad Krajewski zawdzięczał zainteresowanie papieża? Sam twierdzi, że to dzięki posłudze ubogim, którą świadczył od lat w Rzymie; wraz z siostrami albertynkami lub siostrami prezentkami wychodził na przyległe do Watykanu ulice i zanosił biednym jedzenie. Ktoś miał zainteresować tym Ojca Świętego i ten, zafascynowany, włączył Krajewskiego do grona swoich familiars, najbliższych współpracowników.

PRACA DLA UBOGICH

Kardynał mawia, że podejmując decyzje, zastanawia się, co zrobiliby Jezus i Franciszek, bo to jest zawsze to samo. Pochwalne tony pod adresem papieża Bergoglio to stały element wizerunku

Krajewskiego. Przedstawia się jako przedłużenie papieskiego miłosierdzia. W istocie, powinien nim być z racji urzędu; do jego zadań należy rozdawanie ubogim pieniędzy następcy św. Piotra, a także podpisywanie papieskich błogosławieństw. Krajewski zarządza dużymi kwotami; w ubiegłym roku wydał ok. 4,5 mln euro; koordynuje też poważne operacje, jak przekazanie do Chin 700 tys. maseczek do walki z COVID-19.

Posługę jałmużnika uczynił medialnie interesującą nie tylko za sprawą prostutek i licznika prądu. Pod kolumnadą na placu św. Piotra zainstalował prysznic dla bezdomnych, z których korzysta codziennie ok. 200 osób. Wraz z papieżem otworzył też noclegownię w eleganckim Palazzo Migliori pod samymi murami Watykanu. Kardynał wiele rzeczy robi osobiście; gdy do Rzymu dotarła polska pomoc do walki ze skutkami koronawirusa, pod okiem aparatów własnoręcznie wyładowywał kartony. Z kolei kiedy 12 marca tego roku wikariusz generalny Rzymu, kard. Angelo de Donatis, ogłosił całkowite zamknięcie kościołów Wiecznego Miasta, nawet dla prywatnej modlitwy, kard. Krajewski się nie podporządkował. Jego kościół tytularny, Santa Maria Immacolata na Eskwilinie, pozostał otwarty, a purpurat osobiście wystawił Najświętszy Sakrament do adoracji. Bardzo możliwe, że i w tym wypadku działał w porozumieniu z papieżem. W porannej homilii z 13 marca Franciszek potępił decyzję wikariusza generalnego, co spowodowało jej zmianę jeszcze tego samego dnia i ponowne otwarcie kościołów.

Purpurat nie stroni też od wchodzenia w konflikt z przedstawicielami polityki. W 2019 r. spierał się z byłym wicepremierem i szefem włoskiego MSW, Matteo Salviniem z Ligi Północnej. Salvini podejmował decyzje trudne i twarde, przede wszystkim zamknął porty dla statków transportujących przez Morze Śródziemne tzw. uchodźców. Unijna lewica krytykowała jego politykę jako niehumanitarną. Do tej oceny przyłączył się Watykan. Kardynał Krajewski zadeklarował publicznie, że Salvini nie mógłby otrzymać papieskiego błogosławieństwa, właśnie ze względu na kwestię migracji; wymienił go jednym z tchem ze szpitalami wykonującymi aborcję oraz członkami komunistycznego reżimu Wenezueli.

W kontrze do polityki ochrony granic Italii występuje dużo częściej. Niedawno zaproponował, by proboszczowie na

południu Włoch rejestrowali w swoich domach migrantów i legalizowali tym samym ich pobyt w Italii. Wcześniej postawił też na obrzeżach Rzymu prysznic i toalety dla tzw. uchodźców, ba, oddał im też własne mieszkanie. W jego postępowaniu prawicowa prasa widzi nie tylko czyny miłosierdzia, lecz także politykę – zgodną z agendą radykalnej lewicy.

W Polsce papieski jałmużnik bywa regularnie, ale dość rzadko komentuje krajowe sprawy. W 2016 r. zdecydował się udzielić wywiadu telewizji TVN. Choć deklarował, że jest dumny z bycia częścią Kościoła w Polsce, nie żałował też gorzkich słów, twierdząc, że „w genach” mamy „niszczenie wszystkiego”. Głośnym echem odbiły się też jego słowa o homoseksualistach wypowiedziane podczas pielgrzymki na Jasną Górę w 2019 r. Kardynał rozważał, co zrobiłby jako biskup Białegostoku lub Torunia, gdzie nieco wcześniej odbywały się parady aktywistów LGBT. „Myślę, że gdybym był tam biskupem [...] to zaprosiłbym wszystkich do katedry, w tych biustonoszach na głowie, w garnkach” – stwierdził, powołując się na Jezusa. Zacytował też słynne papieskie słowa: „Kim jestem, żeby osądzać”, wykorzystywane na całym świecie przez katolewicę do forsowania progejowskiej agendy.

POKLASK LIBERALNEGO ŚWIATA

Czyny i słowa kard. Krajewskiego są niezwykle prowokujące. Drażnią jednak wyłącznie chrześcijańską prawicę, a liberalom pozwalają zachwycać się jego postacią i samym papieżem Franciszkiem. Tym samym papieski jałmużnik staje się, nolens volens, elementem szerokiej strategii pontyfikatu Jorge Bergoglio, polegającej na zdobywaniu przychylności dominującego w świecie zachodnim nurtu lewicowego.

Czy w ostatecznym rozrachunku doprowadzi to do czegoś dobrego dla Kościoła, pokaże przyszłość? Historia jednak uczy jednego: od liberałów Kościół nie powinien spodziewać się niczego dobrego. Pokazała to choćby epidemia koronawirusa, kiedy ta sama lewica, która tak silnie rozdmuchuje „nowy styl” papieża Franciszka, gardłowała przeciwko publicznej mszy świętej, domagając się radykalnego ograniczenia wolności kultu. Na to kard. Krajewski się nie zgodził. Być może w przyszłości papieski jałmużnik ostrożniej będzie podchodził także do innych elementów lewicowej agendy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Konradem Szymańskim, ministrem ds. europejskich rozmawia Antoni Trzmieł

To nie my jesteśmy dziś w defensywie

ANTONI TRZMIEŁ: Po dwóch miesiącach kryzysu Ursula von der Leyen przedstawiła projekt Funduszu Odbudowy. Sporo większy, niż zapowiadały przecieki, ale pan wie, że w Unii zawsze jest „sukces” i „historyczne porozumienie”. Dlaczego ten sukces zdaniem polskiego rządu ma być „lepszy”?

KONRAD SZYMAŃSKI: Nasze krytyczne opinie o reakcji Unii Europejskiej na kryzys pandemiczny z końca marca były oparte przede wszystkim na zarzucie małej skali pomocy unijnej dla europejskiej gospodarki.

Instrument Odbudowy zakłada 500 mld euro grantów i 250 mld euro

pożyczek, a więc polski postulat, by pracować nad działaniami o dużej skali, został spełniony. Polska będzie jednym z głównych beneficjentów nie tylko budżetu UE, lecz także dodatkowego Funduszu Odbudowy. Dlatego uznaliśmy, że propozycje Komisji Europejskiej są dobrym gruntem pod nowy początek negocjacji.

Dodatkowe 750 mld euro jest abstrakcyjne. Ale to mniej niż oryginalny, amerykański, plan Marshalla.

Jak widać, chętnie używana w Brukseli analogia do planu Marshalla zwozi na

manowce. Fakty są takie, że Europa musi pomóc sobie sama.

I to kasa z naszych, poturbowanych, gospoderek, a nie z zewnątrz.

A kto dziś miałby interes, by inwestować w odbudowę europejskiej gospodarki, z wyjątkiem Europejczyków? Nie jesteśmy po wojnie. Swoją drogą wartość planu Marshalla przemnożona przez inflację to jednak mniej niż Fundusz Odbudowy, jeśli będzie zrealizowany w całości.

Podkreślmy: jeśli. A co rusz słyszymy: silna Unia, odpowiedź unijna, unijna solidarność. Podczas gdy jej budżet to nieco ponad procent budżetów państw ją tworzących...

Unia Europejska nie ma innych pieniędzy niż te, które są jej powierzone przez państwa członkowskie. Jeśli wspólny rynek ma dobrze funkcjonować, to musimy mieć zdolności transferowe. One są ograniczone, bo UE to żadna federacja, ale te pieniądze mogą istotnie pomagać w działaniach anty-kryzysowych poszczególnych państw.

I tu wkracza Fundusz Odbudowy. Wedle projektu von der Leyen w Polsce to ma być drugie tyle, ile we wszystkich tarczach Morawieckiego. Najlepiej, by się nałożyły na siebie niczym fale.

Zrobimy wszystko, by te pieniądze dobrze zaspokajały potrzeby polskiej gospodarki – dziś najważniejsza jest ochrona miejsc pracy. Już przystąpiliśmy do prac nad narodowym programem odbudowy, który stanie się w finale podstawą do wydawania tych pieniędzy.

Czyli co? Wielkie inwestycje, Centralny Port Komunikacyjny?

Dzięki odważnym ruchom premiera Morawieckiego, licznym krajowym programom wsparcia gospodarki Polska znosi konsekwencje tego kryzysu lepiej niż unijna średnia. Utrzymanie poziomu inwestycji, pomoc w płynności firm, działania osłonowe dla firm małych i średnich to są bezprecedensowe wydatki publiczne. Chcielibyśmy, by transfery unijne wpisywały się w te działania, które przynoszą dziś skutki.

To zrozumiałe, że Włochy i Hiszpania dostały tu najwięcej, bo one najbardziej „poległy na koronawirusie”. Zwłaszcza że ich gospodarki już wcześniej były „kulawymi kaczkami” Europy. Dlaczego Polska jest jednak na trzecim miejscu netto?

Same wskaźniki PKB to nie wszystko. Zwracamy uwagę, że nowe programy

FOT. ALEXANDRA SAMUEL / REPORTER

pomocowe nie mogą zatrzymać konwergencji gospodarczej kontynentu.

**Przecież rząd chwali się, że z COVID-19 poradzi-
liśmy sobie najlepiej! A nasz wzrost gospodarczy
przed pandemią – wedle Eurostatu – był najwięk-
szy spośród dużych państw Unii. Mamy też szybciej
wyjść z popandemicznego kryzysu niż Niemcy. Jeśli
tak, to nasze miejsce na podium jest – nazwijmy to
ogólnie – nielogiczne.**

My radzimy sobie dobrze, ale to nie oznacza, że jesteśmy na tym samym poziomie co bogate kraje Zachodu, które nie zmarnowały lat powojennych. Sytuacja, w której kraje obiektywnie biedniejsze płacą na rozwój krajów obiektywnie bogatszych, szczególnie per capita, byłaby politycznie nie do obrony.

Bruksela to zrozumiała? Nie wierzę.

Polskie argumenty są dobrze rozumiane w Europie. Jednak wiele batalii jeszcze przed nami. Punkt wyjściowy uzyskaliśmy dobry. To nie my jesteśmy dziś w defensywie. Bardziej mnie martwi, kto będzie podważał pozycję Europy Środkowej w tym rozdaniu.

Kto?

Paradoksem jest, że ograniczenia finansowe narzucają Unii państwa, które uważają się za najbardziej pro-europejskie. Ba, które próbują rozliczać „z europejskości” np. Polskę. Dziś pozycję budżetową Unii najbardziej osłabiają kraje Północy, które namawiają UE do niekończących się oszczędności.

I teraz „czwórka skąpców” zyskała nowy argument – COVID-19.

Te kraje chętnie zapominają, że są największymi beneficjentami wymiany handlowej na wspólnym rynku, czerpiąc często siedmiokrotnie większe zyski niż ich składka do UE. My im o tym przypominamy. Polska uważa, że to nie jest dobry czas na oszczędności.

Przewodnicząca Ursula von der Leyen mówiła o zamknięciu negocjacji w te wakacje, a więc za prezydenturę niemieckiej. Zwłaszcza że już wcześniej, przed pandemią, spóźnienie z siedmiolatką było ogromne.

O Wieloletnim Ramy Finansowe spieramy się od ponad dwóch lat. O Funduszu Odbudowy zaczęliśmy rozmowy w marcu. Wiele z polskich postulatów się w tej dyskusji przebiło, ale jeszcze wiele bitew przed nami. Propozycje Komisji dają szansę na nowy start. Brak uzgodnienia przed

końcem roku byłby porażką polityczną całej UE. Mam nadzieję, że wszyscy to rozumiemy.

Ciężar rozmów spoczywał na ministrze ds. europejskich czy Mateuszu Morawieckim?

Decyzje i kluczowe rozmowy w sprawie siedmioletniego budżetu UE to dziś jedna z kluczowych misji premiera. Na końcu musi być decyzja Rady Europejskiej, wszystkich szefów rządów. Staram się w tym procesie pomagać, ale wiele argumentów pada tylko w cztery oczy. To są oczywiście oczy premiera i jego rozmówców we wszystkich stolicach UE.

Na czym polegał udział prezydenta Andrzeja Dudy?

To, że w Polsce nie mamy rozdźwięku w ośrodkach władzy, bardzo Polskę wzmacnia. Nie ma dziś ryzyka rozgrywania Polski za sprawą podziałów politycznych i zwykłej gry. Prezydent chętnie podejmuje tematy europejskie w swoich licznych kontaktach. Fakt, że nasi rozmówcy słyszą za każdym razem to samo, że jesteśmy drużyną, jest bardzo ważny.

Wszystko fajnie, tylko gdzie jest haczyk? Polityka rolna?

Rolnictwo nawet zyskuje.

Dobrze, dobrze, nie ma darmowych obiadów. Co więc oddaliśmy w negocjacjach – perspektywę finansową czy „nowy wspaniały zielony ład”?

Polska zyskuje zarówno w siedmioletnim budżecie, jak i w Funduszu Odbudowy. Przyszłość transformacji klimatycznej to wielka batalia, która jest jeszcze przed nami. Polska musi mieć scenariusz dostosowany do naszych potrzeb i naszych warunków gospodarczych.

Jacek Saryusz-Wolski obawia się, że za te pieniądze Bruksela przejmie praworządność – na co ma chrapkę.

Polska prowadzi spór o powiązania budżetu z praworządnością od ponad dwóch lat. To spór nierówny, bo wielu państwom takie rozwiązania są na rękę. Nie możemy się jednak zgodzić na obchodzenie traktatu prawem wtórnym. Rozwiązania forsowane przez Komisję wprowadzają arbitralność i nieprzewidywalność. To jest zaprzeczenie pewności prawa, która jest paradoksalnie kluczowym wymiarem praworządności.

Pieniądze to tylko narzędzie polityki. Na jaką Unię się właśnie umówiliśmy, skoro premier Mo-

rawiecki powiedział, że „Unię Europejską trzeba wymyślić na nowo”?

Fundusz, oparty na zdolnościach pożyczkowych UE, oferujący granty i pożyczki, to jest nowość. Na czas kryzysu.

Czy taki model finansowania Unii się utrzyma na przyszłość?

Zobaczmy. To zależy od potrzeb. Jestem zwolennikiem Europy pragmatycznej, a nie Europy budowanej pod akademickie wizje – federalne czy inne. Dostosowujemy narzędzia i polityki do każdorazowych potrzeb państw członkowskich. Siła zintegrowanej Europy bierze się z siły państw, nie z ich osłabiania. To kluczowy polski wkład w tę dyskusję.

Lecz 750 mld euro oznacza, że Unia Europejska po raz pierwszy będzie emitować obligacje.

To jednorazowy mechanizm, który będzie miał ograniczony charakter – zarówno co do skali, jak i co do czasu trwania. Ta skala jest dwa razy mniejsza niż budżet UE, który przyjmujemy co siedem lat. Nie liczę preferencyjnych pożyczek, bo te spłaca państwa, które się na nie zdecydowały. A więc to przełom na miarę europejskich możliwości (śmiech). Nie mamy tu żadnego hamiltonowskiego momentu w historii Europy.

Alexander Hamilton doprowadził do uznania wszystkich długów amerykańskich stanów z czasów wojny o niepodległość za dług wspólny USA. To był krok milowy do powstania państwa.

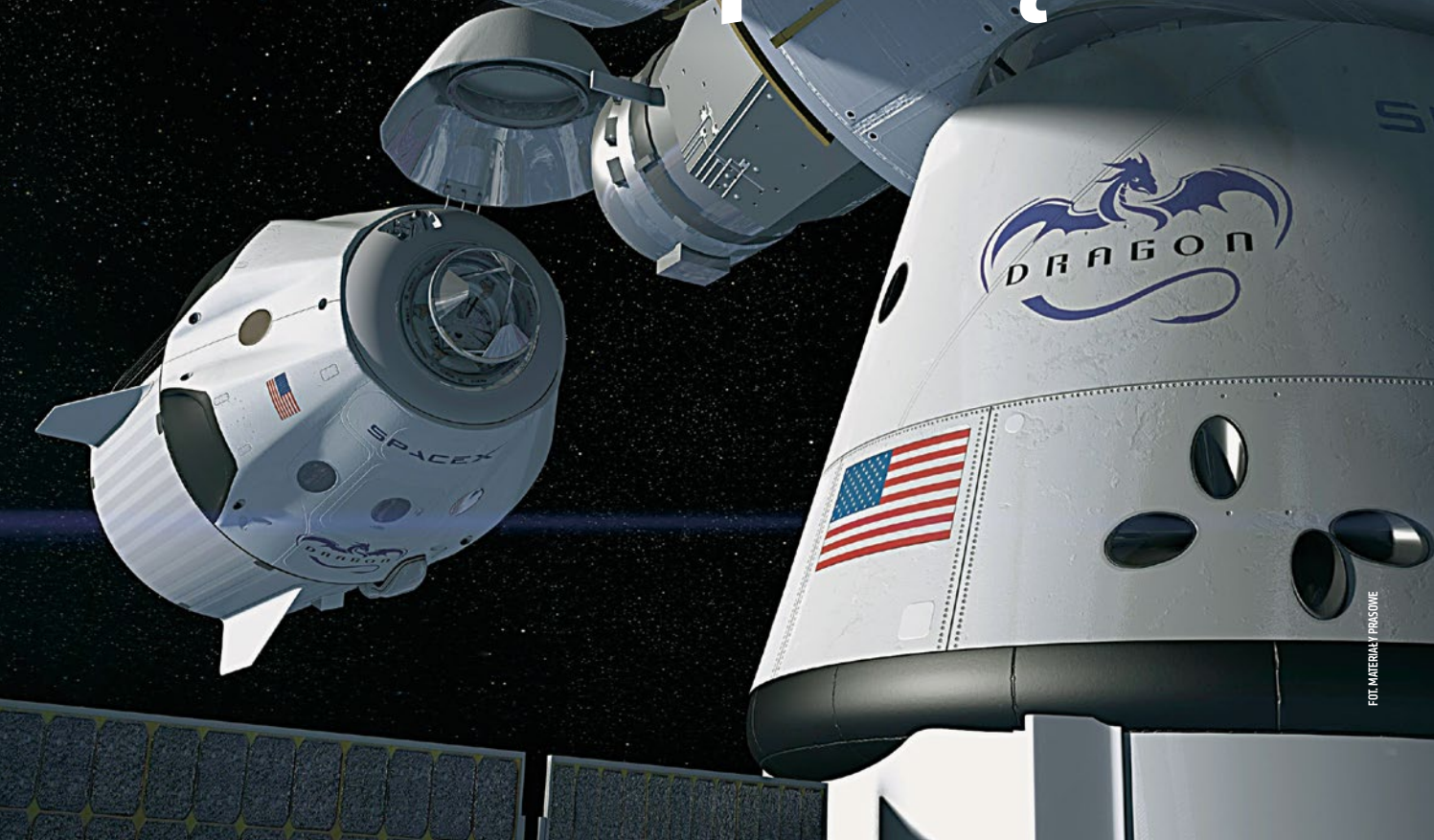
W Europie dług państw pozostaje tam, gdzie był – w stolicach. To unijna pomoc antyrecesyjna, zwrócona w przyszłość, jest wzmocniona. Paradoksalnie wyolbrzymione interpretacje tego ruchu powtarzają równie chętnie skrajni federaliści, chcący odtrącić święto integracji, i krytycy Europy, którzy łatwo się takim trwogom poddają.

A jak jest?

Unia zaciągnie dług gwarantowany przez państwa członkowskie w ściśle ograniczonej skali. Koszty będą rozłożone w czasie, a pożądany impuls finansowy przyjdzie szybko. My klócimy się o pieniądze, tak jak każdy w UE, ale także w polskim interesie jest, by Unia nie wpadała w kolejne kryzysy. To kluczowy rynek dla naszej gospodarki, nie mówiąc już o negatywnych politycznych konsekwencjach dezintegracji Zachodu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kosmiczne pieniądze



Jacek Przybylski

Udana misja Demo-2 to mały krok dla Elona Muska, ale wielki skok dla prywatnego przemysłu kosmicznego. Pierwsi turyści już szykują się do lotu nie tylko na orbitę, lecz także nawet na Księżyc

Sobota, 30 maja, godz. 15.22 czasu lokalnego. Miliony ludzi na całym świecie śledziły przed telewizorami start rakiety Falcon 9, który trwale zapisze się na kartach historii ludzkości.

Misja o nazwie Demo-2 była bowiem pierwszym lotem z terytorium Stanów Zjednoczonych od 2011 r., gdy wystartował ostatni prom kosmiczny Atlantis. 31 maja o godz. 15.16 kapsuła Dragon z dwoma astronautami NASA

na pokładzie precyzyjnie zacumowała do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Sukces „orbitalnego prywaciara” nie tylko oznacza bowiem początek ery lotów komercyjnych, lecz także tworzy podwaliny pod kosmiczną turystykę na niespotykaną dotąd skalę.

WAKACJE W KOSMOSIE

Na rozwój kapsuły Dragon firma SpaceX otrzymała od NASA 3,1 mld dol. Sukces misji oznacza nie tylko zarobek dla Elona Muska, lecz także duże oszczędności dla NASA. Po pierwsze dlatego, że sama NASA przyznaje, iż gdyby zamiast zlecać zadanie budowy rakiety i kapsuły prywatnej firmie, zdecydowała się zrobić to samodzielnie, to rachunek mógłby przewyższać nawet 4 mld dol.

Po drugie zaś, amerykańska agencja, od niemal dekady chcąc wysłać kosmonautów na Międzynarodową Stację Kosmiczną, była uzależniona od rosyjskich sojusów. Rosjanie, korzystając ze swego monopolu, wystawiali zaś Amerykanom

kosmicznie wysokie rachunki. Początkowo jedno miejsce na pokładzie trzyosobowego sojuza kosztowało 21 mln dol. Monopolista szybko zaczął jednak podbijać stawki i w 2019 r. przewóz jednego kosmonauty kosztował już 86 mln dol. Z danych NASA wynika, że amerykańska agencja według stanu na lipiec 2019 r. zakupiła 70 miejsc w sojuszu o łącznej wartości aż 3,9 mld dol.

Tymczasem bilet na pokładzie prywatnego dragona kosztuje „tylko” 55 mln dol. od osoby. Cena ma jednak spaść nawet do ok. 20 mln dol. SpaceX to firma, która ze start-upu, w który Elon Musk wbrew radom rodziny i przyjaciół zainwestował 100 mln dol. prywatnych pieniędzy, niespodziewanie stała się wartym ponad 35 mld dol. graczem w międzynarodowym wyścigu kosmicznym. Udział w nim bierze zresztą coraz więcej prywatnych spółek. W ramach projektu „Starliner Boeing” w przyszłym roku chce wysłać na orbitę załogowy statek kosmiczny.

Koncern Lockheed Martin w tym roku zakończył już zaś kluczowe testy wytrzymałościowe i środowiskowe statku kosmicznego Orion, opracowanego z myślą o wysłaniu pierwszej od dekad misji załogowej poza rejon niskiej orbity okołoziemskiej. Celem Oriona może być np. Księżyc. Lockheed Martin chce zarabiać nie tylko na „biletach”, lecz także na transporcie ładunków. Na swojej stronie internetowej koncern zamieścił już formularz, za pomocą którego różne firmy lub osoby fizyczne mogą zgłaszać swoje pomysły na komercyjne wykorzystanie przestrzeni ładunkowej. Niestety, cena rynkowa za transport np. na nieoświetloną stronę Księżyca nie jest jeszcze ustalona.

Poza SpaceX Elona Muska kosztowne projekty, zakładające transport ludzi w przestrzeń kosmiczną, rozwijają również Virgin Galactic Richarda Bransona (tylko w pierwszym kwartale 2020 r. spółka odnotowała jednak aż 60 mln dol. straty, a wciąż nie ma nawet daty pierwszych lotów z pasażerami) oraz Blue Origin Jeffa Bezosa (dzięki rakiecie New Shepard ma ona zabierać turystów w Kosmos już za 250 tys. dol., czyli równowartość 1 mln zł). Sam założyciel Amazona przed dwoma laty stwierdził zaś w jednym z wywiadów, że całą swoją fortunę gromadzi po to, aby kiedyś spełnić marzenie o wysłaniu ludzi w Kosmos. Na razie spółki takie jak Blue Origin czy SpaceX przychodową część działalności starają się wzmacniać m.in. poprzez sprzedaż kubków, czapek i innych gadżetów. Otrzymują również potężne wsparcie finansowe z NASA.

STAŁA BAZA NA KSIĘŻYCU

Już pierwsze spadki cen za kosmiczny bilet sprawiły, że coraz bardziej realne są plany np. firmy Space Adventures, która już na przełomie lat 2021 i 2022 – we współpracy ze SpaceX – chce wysłać na orbitę grupę czworga turystów. Istniejąca od końca lat 90. XX w. spółka ma już w tym zakresie pierwsze doświadczenia. To właśnie z jej usług – a także pośrednio z oferty rosyjskiej agencji Roskosmos – skorzystał pierwszy kosmiczny turysta Dennis Tito, amerykański inżynier i miliarder, który w 2001 r. spędził kilka dni na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. W cenę podróży – szacowanej na 50–90 mln dol. od osoby – wliczony ma być kilkutygodniowy trening przed startem w Kosmos.

Stany Zjednoczone, Chiny i kraje Unii Europejskiej jeszcze w tej dekadzie planują rozpocząć wydobycie surowców na Księżycu

Jednym z kosmicznych turystów, który zna już wstępną datę swego lotu nie tylko na orbitę, lecz także na Księżyc, jest 44-letni Yūsaku Maezawa. Japoński biznesmen, który wraz z firmą SpaceX ma polecieć w kosmiczną podróż w 2023 r., na początku obecnego roku ogłosił nawet casting na partnerkę, która mogłaby mu towarzyszyć i z którą razem mogłby wykrzyczeć miłość z Kosmosu.

„Gdy ogarniamy mnie uczucie samotności i pustki, myślę tylko o jednej rzeczy: by nadal kochać jedną kobietę” – napisał biznesmen, który wie, co pisze, bo kochał już wiele jednych kobiet.

W ciągu kilku dni zgłosiły się 27 722 singielki, ale ekscentrycznemu bogaczowi się odwidziało i dwa tygodnie po opublikowaniu ogłoszenia ogłosił, że jednak w inny sposób poszuka miłości swego życia i partnerki na kosmiczny lot.

Według ujawnionego przed kilkoma tygodniami planu NASA już w 2024 r. na Księżycu ma wylądować dwoje astronautów (w tym pierwsza kobieta), wspieranych przez kosmicznego łazika. Ich celem będzie prowadzenie badań przygotowujących do budowy pierwszej stałej bazy. Amerykanie jeszcze w obecnej dekadzie chcą rozpocząć trwałą obecność na naturalnym satelicie Ziemi. Jedną z prawdopodobnych lokalizacji stałej bazy jest znajdujący się na południowym biegunie Księżyca krater Shackletona, którego dno kryje w sobie wodę.

POZAZIEMSKIE KOPALNIE

Podczas gdy światowe korporacje prowadzą kosmiczny „wyścig zbrojeń”, największe mocarstwa zaczynają traktować Księżyc jak ósmy kontynent Ziemi. Wyścig o to, kto pierwszy zacznie jego podbój, jest więc coraz bardziej zaawansowany.

W kwietniu 2020 r. prezydent Donald Trump podpisał rozporządzenie, na mocy którego Ameryka może wydobywać na Księżycu takie surowce, minerały czy metale szlachetnie, jakie tylko będzie chciała, bez zamiaru prowadzenia w tej sprawie jakichkolwiek międzynarodowych nego-

cjacji. Jednocześnie – jak w maju obecnego roku informował Reuters – Biały Dom szykuje międzynarodowe porozumienie, które ma pozwolić na rozpoczęcie wydobycia surowców na Księżycu.

Europejska Agencja Kosmiczna chce rozpocząć wydobywanie surowców z Księżyca do 2025 r.

Swój kawałek Księżyca chcą też mieć Chińczycy. W styczniu zeszłego roku ładownik Chang'e 4 oraz łazik Yutu-2 pobrały próbki gruntu z „ciemnej” strony Księżyca i szykują się do stałej eksploatacji ziemskiego satelity. Jeszcze w tym roku na Srebrnym Globie wylądować ma Chang'e 5. Cel: zebranie próbek i dostarczenie ich z powrotem na Ziemię. W ciągu najbliższych lat Chiny chcą zaś wysłać na Księżyc pierwszą załogową misję, a następnie utworzyć na satelicie Ziemi stację kosmiczną.

Największe mocarstwa mają chrapkę nie tylko na znajdujące się na Srebrnym Globie złoto, kobalt, żelazo czy nikiel, lecz także m.in. na posiadający ogromną wartość hel-3, czyli izotop, który można wykorzystywać np. jako paliwo w reaktorach fuzji jądrowej (na Księżycu może znajdować się nawet 5 mln ton helu-3). W przyszłości kosmiczne górnictwo mogłoby się stać nowym motorem globalnej czy raczej galaktycznej gospodarki.

Niewykluczone jest również, że część firm będzie chciała wydobywać surowce nie tylko na Księżycu, lecz także na Marsie. W lipcu 2020 r. Chiny chcą wysłać na Czerwoną Planetę zdalnie sterowanego robota. Nad udoskonaleniem nowego marsjańskiego łazika pracują też Stany Zjednoczone. Zadaniem łazika o nazwie Perseverance – który jest szybszy od poprzednich i wyposażony w kamery o wyższej rozdzielczości oraz w komputer o potężnej mocy obliczeniowej – ma być m.in. poszukiwanie śladów dawnego życia. Zebrane próbki skał oraz gleby miałyby zostać dostarczone na Ziemię na początku lat 30. XXI w. za pomocą rakiety, którą na Marsa dostarczyć ma kolejna misja zaplanowana na 2028 r. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będzie to pierwszy w historii start pojazdu kosmicznego z powierzchni Czerwonej Planety. Miliarder Elon Musk – właściciel SpaceX – ma zaś nadzieję, że wznowienie misji na Księżyc to „pierwszy krok” w podróż na Marsa. Ekscentryczny miliarder wciąż marzy o tym, aby być członkiem załogowej misji na Czerwoną Planetę i jednym z pierwszych kolonizatorów Marsa.



Jakub Wozinski

Poprzedni kryzys finansowy sprawił, że firma CD Projekt musiała zredukować zatrudnienie o połowę i zacisnąć pasa. W czasie obecnego stała się liderem warszawskiej giełdy i przeżywa najlepszy okres w swojej historii

Historia najsłynniejszego producenta gier komputerowych, twórcy serii „Wiedźmin”, była przedstawiana już wielokrotnie, ale chyba nikt do tej pory się nie spodziewał, że CD Projekt może stać się najwyższej wycenianą spółką w Polsce oraz liderem w swojej kategorii w całej Europie. Obecnie lider warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych wart jest ponad 38 mld zł, czyli więcej niż choćby PKN Orlen czy też KGHM.

OD POCZĄTKU POD PRĄD

Założona w 1994 r. przez Marcina Iwińskiego i Michała Kicińskiego spółka spełnia wszelkie kryteria historii o biznesie mającym swoje początki w garażu, a którego uwieńczeniem jest oszałamiający sukces na światowych rynkach. Historia polskiego producenta robi szczególnie wrażenie także dlatego, że jego właściciele nie zaczęli jako start-up z Doliny Krzemowej, lecz przez lata konsekwentnie budowali swoją markę na szczególnie trudnym rynku. Polska w latach 90. była prawdziwym rajem dla piratów, lecz Iwiński z Kicińskim jako jedni z pierwszych zaczęli przygotowywać polskie wersje zagranicznych gier. Wysiłek ich ciężkiej pracy można było bezkarnie powielić w tysiącach egzemplarzy, dlatego wiele osób patrzyło na nich z politowaniem. Ostatecznie jednak to ich strategia przyniosła powodzenie, bo gdy polskim rynkiem gier komputerowych zainteresowali się wreszcie światowi giganci, to właśnie im powierzono przygotowanie rodzimych wersji najbardziej popularnych gier. Początkiem wielkiej kariery CD Projektu było przygotowanie polskiej edycji „Baldur’s Gate”, w której głosu użyczyli słynni polscy aktorzy. W ciągu roku sprzedano aż 50 tys. egzemplarzy, co stanowiło ówczesny rekord.

W dobie pandemii koronawirusa na światowych giełdach dominuje czerwien spadków. Wyjątkami od tej reguły są przede wszystkim firmy farmaceutyczne, sieci handlowe oraz producenci gier. Nie inaczej jest na warszawskiej giełdzie, na której najlepiej radzi sobie właśnie CD Projekt, który od 2017 r. jest już zresztą częścią głównego indeksu WIG20. Choć trudno w to uwierzyć, giełda wycenia spółkę komputerową wyżej niż wszystkie najważniejsze polskie spółki energetyczne razem wzięte.

KRYZYS, KTÓRY PRZYNIOŚŁ SUKCES

Gdy w 2008 r. wybuchł poprzedni kryzys, zarząd CD Projektu został

lat posiada swój oddział w Los Angeles, który zajmuje się marketingiem oraz wszelkimi kwestiami biznesowymi, lecz nie grozi mu bynajmniej zamknięcie. Wręcz przeciwnie, pomimo coraz liczniejszych symptomów kryzysu firma rozwija się w bezprecedensowym tempie.

Szacuje się, że na świecie w gry komputerowe gra regularnie ok. 1,3 mld osób, a według najnowszych danych w nadchodzącym roku globalna wartość sprzedaży gier wzrośnie o ok. 9 proc. CD Projekt działa więc na bardzo perspektywicznym rynku, którego znaczenie zapewne wzrośnie jeszcze bardziej wobec pogłębiającego się kryzysu w innych branżach rozrywkowych. Według danych



zmuszony do zamknięcia oddziałów na Węgrzech i w Czechach. Współzałożyciel firmy Marcin Iwiński przyznawał później, że firma była naprawdę w kiepskiej kondycji. Tym razem jest zupełnie inaczej, ponieważ koronawirus sprawił, że ludzie zaczęli masowo poszukiwać wirtualnych rozrywek. Firma od kilku

Urzędu Komunikacji Elektronicznej transfer danych w kwietniu tego roku wzrósł w szczytowych momentach nawet o 140 proc. w stosunku do średniej z wcześniejszych miesięcy. Spory udział mieli w tym użytkownicy gier komputerowych, a podobne zjawisko odnotowano na całym świecie.

Ponad 96 proc. przychodów ze sprzedaży producent „Wiedźmina” wypracowuje poza granicami Polski, co czyni go prawdziwym mistrzem eksportu. I właśnie spodziewane wielkie zyski sprawiają, że CD Projekt stał się liderem całej polskiej giełdy. Inwestorzy wiążą wielkie nadzieje przede wszystkim z zapowiadaną na wrzesień premierą nowej gry „Cyberpunk 2077”, która ma się sprzedać w nakładzie ponad 30 mln egzemplarzy. Do tak oszałamiających liczb polska firma już jednak przywykła – w ciągu zaledwie dwóch tygodni od premiery gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon” w 2015 r. sprzedano aż 4 mln egzemplarzy, a do dziś blisko 30 mln. W ostatnich tygodniach sprzyja jej niewątpliwie także



CD Projekt znany jest w świecie głównie za sprawą gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon” (na zdjęciu główna postać – wiedźmin Geralt) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sprzedaży „Cyberpunk 2077” szacowany na ok. 2,5 mld zł nadal nie tłumaczy jednak, dlaczego spółka wyceniana jest aż na 38 mld zł. Jej dotychczasowe zyski osiągają wartość co najwyżej kilkaset milionów złotych rocznie, a prace nad kolejnymi przebojowymi produktami trwają zazwyczaj kilka lat. Innymi słowy, trudno oprzeć się wrażeniu, że giełda nie tylko przecenia moce przerobowe CD Projektu, lecz także potencjalne zyski ze sprzedaży. Tak naprawdę, aby obecna wartość firmy miała realne odzwierciedlenie w wynikach sprzedażowych, warszawska spółka musiałaby produkować nie jedną przebojową grę raz na kilka lat, lecz nawet kilka hitów rocznie. To jednak nie wydaje się prawdopodobne, gdyż CD Projekt znany jest z tego, że starannie przygotowuje każdą grę i długo dopieszcza wszystkie szczegóły, co zresztą znajduje później uznanie u fanów.

Dzięki serii gier z Wiedźminem w roli głównej CD Projekt stał się jedną z najbardziej rozpoznawanych na świecie marek, co znacząco wzmogło zainteresowanie jego akcjami. Niestety kondycja giełd w coraz mniejszym stopniu odzwierciedla jednak to, co rzeczywiście dzieje się w gospodarce. Interwencje banków centralnych na całym świecie w sztuczny sposób podtrzymały kursy akcji, choć w rzeczywistości świat wchodzi w okres sporej recesji. Innymi słowy, wartość spółek zajmujących się produkcją gier komputerowych wydaje się w sposób szczególny narażona na spekulacje.

Od czasu pojawienia się koronawirusa oglądalność najbardziej popularnych sieci streamingowych, takich jak Netflix czy też HBO, wzrosła o 20 proc. Wzrost zainteresowania ich usługami wróci jednak wkrótce do normy, podobnie jak w przypadku gier komputerowych. W nowej, kryzysowej rzeczywistości społeczeństwo będzie mniej skłonne do tego, aby wydawać pieniądze na gry komputerowe. W Stanach Zjednoczonych i wielu innych państwach, które stanowiły do tej pory główny rynek zbytu dla produktów CD Projektu, pojawiła się ostatnio prawdziwa armia bezrobotnych, co oznacza, że dla wielu osób rozpoczęło się już wielkie zaciskanie pasa. Branża gier komputerowych, choć ewidentnie zyskała w pierwszych tygodniach pandemii koronawirusa, w dłuższej perspektywie nie będzie w stanie utrzymać swojego triumfalnego marszu, gdyż jej

kondycja stanowi pochodną stanu całej gospodarki.

NOWA POLSKA SPECJALNOŚĆ

W wyjątkowo trudnych dla polskiej i światowej gospodarki czasach zdumiewający sukces CD Projektu nastroja optymizmem. Ktoś, kto dekadę temu zainwestował w akcje producenta „Wiedźmina”, może się teraz cieszyć z zysku na poziomie aż 21 tys. proc. Obecnie polska firma jest najwyżej wycenianą spośród wszystkich producentów gier komputerowych w Europie i prześcignęła nawet francuski Ubisoft. Od światowych liderów dzieli ją wciąż spory dystans, ale nie musi się już niczego wstydić. Wszystko to robi ogromne wrażenie, niemniej jednak pewne obawy może budzić to, że producent gier jest wyceniany lepiej niż choćby PKN Orlen. W porównaniu z naftowym gigantem, posiadającym własną sieć ponad 2,6 tys. stacji, rafinerii i elektrociepłowni, CD Projekt to wciąż tylko firma zatrudniająca nieco ponad 1 tys. osób, nieposiadająca żadnego rozbudowanego majątku trwałego (poza prawami autorskimi). Producent serii gier o Wiedźminie zasługuje bez wątpienia na słowa uznania, ale pomimo giełdowego sukcesu trudno go wciąż uznać za lidera polskiej gospodarki. Prawdziwy lider „ciągnie” za sobą wielu innych podwykonawców, a nawet całe branże. W przypadku grupy CD Projekt tego efektu jeszcze nie ma.

Po tegorocznej premierze „Cyberpunka 2077” firma zamierza skupić się na produkcji kolejnej, czwartej już części gry z wiedźmińskiej serii, której premierę zapowiedziano wstępnie na 2025 r. Niewykluczone, że warszawska giełda będzie już wtedy dla CD Projektu zbyt ciasna. Jego sukces przyczynił się także do tego, że w Polsce wykształciła się w ostatnich latach dość prężna branża producentów gier, która rozwija się w zdumiewającym tempie. W minionym roku jej giełdowa wartość wzrosła aż o 82 proc.

Tworzenie świetnych gier staje się powoli polską specjalnością eksportową, a sukcesy rodzimej branży budzą zainteresowanie inwestorów z naprawdę grubymi portfelami. Debiuty kolejnych producentów gier na warszawskiej giełdzie miały w ostatnich tygodniach miejsce nawet pomimo trwającej pandemii. To dobrze, że nową polską specjalnością eksportową stają się produkty bardziej zaawansowane technologicznie niż takie dotychczasowe hity, jak choćby pieczarki, mleko czy drób.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

to, że złotówka zauważalnie osłabła, zarówno w stosunku do dolara, jak i do euro.

WYCENA NA WYROST?

Zdaniem niektórych analityków ogromna popularność produktów CD Projekt oraz spodziewamy zysk ze



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Więcej propagandy!

Uprawiana przez rząd nachalna propaganda sukcesu jest – a co najmniej bywa – tak irytująca, że śledzenie jej nawet najspokojniejszych ludzi potrafi wyprowadzić z równowagi, a czasami wręcz doprowadzić do furii. Może jednak warto ją ścierpieć, zwłaszcza w wersji eksportowej, jeśli miałoby się okazać, że pomaga w budowaniu mitów, które z kolei odgrywają niepoślednią rolę w powstawaniu samospełniających się przepowiedni? Takich jak te o Polsce jako zielonej wyspie z lat 2008–2009 (copyright by Donald Tusk?), nad którą nigdy nie zachodzi słońce dla pragnących robić dobre interesy. A moc (w tym przypadku – pozytywna) takich samospełniających się przepowiedni potrafi być – także w gospodarce – przeogromna.

Co prawda tym razem nie mamy żadnych szans na przejście kryzysu suchą stopą – na pozostanie zieloną wyspą wzrostu w czerwonym morzu recesji, bo już obiema stopami tkwimy w nim co najmniej po łydki. Wszelako każda opowieść o tym, że Polska znajdzie się w wąskim gronie krajów, których PKB spadnie stosunkowo niewiele poniżej zera, jest dziś na wagę złota, a już na pewno na wagę złotych – i to miliardów złotych.

A takich zapowiedzi na szczęście nie brakuje. Po cząwszy od raportu Komisji Europejskiej, która prognozuje, że o ile średnio gospodarki państw UE skurczą się w 2020 r. o ponad 7 proc., o tyle Polski – „zaledwie” o nieco ponad 4 proc., a to

najlepszy wynik dla całej UE. Wynik biorący się rzecz jasna nie z tego, że walka z COVID-19 w jakiś cudowny sposób dotknie Polski mniej niż inne kraje, lecz z tego, że nasze tempo wzrostu w 2019 r. było znacznie wyższe niż pozostałych państw UE, czyli spada z wyższego poziomu. A na koniec 2021 r. gospodarka Polski ma być już zaledwie o 0,4 proc. poniżej poziomu z 2019 r. i będzie to trzeci najlepszy wynik w Unii – po Malcie (–0,1 proc.) i Luksemburgu, którego PKB na koniec 2021 r. zrówna się z poziomem z końca 2019 r. Z kolei według prognoz Międzynarodowego Funduszu Walutowego o ile światowa gospodarka krajów rozwiniętych skurczy się w 2020 r. średnio o 6,1 proc., o tyle polska „tylko” o 4,6 proc., a w 2021 r. wzrośnie o 4,2 proc. Sporo szans na wyjście z tego krachu w miarę obronną ręką dają naszej gospodarce także inne instytucje analityczne.

To prawda – od ustawicznego, nieustannego powtarzania korzystnych dla Polski prognoz, od kreowania mitu Polski+ do propagandy sukcesu droga niedaleka. Wszelako może warto, zwłaszcza teraz, podczas kryzysu – dla własnego dobra – nauczyć się jakoś znosić tę uprawianą przez rządzących polityków propagandę sukcesu. Uprawianą zresztą przez wszystkie kolejne rządy, choć – to prawda – z różną natarczywością. Znosić czy tolerować, w żadnym razie nie dając się jej uwieść, a czasami – gdy już się nie da inaczej – traktując ją po prostu jak okazję do dobrego ubawu. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Jak pomóc, by nie pomóc

Znajomy był naprawdę wściekły. Krzyczał do słuchawki. Wygrażał. Nie mnie na szczęście, ale rządowi. Miał poczucie – słuszne, niestety – że jako przedsiębiorca został zrobiony w bambuko.

Był wieczór 1 czerwca. Znajomy prowadzi niewielką firmę, wydawnictwo. Właśnie 1 czerwca miały termin przelania fiskusowi zaliczek na podatek dochodowy

zaliczek za marzec i kwiecień... do października. Oczywiście wszyscy, którzy wiedzą, jak działa system bankowy (a liczy się data kasowa), zaliczki już wpłacili. Zatem decyzja MF mogła pomóc tylko tym, którzy absolutnie nie mieli, jak tego zrobić, i byli przekonani, że w związku z tym będą zmuszeni do zwrotu całej pomocy. Wtedy właśnie mój znajomy wpadł w szal.

Od chwilowych ulg czy dotacji zawsze lepsze są systemowe zmiany, usuwające to, co najbardziej przeszkadza

od wypłaconych w marcu i kwietniu wynagrodzeń, prolongowanych w ramach Tarczy Antykryzysowej. Jako że normalny termin to 20. dzień każdego miesiąca, w czerwcu kumulowały się w ten sposób zaliczki za marzec, kwiecień i maj. Jednocześnie niezaleganie z jakimikolwiek należnościami jest warunkiem utrzymania korzyści z dowolnego programu pomocowego, więc kto z pomocy antykryzysowej skorzystał, choćby nawet miał nóż na gardle, ten musiał się jakoś sprężyć i zapłacić. Znajomy zapłacił.

Kilka godzin później rządowa telewizja ogłosiła, że Ministerstwo Finansów przedłuży termin wpłaty

Pytanie brzmi: Czy MF musiało podejmować decyzję dopiero ostatniego dnia, gdy upływał termin? Czy nie można było o niej poinformować tydzień wcześniej – i to szeroko, tak, żeby wiadomość dotarła do wszystkich pracodawców? To jednak pytanie retoryczne, bo mamy do czynienia z egzemplifikacją często stosowanej metody: zrobić coś, co teoretycznie pomaga przedsiębiorcom i czym będzie się można pochwalić, ale zrobić to tak, żeby mogło z tego skorzystać jak najmniej osób. Przypomina to manewr z obniżką CIT, którą władza tak intensywnie się chwaliła, a która dla najważniejszych dla państwa mikrofirm nie miała żadnego znaczenia.

Ogólnie zaś rzecz biorąc, zawsze lepsze od chwilowych zwolnień, ulg czy dotacji są systemowe, stałe zmiany usuwające to, co najbardziej przeszkadza. Przedsiębiorców przyciskają nieodmiennie koszty pracy, składki i biurokracja. I nawet najlepszy program pomocowy PFR tego nie zmieni. ©©

Brak wyborów mógłby dobić gospodarkę

Wybory prezydenckie powinny odbyć się 10 maja! Szkoda, że tak się nie stało, bo dziś, z perspektywy czasu, widać, jaki chaos opozycyjne siły próbowały nam wszystkim zafundować. Korzystając z okazji i przeciągając kwestię nowego terminu wyborów, Senat – za przyzwoleniem marszałka Grodzkiego – zaczął uprawiać nikomu niepotrzebne politykierstwo. Skończyło się ono tak, jak się skończyło, ale przecież niewiele brakowało, by przerodziło się to wszystko w poważne zagrożenie dla



Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

ciągłości urzędu głowy państwa, stało atakiem na procesy demokratyczne i jeszcze bardziej pogrzyżyło całą naszą gospodarkę poważnie doświadczoną koronakryzysem.

Na taką działalność zgody absolutnie być nie może ani teraz, ani w przyszłości. Niezależnie od tego, po której stronie politycznej barykady stoimy. Krótko mówiąc, niezależnie od tego, na kogo chcemy oddać głos w wyborach prezydenckich, powinniśmy mieć prawo go oddać. Kto tego

nie rozumie, kto nie dostrzega zagrożenia dla funkcjonowania państwa w tego typu działaniu, ten absolutnie nie powinien brać udziału w życiu politycznym. Ani tym bardziej budować swojej pozycji czy kariery na wykreowanym chaosie.

Pytanie, dlaczego opozycja – kosztem powagi państwa polskiego – postanowiła zablokować procesy demokratyczne, w zasadzie jest w tym momencie drugo- albo i trzeciorzędne. Przecież obywateli w trudnej obecnie sytuacji społeczno-gospodarczej nie powinny dodatkowo obciążać konflikty polityków. Szczególnie gdy na szali postawiono funkcjonowanie państwa, w dodatku w czasie, w którym znaleźliśmy się po przymusowym zamrożeniu gospodarki i relacji społecznych. Teraz, kiedy wszyscy próbujemy wrócić do normalności i odbudować zrujnowaną przez pandemię gospodarkę, kryzys prawny i polityczny wywołany obstrukcją związaną z terminem wyborów prezydenckich mógłby być gwoździem do trumny dla tysięcy polskich firm i milionów ludzi, którzy na skutek pandemii utracili miejsca pracy. Mało kto zdaje sobie bowiem sprawę, że zabawa w takie politykierstwo, a co za tym idzie – wakat na stanowisko prezydenta, miałyby poważne konsekwencje również dla całej polskiej gospodarki. Przecież to między innymi dzięki rozwiązaniom pomocowym opracowanym przez rząd i zatwierdzanym właśnie przez głowę państwa ta gospodarka ma szansę jak najszybciej z powrotem wjechać na tory dynamicznego rozwoju. Polityczna obstrukcja skutecznie i na bardzo długo proces ten by zahamowała. Tak samo jak polityczny kryzys skutecznie odstraszyłby potencjalnych inwestorów krajowych i zagranicznych, których również po kryzysie

bardzo będziemy potrzebować. Stabilna sytuacja polityczna to oczywista konieczność dla szybkiego powrotu do stabilności gospodarczej.

Coraz więcej obywateli zaczęło rozumieć, że wybory prezydenckie powinny odbyć się jak najszybciej. Niezależnie od tego, jak wyglądają sondaże, czy będzie druga tura i kto ewentualnie w niej wystąpi. Po to, by nie wyrzucić kraju do góry nogami i dać polskiej gospodarce szansę na w miarę szybki powrót do normalności. Przeciąganie liny, które uprawiała w tej kwestii opozycja, od samego początku nie miało żadnego sensu i było skazane na porażkę. Spory polityczne były, są i będą, to normalne w warunkach demokracji, ale nic nie usprawiedliwia dążenia do deprecjonowania parlamentu i zamachu na prawo oddania głosu w wyborach. Udział w głosowaniu jest niezbywalnym prawem każdego z nas. To fundament demokracji. Każdy, kto w jakikolwiek sposób próbuje nam je ograniczać, uderza właśnie w ten fundament.

Od kilkunastu dni Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa wraz z portalem fpg24.pl prowadzą w mediach społecznościowych akcję #chcemygłosowac. To akcja obywatelska, ponad podziałami politycznymi. Zachęcam do przyłączenia się do niej. Niezależnie od tego, jakie macie poglądy i na kogo zamierzacie oddać swój głos, powinniście mieć prawo go oddać i wybrać – według Was – najlepszego kandydata na prezydenta.

**Autor jest prezesem Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl**

**Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA**

Nie czekamy z założonymi rękami



Katarzyna Pinkosz

Chociaż wciąż nie ma przełomu w leczeniu koronawirusa, to dzięki poznaniu specyfiki wirusa i samej choroby jest ono skuteczniejsze

Grypę można przejść lekko, ale też można z jej powodu umrzeć. SARS-CoV-2 jest kilka razy silniejszy niż grypa i dużo bardziej nieprzewidywalny. Nie sposób stwierdzić, która osoba przejdzie zakażenie bezobjawowo, u której wystąpi tylko gorączka, u kogo rozwiną się śródmiąższowe zapalenie płuc, niewydolność oddechowa i pojawi się ryzyko zgonu. Na cięższy przebieg bardziej narażone są osoby starsze, mające choroby współistniejące, otyłe, a także mężczyźni, zwłaszcza palący papierosy lub byli palacze. Zdarzają się jednak 90-latkowie, którzy przechodzą COVID-19 lekko, a także młodzi ludzie, u których ma on ciężki przebieg. Przyczyna zapewne tkwi w genach.

ZAHAMOWAĆ WIRUSA

Wciąż nie ma leków wycelowanych przeciwko wirusowi. Stosuje się te, które sprawdziły się w innych schorzeniach. Tylko niektóre okazały się skuteczne.

Pierwszy zarejestrowany do leczenia wspomagającego COVID-19 był lek antymalaryczny (chlorochina). – Ma działanie przeciwzapalne i przeciwwirusowe. Hamuje dalszą fuzję komórki wirusa z komórką ludzką. Modyfikuje również receptor ACE-2, przez co wirusowi trudniej wejść do komórki – mówi doc. Jarosław Woron, farmakolog kliniczny.

Wpisanie do Charakterystyki Produktu Leczniczego chlorochiny „leczenie wspomagające zakażeń SARS-CoV-2” część ekspertów uznała za sukces, część krytykowała, wskazując na ryzyko działań niepożądanych i brak potwierdzonego działania w COVID-19. Europejska Agencja Leków na początku kwietnia wydała ostrzeżenie o możliwych działaniach niepożądanych, a w maju w renomowanym piśmie „Lancet” opublikowano artykuł, w którym wykazano, że pacjenci stosujący chlorochinę (lub jej pochodną: hydroksychlorochinę) mieli większe ryzyko zgonu niż ci, którzy jej



nie przyjmowali, zwłaszcza jeśli dostawali też antybiotyki (azytromycynę). WHO przestała rekomendować stosowanie chlorochiny, wycofały się z jej podawania także niektóre kraje. Jednak wielu ekspertów zgłosiło wątpliwości co do rzetelności publikacji w „Lancie”, stwierdzając, że na jej podstawie zmiana zaleceń jest zdecydowanie przedwczesna. – Każdy lek ma działania uboczne, trzeba go podawać tak, by leczenie było skuteczne i bezpieczne. Ważne jest właściwe dobranie pacjentów, ich monitorowanie, odpowiednie dawkowanie leku i niełączenie z innymi terapiami, które mogą spotęgować działania niepożądane, a także właściwe wyrównanie u chorego poziomu potasu i magnezu – dodaje dr hab. Jarosław Woron.

W niektórych szpitalach do chlorochiny dodaje się także leki stosowane w leczeniu zakażeń HIV, jednak nie mają one potwierdzonego działania na SARS-CoV-2. Od niedawna podaje się też remdesivir: lek stosowany w zakażeniach wirusem ebola, zaaprobowany do leczenia COVID-19 zarówno przez amerykańską, jak i europejską agencję

leków (FDA i EMA). W Polsce do tej pory był on stosowany tylko w niektórych szpitalach, w ramach badań klinicznych u osób w ciężkim stanie.

U części chorych na COVID-19 pojawia się tzw. burza cytokinowa: silna reakcja przeciwzapalna, która prowadzi do niewydolności wielonarządowej. Przestają pracować płuca, serce, nerki. – U tych pacjentów sprawdza się tocilizumab: lek, który hamuje odpowiedź zapalną. Po podaniu tego leku po dwóch-trzech dniach chorzy byli w o wiele lepszym stanie, to były niemal ozdrowienia. Warunkiem było zastosowanie go odpowiednio wcześniej, gdy narastały objawy niewydolności oddechowej – mówi prof. Krzysztof Tomaszewicz, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Zakaźnych UM w Lublinie.

LEKI Z OSOCZA

Żaden z leków nie sprawdza się u wszystkich chorych. Nadzieją jest podawanie osocza ozdrowieńców, które zawiera gotowe przeciwciała mogące neutralizować wirusa. Tę metodę stosuje się z dobrym skutkiem już w kilku szpitalach w Polsce. Nie wiadomo jednak, jak długo przeciwciała utrzymują się w osoczu, jak

długo będą w stanie zwalczać SARS-CoV-2 i w jakiej powinny być podane ilości. Być może jednak już za kilka miesięcy będziemy mieć lek składający się z samych przeciwciał z osocza ozdrowieńców. – Liczymy, że będzie miał silniejsze działanie niż samo osocze – mówi prof. Tomaszewicz.

Prace nad terapią już zostały rozpoczęte, prowadzi je polska firma farmaceutyczna wraz z Instytutem Hematologii i Transfuzjologii, lubelską kliniką i zespołem prof. Krzysztofa Pyrcia z UJ. – Trzeba sprawdzić ilość i jakość przeciwciał, ich zdolność do łączenia się i neutralizowania wirusa, by być pewnym, że terapia będzie działać – dodaje prof. Tomaszewicz. Liczy na rozpoczęcie prób klinicznych już za kilka tygodni. Jeśli okazałyby się skuteczne, ten „żywy lek” mógłby być dostępny dla chorych już późną jesienią. – Działamy w dużym przyspieszeniu, normalnie badania kliniczne trwają latami. Jesteśmy daleko przed znalezieniem rozwiązania w walce z koronawirusem, jednak musimy być aktywni, nie możemy czekać z założonymi rękami, aż sytuacja rozwiąże się sama – mówi prof. Tomaszewicz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

**JUŻ ZA TYDZIEŃ
W „DO RZECZY” RAPORT
„GOSPODARKA W CZASACH
KORONAWIRUSA”**

PARTNER
RAPORTU

LOTOS



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Polemika Kurbskiego i cara

Andrzej Kurbski, arystokrata urodzony w 1528 r. i pochodzący z rodu udzielnych książąt na Kurbach koło Jarosławia, brał udział w wyprawach Iwana IV Wasylewicza zwanego Groźnym przeciwko Chanatowi Kazańskiemu. Zasłużył się w 1552 r. zdobyciem stolicy, był też jednym z działaczy wybranej rady, która pod wodzą popa Sylwestra i bojara Aleksego Adaszewa próbowała zreformować Moskwę w duchu renesansu.

Kurbskiemu nie poszczyściło się w czasie walk o Inflanty z Litwą wspieraną przez Polskę. 19 sierpnia 1562 r. został pobity pod Newlem, za co car zesłał go do Dorpatu. Obawiając się kolejnych represji, uciekł w 1564 r. do litewskiego Wolmaru i przeszedł na służbę do króla Zygmunta Augusta. Kurbski brał w dalszym ciągu udział w walkach, ale po stronie polsko-litewskiej. Na czele własnej chorągwi jazdy, a także oddziału zbiegłych spod krwawej ręki cara Moskali. Za te zasługi król nadał mu rozległe włości i 28 wsi na Wołyniu, w okolicach Kowla.

Kurbski dał się szybko poznać jako niezwykle publicysta polityczny, wysyłający do Iwana Groźnego listy, w których próbował oczyszczać się z winy i oskarżał cara o zbrodnie. A pamiętajmy, że był to najokrutniejszy władca Nieświętej Rusi, ustępujący w mordach i grozie tylko Stalinowi i Leninowi. Pisma nie pozostały bez odpowiedzi – książę Moskwy, nie mogąc dopaść uciekiniera, podjął listowną polemikę. Stała się ona znana w całej Europie, roznosiła wiedzę o okrucieństwach Iwana Groźnego.

„Czemu carze wytraciłeś wiernych w Izraelu – pisał Kurbski z Wolmaru, wspominając zbrodnie władcy – a wojewodom od Boga ofiarowanym różnymi sposobami śmierć zadałeś? Czemu przelewałś zwycięską ich krew świętą w świę-



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

tyniach Bożych? W czym ci zawinili, carze, czym rozgniewali? Jakiego jeszcze zła i prześladowań przez ciebie nie wycierpiałem i jakich mi nie szczydziłeś napaści oraz jakich łgarstw o mnie nie rozpowszechniałeś!”. Zaczął wręcz grozić carowi, wspominając licznych uciekinierów z Wielkiego Księstwa: „Nie uważaj nas carze za unicestwionych, uwięzionych i wygnanych niesprawiedliwie, nie ciesz się tym”.

Odpowiedź Iwana zawierała zarówno próby usprawiedliwienia się, jak i obelgi oraz groźby. „Nie zabraliśmy nikomu królestwa – pisał car – lecz z woli boskiej i błogosławieństwa praocjów i ojców naszych [...] z bożego nakazu zostaliśmy ukoronowani”. Iwan Groźny obłudnie litował się nad zbiegiem i powtarzał, że sprzeciwianie się jego władzy oznacza sprzeciwianie się samemu Bogu. Następnie przechodził do pogroźek. „O wszystkim zapomniawszy i jak zdraziecki psi zwyczaj nakazuje, porzuciłeś przysięgi i z wrogiem chrześcijaństwa połączyłeś się! [...] Do czego rady twoje podobne – wściekał się – chyba tylko do tajna śmierdzącego!”.

Kurbski zapłacił za ucieczkę wysoką cenę, gdyż car kazał uwięzić i załodzić jego żonę, kilkuletniego syna i matkę. Dziwić się należy też odwadze posłańców księcia, którzy jeździli z listami do cara. Pierwszy z nich, zwany przez Groźnego Waśką Szibanowem, został zamęczony, ale nie wyparł się pana.

Iwan próbował się także usprawiedliwiać z licznych okrucieństw, zrzucając winę na bojarów i... trudne dzieciństwo: „Czy niemądry przypuszczasz, że car zawsze winien postępować jednakowo, niezależnie od czasu i okoliczności? Kto mianował cię moim sędzią? Czy światło jest, gdy pop i podstępni niewolnicy rządzą, a car tylko z nazwy i godności jest carem? Dlaczego nazywają go samodzięrcą, jeśli sam nie rządzi?”.

Na takie dictum Kurbski odpowiedział kolejną szyderczą polemiką, nazywając słowa cara „wielce szumną paplaniną, tak zarzyganą jadowitymi słowami, że nie tylko nie przystoi to tak wielkiemu carowi, ale nawet prostemu żołnierzowi”. „Uśmierciłeś nie tylko swoich krewnych pochodzących z rodu Wielkiego Włodzimierza – pisał – ale rozgrabiłeś ich majątek ruchomy i nieruchomy, a nawet wyzuliś z ostatniej koszuli”.

Wymiana listów trwała z przerwami kilka lat. Gdy w 1577 r. Groźny zdobył Wolmar, do którego uciekł niepokorny książę, natychmiast przypomniał mu o tym obraźliwym liście. Zapewne też działalność Kurbskiego stała się jedną, choć nie najważniejszą przyczyną powołania w 1565 r. Opryczniny – pierwszego na ziemiach moskiewskich aparatu terroru.

Kurbski nie wrócił do Moskwy, do końca życia pozostał w Rzeczypospolitej. Pomimo zatargów ze szlachtą i królem Stefanem Batorym organizował oddziały złożone z uchodźców z Wielkiego Księstwa Moskiewskiego i brał udział w zdobyciu Połocka w 1579 r. Dzisiaj uważany jest za najwybitniejszego rosyjskiego pisarza XVI w. Na uwagę jednak zasługuje to, że mógł tworzyć swoje dzieła, nie ryzykując jednocześnie utraty głowy – na wygnaniu w Rzeczypospolitej, a nie w ojczyźnie. ©

TEST „DO RZECZY”: LENOVO YOGA C930 GLASS

Nieźla wydajność, świetna jakość wykonania, dobry dźwięk, dotykowy ekran oraz schowane w obudowie cyfrowe pióro – to największe zalety „szklanej” odmiany 13,9-calowego ultrabooka chińskiej firmy Lenovo.

Szklana klapa konwertowalnego laptopa wygląda ładnie i elegancko. Wrażenie produktu klasy premium sprawia też pozostała część obudowy wykonana z dwukrotnie polepszanego aluminium. Na pochwałę zasługuje też jakość wykonania. Niektórym ultrabook ze szklaną obudową może się wydać zbyt śliski. To jednak kwestia gustu, wprawy (aby ważąca 1,4 kg Yoga przypadkowo nie wysliznęła się z dłoni), a także przyzwyczajenia do noszenia ze sobą szmatki do wycierania odcisków palców, które błyskawicznie „przyklejają się” do górnej klapy ultrabooka.

Podświetlona klawiatura o płaskich i nieco wklęsłych przyciskach ma bardzo dobry skok i pozwala na wygodne pisanie długich tekstów. Przydatnym w dzisiejszych czasach drobiazgiem jest również wbudowana osłona kamery, dzięki której nie trzeba martwić się o jej zasłanianie czy zaklejenie. Nieźle sprawdza się również czytnik linii papilarnych.

Dotykowa matryca IPS o przekątnej 13,9 cala i rozdzielczości 3840 x 2160, w połączeniu z dwoma głośnikami stereo Dolby Atmos, sprawia, że Yoga C930 Glass bardzo przyzwycie

sprawdza się w roli multimedialnego ultrabooka. Wprawdzie widywałem w laptopach lepsze matryce, jednak i tu, w C930, kolory są żywe, kontrast wysoki, a dźwięk zaskakująco dobry i wyraźny jak na tak małe urządzenie. Dzięki temu, że głośniki są



ukryte w zawiasie, emitowane dźwięki dobrze słychać zarówno wtedy, gdy używa się Yogi w trybie laptopa, jak i wówczas gdy przejdzie się do trybu tabletu lub gdy rozstawi się Yoge niczym namiot, aby obejrzeć film.

Testowany sprzęt powinien sprawdzić się też w bardziej wymagających zadaniach, jak obróbka zdjęć czy prosty montaż wideo. Za wydajność odpowiada procesor Intel Core i7 8550U oraz aż 16 GB pamięci RAM i 512 GB szybkiej pamięci SSD.

Tym, co wyróżnia testowany model wśród tłumu konkurentów, jest cyfrowe pióro. Wbrew pozorom to bardzo użyteczny element, który przydać się może nie tylko dziennikarzom, lecz także wszystkim, którzy robią wiele notatek, szkiców etc. – od studentów, fizyków i matematyków poprzez rysowników aż do biznesmenów. Cyfrowe pióro jest chowane w obudowie. Byłoby jednak jeszcze lepsze, gdyby było choć nieco większe.

Wbudowana bateria pozwala na około pięć–sześć godzin pracy na jednym ładowaniu. Nie jest to rekord świata, ale wystarcza, aby z C930 Glass wyjechać w krótką podróż. Oczywiście w przypadku graczy lubiących testować najnowsze produkcje czas pracy bez konieczności szukania gniazdka wynosi około dwóch, najwyżej trzech godzin.

Wady? Potężny procesor w małej obudowie sprawia, że Yoga C930 Glass podczas intensywnej pracy potrafi naprawdę mocno się rozgrzać, co może przeszkadzać zwłaszcza tym, którzy lubią trzymać laptopa na kolanach. Podczas dużego obciążenia procesora nieco zbyt mocno słyszalny bywa też wiatrak. Przeważnie pracuje on jednak grzecznie i cicho.

Nieco zbyt skromna jest również liczba złączy: do dyspozycji są dwa USB-C (obsługujące standard Thunderbolt 3), jedno USB 3.1 oraz złącze audio.

Cena: ok. 6,5 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski

ZMIENNOKSZTAŁTNE SŁUCHAWKI

Słuchawki bezprzewodowe VIE FIT2 mają ułatwić uprawiającym sport korzystanie ze wsparcia muzyki lub porad trenera. Ich największą zaletą to automatyczne dostosowywanie się do kształtu ucha, dzięki czemu można nosić je przez długi czas bez ucisku i dolegliwości. Przegubowy głośnik VIE FIT, umieszczony na końcu miękkiej skorupy, jest wielokierunkowy i porusza się naturalnie, dopasowując się do kąta ucha,

zapewniając optymalny dźwięk docierający bezpośrednio do błony bębenkowej. Bezproblemowe dopasowanie pozwala cieszyć się pełną mocą wysokiej jakości 8-milimetrowych dynamicznych głośników neodymowych VIE FIT, skutecznie eliminując hałas z zewnątrz. Można zamawiać je na Kickstarterze, cena: ok. 350 zł. Dostawa w lipcu.



INTELLIGENTNE BIURKO

AiT Smart One to biurko kontrolowane przez smartfonową aplikację. W pełni konfigurowalny projekt z wieloma wbudowanymi funkcjami. Za pomocą smartfona można między innymi ustalić wysokość biurka, kąt nachylenia blatu, dostosowując je do sylwetki i potrzeb zdrowotnych użytkownika. Cena: 3,5 tys. zł, zamawiać można na Indiegogo, a dostawa w sierpniu. ©©

Wojciech Wybranowski

MICHAŁ WYPIJ POLECA BURGERY PO WARMIŃSKU

W życiu codziennym mam niestety mało czasu na gotowanie. Kiedy jednak przychodzi weekend, staram się trochę rozpieścić rodzinę i zaserwować coś specjalnego. Takim daniem zawsze były pyszne burgery, które szczególnie dobrze smakują z grilla czy ogniska.

Butka:

- 35 g świeżych drożdży
- 0,5 kg mąki pszennej typ 550
- 180 ml tłustego mleka
- 2 jajka
- 100 g miękkiego masła
- 60 g cukru
- 10 g soli
- 1 jajko + 50 ml mleka – smarowidło do bułek dające chrupiącą skórkę
- sezam do posypania

Przygotowanie:

Do miski wysypujemy pół kilograma przesianej mąki, dodajemy drożdże i wlewamy lekko posłodzone mleko. Mieszymy i odstawiamy w ciepłym miejscu. Kiedy podwoi swoją objętość, dodajemy roztrzepane jajko. Formujemy kulkę i przykrywamy ścierką na 30 min. Po tym czasie dodajemy miękkie masło, cukier i sól. Wyrabiamy ciasto i odstawiamy na kolejną godzinę, aby urosło. Ciasto dzielimy na 8 części i formujemy z nich bułki. Pieczemy je w temperaturze 180 st. C ok. 16–17 min. W 10. min pieczenia dobrze jest bułki wyjąć i posmarować wymieszanym jajkiem z mlekiem oraz posypać sezamem. Bułki po upieczeniu odstawiamy do ostygnięcia.

Burger:

- 200 g wołowiny na każdą porcję
- sól morską
- pieprz grubo mielony
- ser cheddar
- sałata
- ogórek kiszony
- pomidor
- ketchup
- majonez

Przygotowanie:

Mięso wołowe na burgery nie powinno być chude – musi zawierać ok. 20–25 proc. tłuszczu; dobrym mięsem będzie łopatką. Mielimy je na grubych oczkach, solimy, pieprzymy i formujemy z 200 g kotlet. Kotlet umieszczamy na patelni grillowej lub grilla. Nie używamy do tego żadnego tłuszczu. Burgery smażymy na wolnym ogniu ok. 2,5–3 min z każdej strony. Po przełożeniu z jednej strony na drugą kładziemy na grilla przeciętą bułkę. Na ostatnią minutę kładziemy plaster sera na grillujący się kotlet. Zdejmujemy bułki, smarujemy je sosem – ketchupem lub majonezem – dokładamy kotlet z serem, sałatę, pomidora, ogórka kiszzonego, przykrywamy drugą częścią bułki z sosem i życzymy wszystkim smacznego! Moim zdaniem burgery najlepiej smakują z grilla opalanego drewnem lub ogniskal!

oprac.
raw

**Michał
Wypij jest
posłem na
Sejm RP.**



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Myśli nad tapicerką

Rok 2020 jest odważnym rokiem zmian w postrzeganiu mebla tapicerowanego – tłumaczy Kamilla Siemrockiej Natalia Wojtalewicz w artykule „Trendy we wnętrzach 2020” w dodatku „Dom i Ogród” do „Gazety Wyborczej”.

Słowa pani Natalii dały mi do myślenia. Będę musiała zdobyć się na odwagę, żeby zacząć inaczej postrzegać naszą starą kanapę, której obicie zapewne autorka powyższego cytatu uznałaby za całkowicie niezgodne z najnowszymi trendami. Nie tylko obicie, całość po prostu. Kanapa ma 20 lat i jest mocno wysiedziana, a jej kolor trudno byłoby znaleźć na palecie Pantone obowiązującej w tym sezonie. Nie tylko o kanapę chodzi. Nie ma co ukrywać – nasze mieszkanie nie jest trendowe. Gdybym chciała je trochę update’ować, musiałabym wprowadzić systemowe zmiany.

Tylko co wybrać? Styl eko, jungle, minimalizm, rustykalny czy może klasycyzm? Pociągnęłam okiem po pokoju, w którym się obecnie znajduję, i jakoś nie mogę dopasować go do żadnej z tych propozycji. Więc może na początek coś wywalić? Brzuchatą komodę kupioną na Kole, z której odkleja się fornir? Bibliotekę w stylu angielskim odziedziczoną po dziadkach, w której nie otwierają się drzwi, a firanka zasłaniająca szybę jest tak zetłała, że ledwo się trzyma? Dywan z salo-



FOT. ADRIAN STOK

nu, wprowadzić prawdziwą buchara, ale wytarta aż do osnowy? Pobieźny ogłód naszego lokalu uświadamia mi bolesną prawdę – jest on kompletnie démodé.

Jedną rzecz może uratować nas przed całkowitą marginalizacją. Wprowadzić „velvetów”, które pani Wojtalewicz zaleca obecnie we wnętrzach („miękkie, puszyste, z połyskiem czy matowe”) nie mam na obiciach krzeseł, ale doszukałam się ich na lustrze. Pochodzi również z domu dziadków, ale jego jedwabny welur, a może „velur”, jest całkowicie ażurowy ze starości i wyblakły. Ale zawsze. Chociaż to ratuje sytuację.

W sumie to frustrujące mieszkać wśród takich gratów i nie mieć niczego modnego. No i jeszcze kolor. Na dodatek „odchodzimy od bezpiecznych szarości i brązów” – ostrzega pani Natalia. To już cios w samo serce: gdy się rozejrzę, widzę same szarości i brązy.

No i jak teraz żyć? ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Siódemka z plusem

Zadziwiające, jak bardzo ugruntowane jest przekonanie, że dzieci uczą się dla stopni.

Niby wszyscy wiedzą, że wcale tak nie jest. A przynajmniej nie powinno tak być. I dzieci to niby wiedzą, i dorośli wiedzą, też niby. Kiedy bowiem przychodzi co do czego, ocena staje się głównym, a może i jedynym sensem edukacji.

Do tej banalnej konstatacji skłonił mnie rzecznik praw dziecka, który rzucił pomysł, by z powodu tego wszystkiego, przez co przechodzimy, podwyższać z automatu uczniom oceny. Pewnie, dzieci nie powinny być ofiarami pandemii, więc skoro już męczą się w domach przy komputerach, to niech przynajmniej będą miały piątki i szóstkę. A szóstkowicze nawet siódemki.

No cóż, rzecznik praw dziecka nie musi być oczywiście osobą, której zależy na dobru dzieci. Absolutnie nie musi mu zależeć na tym, żeby dzieci odebrały jak najlepsze wykształcenie. Nie musi go też irytować to, co irytuje mnie: że często w rozmaitych sytuacjach życiowych napotykałyśmy ludzi niedokształconych, którzy jednakowoż jakoś owo wykształcenie zdobyli. Pewnie nie spotkał jeszcze lekarza, który sknocił diagnozę, bo kiedyś zdawał egzamin na kacu, ale wykładowca – równy gość – przymknął oko i podwyższył mu ocenę. Szczęśliwy facet z tego rzecznika. Ja, szczerze mówiąc, ciągle spotykam ludzi, którzy mają papiery dowodzące, że znają się na

rzeczach, na których wcale się nie znają.

Zostawmy owego rzecznika. Dziwniejsze bowiem jest to, że są rodzice, którzy aktywnie działają na rzecz niedokształcenia swoich dzieci. Otóż, jak wszyscy wiemy, nauka odbywa się obecnie zdalnie. I podobnie odbywają się rozmaite klasówki i sprawdziany. Oznacza to, że nauczyciel nie zawsze kontroluje, czy uczeń podczas sprawdzianu korzysta z – tak to nazwijmy – środków dopingujących.

Okazuje się, że wielu rodziców... pomaga dzieciom podczas zdalnych klasówek. Niektórzy podpowiadają, inni sprawdzają, czy potomek dobrze napisał. – Mało czasu na te sprawdziany – żalił mi się ostatnio znajomy ojciec, którego wcześniej bez wahania nazwałbym inteligentem. – Czasem nie zdążamy z żoną sprawdzić, czy córka wszystko dobrze zrobiła.

Stopień, pasek, nagroda, dyplom, papier. W końcu to się liczy. Niestety także dla wielu rodziców, dla których ważniejszy jest świstek niż wiedza przyswojona przez ich dzieci. Marzę o tym, żebyśmy zrozumieli, że takie podejście do sprawy, podobnie jak przyzwolenie na ściąganie, prowadzi do tego, iż w prawdziwym życiu ciągle zderzamy się z fuszerkami. Z wpadkami niedouczonego lekarza, księgowych, architektów, dziennikarzy, menedżerów, techników i przedstawicieli tych dziesiątków zawodów, których nazw nie znamy. Oni też pewnie mieli piątki, a rodzice odrabiali za nich lekcje. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Bogaci muszą się bać

Przez Stany Zjednoczone po śmierci George'a Floyda przetoczyła się bezprecedensowa fala zamieszek na tle rasowym i ekonomicznym. Obok pokojowych manifestacji mogliśmy oglądać setki nagrań, które przypominały sceny z postapokaliptycznych filmów. Podpalane salony luksusowych aut, rabowane sklepy na nowojorskiej Piątej Alei, witryny zabite deskami w reprezentacyjnych miejscach stolicy. Gniew po brutalnej interwencji policji w Minneapolis zamienił się w wielu miastach w festiwal przemocy i zniszczenia. Często, tak jak w ostatnich scenach „Jokera” z Joaquinem Phoenixem, wymierzony przeciw bogatym. Co ciekawe, swoich apologetów znalazł on również w Polsce.

„Korporacja kradnie miliardy biednym i klasie średniej, niszcząc przy tym planetę? Cisza. Policja zabija czarnych w USA? Cisza. Zdesperowani ludzie niszczą sklepy? Świat się wali. Jeśli nie widzisz, kto tu jest katem, a kto ofiarą, znaczy to, że jesteś po stronie opresji i złodziei” – napisał Jan Śpiewak. „Od bogatych trzeba nie tylko wymagać, oni muszą się także bać – bo tylko strach, że utracą wszystko, może ich zmusić do kooperacji” – stwierdził w „Tygodniku Powszechnym” Rafał Woś.

W tym samym czasie „zdesperowani ludzie” zmuszali bogatych strachem do „kooperacji”, wynosząc laptopy ze sklepów Micro-

softu w Nowym Jorku. Tego samego Microsoftu, którego twórca Bill Gates wraz z żoną Melanią przeznacza miliardy dolarów na walkę z biedą i nierównościami społecznymi. Czy ich gniew nie był słuszny? Czy kradnąc serniki z Cheesecake Factory, uderzając deską po głowie starszą panią broniącą swojego sklepu w Rochester, paląc materace bezdomnym albo rozbijając witryny starbucków, nie okazywali „słusznego gniewu”? Wynosząc 60-calowy telewizor z hipermarketu, nie „rabowali zrabowanego”? Nie dostrzegając tych subtelności, stawiamy się przecież po stronie opresji i złodziei. Trochę wstyd.

Jeśli nie chcą się państwo wstydzić, to droga do nowego ładu została wskazana. „Już czas na obowiązkowy weganizm, mniejsze mieszkania i zakaz latania” – zawyrokował Jaś Kapela w „Krytyce Politycznej”. „Należy poprzeć postulat Akcji Socjalistycznej, aby wprowadzić zakaz posiadania więcej niż jednego mieszkania, a docelowo może nawet znieść własność prywatną powyżej 15 metrów kwadratowych mieszkania na osobę” – dodał w tekście, przekonując, że sam mieszka na 36 metrach z drugą osobą i więcej do szczęścia nie potrzeba. I tylko ktoś absolutnie nieczuły na krzywdy uciśnionych zapytałby w tym miejscu: Jak to jest, że lewica, nie potrafiąc urządzić własnego życia, z taką chęcią urządza życie cudze? ©©



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Willa Dygatów

Stanisław Dygat i jego żona Kalina Jędrusik pochodzili z zamożnych rodzin. Dygat był synem wziętego architekta, projektanta luksusowej rodzinnej willi w Kolonii Staszica na warszawskiej Ochocie. Ojciec Kaliny był profesorem i sanitarnym senatorem z ramienia Obozu Zjednoczenia Narodowego, bała się więc do tego w swoim środowisku przyznawać. Wojna i PRL puściły ich rodziny z torbami, a Dygat i Jędrusik – wzięty pisarz i znana aktorka – nie mieli przez lata własnego kąta, tułali

dzie z powodu wiecznego braku gotówki gnieździł się jakiś czas w wynajętym M3 razem z dwiema żonami: Dziunią oraz ich córeczką, swoją byłą teściową, a także z Kaliną. Długo się tak jednak żyć nie dawało, wynajmowali więc z Kaliną kolejne blokowe dziuple. Gomułkowskie M3 na Mokotowie na Joliot-Curie otrzymał Dygat z puli Związku Literatów głównie dlatego, że należał jeszcze wtedy do partii, którą opuścił z ulgą już w 1957 r. Ich pierwsze mieszkanie liczyło tylko 40 mkw., miało maleńką kuchenkę, jeszcze mniejszy pokój Dygata, przypominający kiosk, w której mieścił się jedynie tapczan. Brakowało miejsca na porządne biurko i nie miał gdzie pisać. W drugim, większym pokoju Kaliny dniem i nocą kłębił się tłum pisarzy, aktorów, modelek – gości ich słynnego salonu artystycznego. W latach 60. Dygat zaczął chorować na serce, przeszedł dwa zawały. Obsesyjnie wręcz marzyli o własnym domu, gdzie miałby ciszę, spokój, bibliotekę, ich goście salon z prawdziwego zdarzenia, a liczne psy i koty, które namiętnie hodowali, mały ogródek. Kupno domu na własną rękę było w PRL prawie niemożliwe, nie mieli zresztą pieniędzy, nigdy się ich nie trzymały, lubili podróżować, przyjmować gości, ubierać się. W latach 70., już za Gierka, Kalina, wiedząc, że safandula Dygat nic nie załatwi, wzięła sprawę w swoje ręce. Cudem uzyskała audiencję u pierwszego sekretarza Warszawskiego Komitetu Partii Józefa Kępy. Nałożyła najbardziej obcisłą, wydekoltowaną suknię i – jak potem opowiadała – położyła Kępie na biurku swój biust. Na słynny biust Kaliny nie było mocnych i Kępa obiecał coś dla nich znaleźć. Dygat miał dwa warunki: ich dom miał być wolnostojący i „czysty”, bez

żadnych prawowitych właścicieli, którym nie chciał niczego odbierać. Zgodził się jednak na zaproponowaną im przez Kępę przedwojenną willę z ogrodem. Znajdowała się na małej, cichej, zielonej, żoliborskiej uliczce – Kochowskiego. Była zakryta do połowy murem i drzewami. Zadłużyli się i kupili ją za ogromną wtedy sumę 200 tys. zł, a władze Warszawy, co trwało, wykwaterowały dla nich pięć rodzin. Willa była zagrzybiona, zniszczona, ale dzięki wysokiej sumie подарowanej Dygatowi przez jego siostrę Danutę i szwagra Witolda Lutosławskiego, wybitnego kompozytora, zrobili generalny remont. Właściwie zbudowali willę od nowa, według swoich marzeń. Byli nieprawdopodobnie szczęśliwi i wtedy właśnie dopadła ich porażająca wiadomość. Od jednej z sąsiadek dowiedzieli się, że wbrew zapewnieniom Kępy willa wcale nie była „czysta”. W domu dla przewlekłe chorych przebywała jej przedwojenna właścicielka, starsza pani. Zdruzgotani natychmiast ją odwiedzili, chcieli zabrać do tego domu, ale wymagała stałej lekarskiej opieki. Nie zamierzała się też do nich przenosić, zupełnie ich przecież nie znała. Dygat ciężko to przeżył, nie mógł sobie darować, że sami nie sprawdzili sytuacji „ich” willi, że okazali się naiwniakami, uwierzyli komunie, dali się zwabić w pułapkę paserom, którzy ich uczynili swoimi współnikami i mogli im to w każdej chwili publicznie wyciągnąć. Oboje z Kaliną bardzo się tego wstydzi i głęboko to ukrywali. Wkrótce schorowana właścicielka zmarła, ale „ich” dom już ich tak nie cieszył ani nie przyniósł im szczęścia. Dygat mieszkał tam tylko pięć lat. W styczniu 1978 r. zmarł na trzeci zawał w wieku zaledwie 64 lat. Kalina odeszła 12 lat później, miała zaledwie 60 lat. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



się po wynajętych blokowych kłitkach. Tułał się już Dygat ze swoją pierwszą żoną, również aktorką – Dziunią Nawrocką oraz ich córeczką Magdą. Najpierw w literackich kołchozach, w Krakowie przy Krupniczej, potem w Łodzi, we Wrocławiu, gdzie pojechał zasiedlać Ziemię Odzyskane zwabiony obietnicą poniemieckiej willi. Uciekł jednak z Wrocławia już po dwóch latach – fatalnie się czuł wśród cudzych mebli i landszaftów, miał dość pisania obowiązkowych tekstów o powrocie prastarych polskich ziem do macierzy. Już po rozwo-

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ
„CHAM
NIEZBUNTOWANY”

~~342~~ zł



138,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
204 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

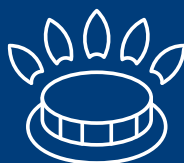
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ